



GALAKTYKA GUTENBERGA

# KIR BUŁYCZOW



Nieziemsko piękna szafa

# Spis treści

[Galaktyka Gutenberga](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[ŚNIEŻKA](#)

[JA PIERWSZY WAS ODNALAZŁEM!](#)

[AWARIA NA LINII](#)

[NIEZIEMSKO PIĘKNA SZAFA](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[ZWIERZ MI SIĘ](#)

[KORONA PROFESORA KOZARINA](#)

[DWUSETNY JUBILEUSZ](#)

[MÓJ PIES, POŁKAN](#)

[STAREŃKI IWANOW](#)

[DLA CIEBIE, PROSTY MARSJANINIE!](#)



GALAKTYKA  
GUTENBERGA

## **SERIA GALAKTYKA GUTENBERGA:**

1. Harry Harrison „Planeta śmierci”
2. H. Beam Piper „Kudłacz”
3. H. Beam Piper „Kudłacz rozumny”
4. H. Beam Piper „Kudłacze i inni ludzie”
5. **Siergiej Sniegow „Galaktyczny zwiad”**
6. **Siergiej Sniegow „W Perseuszu”**
7. **Siergiej Sniegow „Pętla wstecznego czasu”**
8. **antologia „Złoty Wiek SF tom 1”**
9. **antologia „Złoty Wiek SF tom 2”**
10. **antologia „Złoty Wiek SF tom 3”**
11. **antologia „Złoty Wiek SF tom 4”**
12. **antologia „Klasyka rosyjskiej SF tom 1”**
13. **antologia „Klasyka rosyjskiej SF tom 2”**
14. **antologia „Klasyka rosyjskiej SF tom 3”**
15. Clifford D. Simak „Imperium”
16. James Schmitz „Plazmoidy”
17. E.E. „Doc” Smith „Lensman 1: Trójplanetarni”
18. **E.E. „Doc” Smith „Lensman 2: Pierwszy Lensman”**
19. E.E. „Doc” Smith „Lensman 3: Patrol Galaktyczny”
20. E.E. „Doc” Smith „Lensman 4”
21. E.E. „Doc” Smith „Skylark 1”
22. E.E. „Doc” Smith „Skylark 2”
23. E.E. „Doc” Smith „Skylark 3”
24. John W. Campbell „Broń ostateczna”
25. Murray Leinster „Pierwszy kontakt”
27. Kir Bułyczow „Ostatnie sto minut”
28. Kir Bułyczow „Nieziemsko piękna szafa”
29. **Władimir Michajłow „Stróż brata mego”**
30. Barrington J. Bayley „Upadek Chronopolis”
31. Clifford D. Simak „Bractwo Talizmanu” tylko dla subskrybentów

32. Bob Shaw „Orbistville 1” tylko dla subskrybentów
33. Bob Shaw „Orbistville 2” tylko dla subskrybentów
34. Bob Shaw „Orbistville 3” tylko dla subskrybentów
35. Robert Sheckley „Zwiadowca minimum” tylko dla subskrybentów
36. Robert Sheckley „Bezgłośny pistolet” tylko dla subskrybentów
37. Robert Sheckley „Złodziej w czasie” tylko dla subskrybentów
- 38. antologia „Maszyna sukcesu”**
- 39. H. Beam Piper „Czterodniowa planeta”**
- 40. antologia „W pałacu władców Marsa”**
41. antologia
42. antologia
43. antologia
- 44. H. Beam Piper „Kosmiczny wiking”**
45. H. Beam Piper „Policja czasu”
46. H. Beam Piper
47. James H. Schmitz
48. James H. Schmitz „Wiedzmy z Karres”
- 49. Herbert G. Wells „Niewidzialny człowiek. Wehikuł czasu. Wyspa doktora Moreau”**
- 50. Herbert G. Wells „Wojna światów”**

Serię można subskrybować w całości. Dla subskrybentów specjalne edycje powieści i zbiorów opowiadań znanych pisarzy amerykańskich. Pogrubioną czcionką oznaczono pozycje wydane w formie e-booka.

Seria dostępna wyłącznie w księgarni Solarisnet.pl

**Kir Bułyczow**

**NIEZIEMSKO PIĘKNA  
SZAFA**

**SOLARIS**  
Stawiguda 2016

E-book kupiony w SOLARIS

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Niniejsza książka elektroniczna ani żadna jej część nie może być kopiowana i odsprzedawana oraz w jakikolwiek inny sposób reprodukowana, ani odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody sprzedawcy.

Agencja „Solaris”  
Małgorzata Piasecka  
11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A  
tel./fax 89 5413117  
e-mail: [agencja@solarisnet.pl](mailto:agencja@solarisnet.pl)

sprzedaż wysyłkowa:

[solarisnet.pl](http://solarisnet.pl)



# ŚNIEŻKA

Tylko raz widziałem, jak ginie statek. Inni nigdy tego nie widzieli.

Nie jest to straszne, gdyż człowiek nie ma czasu przenieść się myślami na jego pokład i odbierać wszystko tak, jakby katastrofa przytrafiła się jemu. Patrzyliśmy z mostka, jak próbowali wylądować na planetce. Wydawało się, że już się im to udaje. Szybkość była jednak zbyt duża. Ich statek dotknął dna pochyłej rozpadliny, lecz zamiast znieruchomieć nadal sunął przed siebie, jakby zamierzał schować się we wnętrzu kamienia. Ale kamienne koryto wcale nie zamierzało poddać się metalowi i statek zaczął się rozlewać niczym kropla wody, która spadła na szkło. Ruch jego stawał się coraz wolniejszy; drobnymi bryzgami i bezdźwięcznie jakieś jego części oddzielały się od podstawowej masy statku i czarnymi kropelkami wlatywały nad dolinę, szukając miejsc nadających się na to, by mogły opaść i znieruchomieć. A potem ten nieskończony, trwający około minuty, ruch ustał.

Statek był martwy. Dopiero teraz, z opóźnieniem, moja świadomość zrekonstruowała gruchot pękających przepierzeń, jęki pękającego metalu, wycie uciekającego powietrza kryształkami osiadającego na ścianach. Żywe istoty, które tam były, na pewno zdążyły usłyszeć jedynie początek tych dźwięków.

Na ekranie widniało wielokrotnie powiększone pęknięte czarne jajko otoczone potokami zamrożonego białka.

– Po wszystkim – powiedział ktoś.

Odebraliśmy ich wołanie o pomoc i podążyliśmy na ratunek. I ujrzeliśmy zagładę statku.

Z bliska, kiedy spuściliśmy kuter i dotarliśmy do doliny, wszystko to, co widzieliśmy, nabrało właściwych rozmiarów i odpowiedniej tragiczności, wywodzącej się stąd, że człowiek mógł przymierzyć to, co się stało, do siebie. Czarne kropki przekształciły się w kawałki metali o wymiarach boiska do siatkówki, części silników, dysze i fragmenty kolumn hamulców – w połamane zabawki giganta. Miało się wrażenie, że kiedy statek, roztrzaskując się, wciskał się w skały, ktoś wsadził w jego wnętrze rękę i wypatroszył go. W odległości pięćdziesięciu metrów od statku znaleźliśmy dziewczynę. Była w skafandrze – wszyscy oni, poza kapitanem i wachtowymi, zdążyli włożyć skafandry. Widać znalazła się w pobliżu luku, który wyleciał przy uderzeniu. Wyrzuciło ją ze statku tak, jak wylatuje ze szklanki z narzanem bańka powietrza. To, że pozostała przy życiu, należy zaliczyć do owych fantastycznych przypadków, które powtarzają się nieustannie od chwili, kiedy człowiek po raz pierwszy uniósł się w powietrze. Ludzie wypadali z samolotów na wysokości pięciu kilometrów i jakimś cudem spadali na bardzo strome zaśnieżone zbocze czy też wierzchołki sosen, wykręcając się zadrapaniami i siniakami. Przenieśliśmy ją na kuter. Była w szoku, ale doktor Striesznyj nie pozwolił mi zdjąć jej hełmu, choć każdy z nas rozumiał, że jeśli nie udzielimy jej pomocy, może umrzeć. Doktor miał rację. Nie znaleźliśmy składu ich atmosfery i nie wiedzieliśmy, jakie śmiertelne dla nas, a nieszkodliwe dla niej wirusy żyją sobie na jej białych, błyszczących, krótko ostrzyżonych włosach.

Teraz wypada powiedzieć, jak wyglądała ta dziewczyna i dlaczego obawy doktora wydały się mnie, i nie tylko mnie, przesadzone, a nawet niepoważne. Przyzwyczailiśmy się wiązać niebezpieczeństwo z istotami nieprzyjemnymi dla naszego oka. Jeszcze w dwudziestym wieku pewien psycholog twierdził, że dysponuje niezawodnym testem dla kosmonauty lecącego ku odległym planetom. Trzeba tylko zapytać go, co robi, jeśli spotka się z sześciometrowym pajakiem o odrażającym wyglądem. Pierwszą



instynktowną reakcją badanego było wyciągnięcie blastera i władowanie w pająka całego magazynka. A przecież pająk mógł się okazać spacerującym samotnie miejscowym poetą, pełniącym obowiązki stałego sekretarza dobrowolnego towarzystwa ochrony drobnych ptaków i pasikoników. Oczekiwać podstępu ze strony delikatnej dziewczyny, której długie rzęsy rzucały cień na blade policzki, której twarz wywoływała pragnienie, by ujrzeć, jakiego koloru są jej oczy, oczekiwać podstępu ze strony tej dziewczyny, nawet w postaci wirusów, było jakoś nie po męsku. Nikt tego nie powiedział, ja też, ale miałem wrażenie, że doktor Striesznyj czuł się jak drobny łajdak, biurokrata, który w imię litery instrukcji zadaje ból bezbronnemu gościowi.

Nie widziałem, jak sterylizował najcieńsze igły, by wprowadzić je do wnętrza skafandra i pobrać próbki powietrza. Nie wiedziałem też, jakie są wyniki jego prac, gdyż znów ruszyliśmy w stronę statku z zamiarem dostania się do jego wnętrza i odnalezienia jeszcze jakiegoś ocalałego członka załogi. Było to bezmyślne zajęcie – jedno z tych bezmyślnych zajęć, których nie można zaniechać nie doprowadziwszy ich do końca.

– Niedobrze – powiedział doktor. Usłyszeliśmy jego słowa w chwili, gdy usiłowaliśmy dostać się do wnętrza statku. Nie było to łatwe, gdyż niczym packa nad muchami wisiała nad nami jego zgnieciona ściana.

– Co z nią? – zapytałem.

– Jeszcze żyje – odpowiedział doktor. – Ale my nie jesteśmy w stanie jej pomóc. To Śnieżka.

Nasz doktor ma skłonność do poetyckich porównań, których przejrzystość nie zawsze jest zrozumiała dla nie wtajemniczonych.

– Przyzwyczailiśmy się – kontynuował doktor i chociaż głos jego dźwięczał w moich słuchawkach tak, jakby zwracał się do mnie, wiedziałem, że mówi przede wszystkim do otaczających go w kajucie kutra osób. – Przyzwyczailiśmy się uważać, że podstawę wszelkiego życia stanowi woda. U niej tę podstawę stanowi amoniak.

Znaczenie jego słów dotarło do mnie nie od razu. Do pozostałych również.

– Przy ziemskim ciśnieniu – powiedział doktor – amoniak kipi przy minus 33, a zamarza przy minus 78 stopniach.

I wtedy wszystko stało się jasne.

Ponieważ w nausznikach panowała cisza, wyobraziłem sobie, w jaki sposób patrzą na dziewczynę, która stała się dla nich fantomem. Gdy tylko zdejmuje się mu hełm, może przekształcić się w obłok pary.

Szturman Bauer myślał na głos w nieodpowiedniej chwili popisując się erudycją.

– Coś takiego przewidziano teoretycznie. Ciężar atomowy molekuly amoniaku wynosi 17, wody 18. Pojemność cieplną mają prawie jednakową. Amoniak równie łatwo jak woda traci jon wodoru. W ogóle to uniwersalny rozpuszczalnik.

Zawsze zazdrościłem ludziom, którzy nie muszą sięgać po informator, by odnaleźć w nim informacje, które nigdy się nie przydają. Prawie nigdy.

– Ale w niskich temperaturach amoniakowe białka będą zbyt stabilne – zaproponował doktor, jakby dziewczyna była jedynie konstrukcją teoretyczną, modelem zrodzonym przez fantazję Gleba Bauera.

Nikt nie odezwał się słowem. Półtorej godziny przedzieraliśmy się przez sekcje roztrzaskanego statku, zanim znaleźliśmy nieuszkodzone butle z amoniakiem. Było to znacznie mniejszym cudem niż to, co wydarzyło się wcześniej.

Zaszedłem do szpitala, jak zawsze, zaraz po wachcie.

W szpitalu pachniało amoniakiem. W ogóle cały nasz statek przesiąknął zapachem amoniaku. Walka z jego ulatnianiem się nie miała jednak sensu.



Doktor pokastywał sucho. Siedział przed długim rzędem probówek i butli. Z niektórych z nich wychodziły węże gumowe i rury ginące za przepierzeniem. Nad iluminatorem czerniało niewielkie jajowate kółko głośnika.

– Śpi? – zapytałem.

– Nie, już pytała, gdzie jesteś – odpowiedział doktor. Głos jego był głuchy i zrzedliwy. Dolną część jego twarzy przykrywał filtr. Doktor musiał każdego dnia rozwiązywać kilka nierozwiązalnych problemów związanych z karmieniem, leczeniem i psychoterapią jego pacjentki i zrzedliwość jego pogłębiała przepełniająca go duma, gdyż lecieliśmy już trzeci tydzień, a Śnieżka była zdrowa. Tyle tylko, że przeraźliwie się nudziła.

Poczułem pieczenie w oczach. Drapało w gardle. Mogłem sobie obmyślić jakiś filtr, ale wydawało mi się, że ujawniłbym w ten sposób swe obrzydzenie. Na miejscu Śnieżki nie byłoby mi przyjemnie, gdyby moi gospodarze zbliżając się do mnie wkładali maski przeciwgazowe.

Twarz Śnieżki niczym stary portret w owalnej ramie widniała w iluminatorze.

– Fitaj – powiedziała.

Potem szczęknęła translatorem, gdyż wyczerpała prawie cały zapas słów, jakim dysponowała. Wiedziała, że niekiedy pragnę usłyszeć jej głos, jej prawdziwy głos, i przed włączeniem translatora mówiła do mnie kilka słów.

– Co robisz? – zapytałem.

Dźwiękowa izolacja nie była pełna i usłyszałem, jak za przegródką rozległ się świergot. Jej usta poruszyły się i translator odpowiedział mi z opóźnieniem kilku sekund, w czasie których mogłem się napawać widokiem jej twarzy i ruchem jej źrenic zmieniających barwę jak morze w wietrzny, pochmurny dzień.

– Przypominam sobie to, czego uczyła mnie mama – odpowiedziała chłodnym i obojętnym głosem translatora. – Nigdy nie myślałam, że będę musiała sama przygotowywać sobie posiłki. Sądziłam, że mama jest dziwaczką, ale teraz to wszystko się przydaje.

Roześmiała się, nim jeszcze translator zdążył przetłumaczyć jej słowa.

– Poza tym uczę się czytać – powiedziała.

– Wiem. Pamiętasz literę „y”?

– To bardzo śmieszna litera. Ale jeszcze śmieszniejszą literą jest „f”. Wiesz, połamałam jedną książkę.

Doktor podniósł głowę, odwracając się od strumyka śmierdzącej pary wydobywającej się z probówki, i powiedział:

– Mogłem pomyśleć chwilę przed daniem jej książki. Plastik kartek w temperaturze minus pięćdziesięciu stopni staje się kruchy.

– No i rozkruszył się – powiedziała Śnieżka.

Kiedy doktor wyszedł, po prostu staliśmy naprzeciw siebie. Gdy się dotknęło szkła, było ono chłodne. Jej natomiast wydawało się prawie gorące. Mieliśmy czterdzieści minut do powrotu Bauera, który przytaszczy dyktafon i zacznie męczyć Śnieżkę niezliczonymi pytaniami. A jak u was to? A jak u was tamto? A jak przebiega w waszych warunkach taka a taka reakcja?

Śnieżka przedrzeźniała Bauera i skarżyła mi się: „Przecież ja nie jestem biologiem. Mogę mu nakłamać i będzie wstyd”. Przynosiłem jej widokówki i fotografie ludzi, miast oraz roślin. Śmiała się, wypytywała o detale, które mnie wydawały się nieistotne, a nawet niepotrzebne, a potem nagle przestawała pytać i patrzyła jakby przeze mnie.

– Co z tobą?

– Nudzę się. I boję.

– Przecież bezwarunkowo dowieziemy cię do domu.

– Nie dlatego się boję.

A tego dnia zapytała mnie:

– Masz podobiznę dziewczyny?

– Jakiej? – zapytałem.

– Tej, która czeka na ciebie w domu.

– Nikt na mnie nie czeka w domu.

– Nieprawda – powiedziała Śnieżka. Potrafiła być strasznie kategoryczna. Zwłaszcza wtedy, gdy w coś nie wierzyła. Na przykład nie uwierzyła w istnienie róż.

– Dlaczego mi nie wierzysz?

– Śnieżka nie odpowiedziała.

...Obłok płynący nad morzem przesłonił słońce i fale zmieniły barwę – stały się chłodne i szare, tylko przy brzegu woda miała zielonkawy odcień. Śnieżka nie potrafiła ukryć swych nastrojów i myśli. Kiedy było jej dobrze, oczy miała niebieskie, nawet fioletowe. Ale natychmiast blakły, szarzały, kiedy było jej smutno, i stawały się zielone, kiedy się złościła.

Nie powinienem był zobaczyć jej oczu. Kiedy je otworzyła po raz pierwszy na pokładzie naszego statku, odczuwała ból. Oczy były czarne, bezdenne, a my w żaden sposób nie mogliśmy jej pomóc przed zakończeniem przebudowy laboratorium. Śpieszyliśmy się tak, jakby statek w każdej chwili miał eksplodować, a ona milczała.

Dopiero po trzech godzinach mogliśmy przenieść ją do laboratorium, gdzie został doktor, który pomógł jej w zdjęciu hełmu.

Następnego dnia jej oczy błyszczały przezroczystym, liliowym zaciekawieniem i tylko ciut pociemniały, kiedy napotkały mój wzrok...

Wszedł Bauer. Pojawił się wcześniej niż zwykle i był z tego bardzo zadowolony. Śnieżka uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

– Akwarium do pańskich usług.

– Nie zrozumiałem, Śnieżko – odparł Bauer.

– A w akwarium doświadczalny mięczak.

– Powiedziałbym raczej – złota rybka – Bauera nie tak łatwo zbić z tropu.

Śnieżka coraz częściej była w złym nastroju. Ale cóż się dziwić, skoro całe tygodnie spędzała w pomieszczeniu o wymiarach dwa na trzy metry. Porównanie z akwarium było dobre.

– Idę – powiedziałem, ale Śnieżka nie odpowiedziała jak zwykle: „Przychodź jak najszybciej”.

Jej szare oczy ze smutkiem patrzyły na Gleba, jakby ten był dentystą. Spróbowałem przeanalizować swój stan i zrozumiałem, że jest on sprzeczny z naturą. Z równym powodzeniem mogłem się zakochać w portrecie Marii Stuart czy też w statuetce Nefretete. A może było to współczucie dla samotnej istoty, za której życie odpowiedzialność w zadziwiający sposób zmieniła i złagodziła stosunki między nami, członkami załogi? Śnieżka przyniosła do nas coś dobrego, zmuszającego wszystkich do mimowolnego doskonalenia się, stawania się szlachetniejszymi i lepszymi niż przed pierwszym spotkaniem. Oczywiście beznadziejność mojej namiętności rodziła w sercach otaczających mnie ludzi coś pośredniego pomiędzy współczuciem a zawiścią, choć uczuć tych, jak wiadomo, nie da się ze sobą pogodzić. Czasami pragnąłem, żeby ktoś zażartował sobie ze mnie, uśmiechnął się, bym mógł wybuchnąć, wstawić się i w ogóle zacząć zachowywać się gorzej od innych. Ale nikt sobie na to nie pozwalał. W oczach swych towarzyszy byłem szczęśliwie chory, a to różniło mnie i oddalało od innych.

Wieczorem doktor Striesznyj wywołał mnie przez głośnik i powiedział:

– Śnieżka cię wzywa.

– Stało się coś?

– Nic się nie stało. Nie denerwuj się.

Pobiegłem do szpitala. Śnieżka czekała na mnie przy iluminatorze.

– Wybacz – powiedziała – ale nagle pomyślałam sobie, że jeśli umrę, to nie zobaczę cię już więcej.

– Bzdury – mruknął doktor. Mimowoli spojrzałem na tarcze przyrządów.

– Posiedź ze mną – powiedziała Śnieżka.

Doktor wkrótce wyszedł, wymyśliwszy sobie jakiś pretekst.

– Chcę cię dotknąć – powiedziała Śnieżka. – To niesprawiedliwe, że nie można cię dotknąć tak, by się przy tym nie poparzyć.

– Mnie jest łatwiej – powiedziałem. – Ja co najwyżej odmrozę sobie coś.

– Szybko dolecimy? – zapytała Śnieżka.

– Tak – odpowiedziałem. – Za cztery dni.

– Nie chcę lecieć do domu – oznajmiła – bo dopóki jestem tu, mogę sobie wyobrazić, że cię dotykam.

A tam ciebie nie będzie. Połóż dłoń na szkle.

Uśluhałem jej.

Śnieżka oparła głowę o szkło, a ja wyobraziłem sobie, że moje palce przenikają przez przezroczystą masę i spoczywają na jej głowie.

– Nie odmroziłem sobie ręki?

Śnieżka podniosła głowę i wysiliła się na uśmiech.

– Musimy znaleźć neutralną planetę – powiedziałem.

– Jaką?

– Neutralną. Taką, na której byłoby zawsze minus czterdzieści stopni.

– To zbyt gorąco.

– Minus czterdzieści pięć. Wytrzymasz?

– Oczywiście – odpowiedziała Śnieżka. – Ale czyż będziemy mogli żyć razem, jeśli zawsze trzeba będzie tylko cierpieć?

– Żartowałem.

– Wiem, że żartowałeś.

– Nie będę mógł pisać do ciebie listów. Potrzebny byłby specjalny papier, taki, który by nie parował.

A poza tym ten zapach amoniaku...

– A czym pachnie woda? Nie ma dla ciebie żadnego zapachu? – zapytała.

– Żadnego.

– Jesteś zdumiewająco niepojętny.

– No i poprawił ci się humor.

– Czy pokochałabym cię, gdybyśmy byli jednej krwi?

– Nie wiem. Ja najpierw cię pokochałem, a dopiero później dowiedziałem się, że nigdy nie będę mógł być z tobą.

Ostatniego dnia Śnieżka była nerwowa i choć mówiła do mnie, że nie wyobraża sobie, jak rozstanie się z nami, ze mną, błędziła myślami gdzieś daleko. Kiedy pakowałem w laboratorium rzeczy, które miała zabrać ze sobą, przyznała mi się, że najbardziej boi się tego, że nie doleci do domu. Była już tam i wędrowała między mną, który tu zostawał a swym światem, który na nią czekał.

Obok nas już od pół godziny leciał ich statek patrolowy i na mostku kapitańskim bez chwili wytchnienia trzeszczał translator z trudem radzący sobie z przekładem. Do laboratorium przyszedł Bauer i powiedział, że lądujemy na terenie kosmoportu. Spróbował przeczytać zapisaną nazwę. Śnieżka

poprawiła go jakby mimochodem i natychmiast zapytała, czy dobrze sprawdził jej skafander.

– Zaraz go sprawdzę – odpowiedział Gleb. – Czego się boisz? Przecież będziesz miała do przejścia wszystkiego trzydzieści kroków.

– I chcę je przejść – powiedziała nie rozumiejąc, że obraziła Gleba.

– Sprawdź jeszcze raz – poprosiła mnie.

– Dobrze – odpowiedziałem.

Gleb wzruszył ramionami i wyszedł. Po trzech minutach wrócił i rozłożył na stole skafander. Butle głucho stuknęły o plastik, a Śnieżka skrzywiła się tak, jakby ją uderzono. Potem wystukała na drzwiach przedniej komory:

– Podaj mi skafander. Sama sprawdzę.

Uczucie obcości, które pojawiło się między nami, powodowało u mnie autentyczny ból w skroniach: wiedziałem, że się rozstajemy, ale powinniśmy byli rozstać się nie w ten sposób.

Usiedliśmy łagodnie. Śnieżka była już w skafandrze. Myślałem, że wyjdzie do laboratorium, ale nie zaryzykowała tego, dopóki nie usłyszała w głośniku głosu kapitana:

– Załoga naziemna włożyć skafandry. Temperatura na zewnątrz – minus pięćdziesiąt trzy stopnie...

Luk był otwarty. Stali przy nim ci, którzy chcieli się pożegnać ze Śnieżką. Wysforowałem się przed rozmawiającą z doktorem Śnieżkę i wyszedłem na placyk przy trapie. Nad tym bardzo obcym światem pełżyły niskie obłoki i siąpił deszcz. W odległości trzydziestu metrów od statku zatrzymał się niski żółty pojazd, w pobliżu którego na mokrych kamiennych płytach stało kilku ludzi. Byli oni bez skafandrów. To zrozumiałe – kto wkłada w domu te flaki. Mała grupa witających zagubiła się w niemającym końca terenie kosmodromu, którego granice zniknęły za zasłoną deszczu i tylko z lewa nad czarnym wzgórzem wznosił się jakiś inny statek.

Podjechał jeszcze jeden pojazd, z którego także wysiedli ludzie. Usłyszałem, że Śnieżka podeszła do mnie. Odwróciłem się. Pozostali członkowie załogi cofnęli się zostawiając nas samych.

Śnieżka nie patrzyła na mnie. Starła się odgadnąć, kto wyszedł jej na spotkanie. I nagle poznała. Podniosła rękę i pomachała nią. Od grupy witających oderwała się kobieta, która pobiegła po płytach w stronę trapu. Śnieżka rzuciła się w dół, w jej stronę. A ja stałem. Stałem dlatego, że byłem jedyną osobą na statku, która nie pożegnała się ze Śnieżką. Poza tym dlatego, że trzymałem zawiniątko z jej rzeczami. No i wreszcie dlatego, że z racji zajmowanego stanowiska wchodziłem w skład załogi naziemnej i powinienem był pracować na dole, asystować Bauerowi w czasie rozmów z kierownictwem kosmodromu. Nie mogliśmy się zatrzymać tu dłużej i po godzinie powinniśmy byli odlecieć. Kobieta powiedziała coś do Śnieżki, ta zaśmiała się i odrzuciła hełm. Hełm upadł i potoczył się po płytach. Śnieżka przeciągnęła ręką po włosach. Kobieta przytuliła się policzkiem do jej policzka, a ja pomyślałem sobie, że obu im jest ciepło. Patrzyłem na nie, były daleko. Śnieżka powiedziała coś do kobiety i nagle pobiegła z powrotem w stronę statku. Wchodziła po trapie patrząc na mnie i zrywając rękawiczki.

– Wybacz – powiedziała. – Nie pożegnałam się z tobą.

To nie był jej głos – mówił translator znajdujący się nad lukiem przezornie włączony przez któregoś z naszych. Ale słyszałem również jej głos.

– Zdejmij rękawicę – powiedziała. – Tu jest tylko minus pięćdziesiąt stopni.

Odpiąłem rękawicę, ale nikt mnie nie powstrzymywał, choć kapitan i doktor słyszeli i zrozumieli jej słowa. Nie poczułem zimna. Ani wtedy, ani później, kiedy wzięła moją rękę i na moment przycisnęła ją do policzka. Wyrwałem rękę, ale było już za późno. Na oparzonej policzku pozostał purpurowy ślad mojej dłoni.

– To nic – powiedziała Śnieżka potrząsając rękami, by tak nie bolało. – To przejdzie. A jeśli nie przejdzie, to też dobrze.

– Zwariowałaś – powiedziałem.

– Włóż rękawicę, odmroziś rękę – powiedziała Śnieżka. Z dołu kobieta krzyczała coś do niej.

Śnieżka patrzyła na mnie, a jej ciemnoniebieskie, prawie czarne oczy były zupełnie suche... Kiedy już podeszli do pojazdu, Śnieżka zatrzymała się i podniosła rękę żegnając się ze mną i z nami wszystkim. Wpadnij potem do mnie – rzekł doktor. – Wysmaruję i zabandażuję ci rękę.

– Nie boli mnie – powiedziałem.

– Później będzie boleć – odpowiedział lekarz.

*Przełożył Michał Siwec*

# JA PIERWSZY WAS ODNALAZŁEM!

Nad ranem Jerassy już nie śpi. O szóstej, gdy jest jeszcze zimno, włącza głośnik i pyta Marię:

– Jesteś gotowa?

Słysząc jego przeraźliwy głos, przed którym nie sposób schować się pod kołdrą albo zakryć poduszką. Głos natrętny, niby przeznaczenie.

– Marto – kontynuuje – wierzę, że dziś znajdziemy coś bardzo ciekawego. – Co ty na to?

Marta chciałaby jeszcze pospać. Dziewczyna, jak pozostali, również nic znosi Jerassy'ego. Jest z nim szczerą. Facet chichocze wprost w głośnik, który jeszcze bardziej potęguje jego śmiech. Z radia dochodzi pełen pretensji głos kapitana:

– Jerassy, do pobudki zostało co najmniej pół godziny. Dopiero co zszedłem z warty.

– Przepraszam, kapitanie – odpowiada Jerassy – w tej sekundzie pędzimy na obiekt i będzie pan mógł spokojnie pospać. Rankami pracuje się trzykrotnie wydajniej niż w ciągu dnia. Nie sądzi pan?

Kapitan nie odpowiada. Zrzucam kołdrę i siadam. Stopy dotykają podłogi. Dywan przetarł się trochę w tym miejscu. Ile to już razy chodziłem po nim rano. Trzeba wstawać. Ma rację ten Jerassy – ranne godziny są bardziej efektywne.

Po śniadaniu opuszczamy statek przez właz załadunkowy. Przechodzimy pochylnią, porysowaną przez transportery.

W nocy nawiało tu brunatnego piachu i suchych gałęzi. Jesteśmy bez skafandrów. Do południa, dopóki nie ma upału, wystarczą maski i aparaty tlenowe na plecach.

Ponura, brunatna, gdzieniegdzie pagórkowata dolina ciągnie się po niedaleki horyzont. Unoszą się nad nią tumany piachu. Pył wchodzi dosłownie wszędzie: w skafandry, buty, nawet pod maski. Ale, mimo wszystko, pył nie jest tak niebezpieczny jak błoto. Kiedy nadciągnie szara chmura i chluśnie w dolinę krótką ulewą, trzeba natychmiast rzucać pracę, pełznąć do statku po śliskim błocie i czekać, aż podeschnie. Po ulewie stają się bezsilne nawet łaziki.

Jeden z nich czeka na nas przed pochylnią. Do wykopalisk można dojść pieszo w ciągu dziesięciu minut, choć lepiej czas ten wykorzystać na pracę. Wkrótce stąd odjedziemy – żywności i pozostałych zapasów zostało jedynie na powrót. Już i tak przeciągnęliśmy pobyt. Sześć lat jak szukamy. A droga do domu zajmie prawie pięć lat.

Zachir kręci się przy drugim łaziku. Geolodzy ruszają na zwiad. Żegnamy Zachira i wsiadamy do maszyny. Miejsca w niej wydają się -nam tak dobrze znane jak przy stole, w sali wypoczynku lub te, w przypadku awarii. Wieszam aparaturę na haczyku, po prawej stronie. Miesiąc temu, o ten właśnie haczyk rozwalilem sobie ramię, gdy nagle wpadliśmy w wyrwę. Owinąłem je wówczas miękką szmatką. Nie patrząc, wieszam na nim torbę z przyrządem: ręka bezbłędnie wyczuwa to miejsce z dokładnością do milimetra.

Jerassy wciąga przez wejście swoje długie nogi i zamyka oczy. Zdziwiające, że człowiek, który tak lubi spać, może budzić się najwcześniej i wyrwać nas ze snu swym okropnym głosem.

– Jerassy – mówię – masz okropny głos.

– Wiem – odpowiada nie otwierając oczu. – Mam taki głos od dzieciństwa. Choć Weronice się podobał.

Weronika, żona Jerassy'ego, umarła w zeszłym roku. Pracowała nad kulturą wirusa, który znaleźliśmy

na jednym z zabłąkanych asteroidów.

Łazik wjeżdża w wąwóz ogrodzony plastikowym płótem chroniącym przed pyłem. Wsiadam na ziemię trzeci. Zaraz za Martą i Dolińskim. Na niewiele zdał się ów pancerny zasiek – w ciągu nocy naniósł pyłu aż po kolana. Jerassy jest już z ssawą odkurzacza, zrzuca ją do rozkopu, a ta, niby żywa pełźnie po ziemi pochłaniając kurz.

Prace archeologiczne tutaj, to czyste szaleństwo. Burze piaskowe potrafią w ciągu trzech dni zasypać drapacz chmur, nawet ślad po nim nie zostanie. A w ciągu następnych trzech dni te same burze mogą wyryć wokół niego stumetrową jamę. Burze niosą również sadze i cząsteczki węgla drzewnego z niekończących się leśnych pożarów, które szaleją za błotami. Nie byliśmy więc w stanie ustalić pochodzenia żadnego ze znalezionych kamieni.

Zresztą, nie wiemy dotychczas kto i kiedy zbudował tę osadę, kto w niej mieszkał. Nie mamy pojęcia, co stało się z mieszkańcami tej planety, dokąd odeszli, dlaczego wymarli. Zrobimy jednak wszystko, co w naszej mocy. No i czekamy, aż odkurzaczy zakończy swe bojowe zadanie w wykopie i będzie można tam zejść ze skrobakami, pędzelkami i wypatrywać oczy w poszukiwaniu kości, skorup naczyń, welenki albo w najgorszym wypadku, jakiegoś związku organicznego.

– Budowali solidnie – twierdzi Jerassy. – Widać jednak, że i wtedy burze przeszkadzały im w życiu.

Wczoraj odkryliśmy w wykopie mur – fundament gmachu lub gmachów, odsłaniany przez nas wpijał się w masyw.

– Oni już dawno stąd odeszli – powiedziała Marta. – Gdyby nawet przetrząsnąć całą tę pustynię, znajdziemy również tylko inne budowle, lub ślady po nich.

– Należałoby dokładniej przeszukać góry za błotami – mówię. – Tutaj i tak niczego nie znajdziemy.

– A masz? – dodaje Jerassy.

– I piramidka? – uzupełnia Marta.

Masz zobaczyliśmy jeszcze podczas pierwszego lotu. Tyle że uniosła go kolejna burza, zanim tu dobrnęliśmy. I ukryła w piachu. Piramidkę odkopaliśmy. Gdyby jej nie było, nie babralibyśmy się trzeci tydzień w wykopie. I oto stała przed nami, gładka, podobna do skały, jak gdyby wyciosana z niej. Weźmiemy ją ze sobą. Pozostałe trofea: jakiś odprysk skalny i rysy na skale. Żadnych napisów ani metalu...

– W górach, za błotem nie sposób było żyć. Nawet w najlepszych czasach brakowało wody. I w ogóle jest to jedno z tych nielicznych miejsc...

Jerassy znów ma rację. Bezkrzesne błota, po których pływają, splótszy się korzeniami namioty drzew, góry, jakby umyślnie tak wydumane, że nie sposób się do nich dostać. Ocean bez końca. A w nim jedynie burza i najprymitywniejsze organizmy. Życie musiało stąd gdzieś odejść, może wręcz wymarło i dopiero teraz zaczyna się odradzać, pomału, od pierwotniaków.

– Schodzimy w dół.

– Jest przy mnie Doliński.

– Czas wracać do domu – mówi czyszcząc bok kwadratowego wgłębienia w skale. – Co o tym myślisz?

– Pewnie – odpowiada.

– A ja się waham. Komu jesteśmy tam potrzebni? Kto na nas czeka?

– Przecież wiedziałeś, po co tu lecimy – odpowiadam. W szczelinie coś błysnęło.

– Wiedziałem i nie wiedziałem. Kiedy startowaliśmy, uchodziliśmy za bohaterów. A cóż może być bardziej żalostnego, niż widok zapomnianego bohatera. Chodzi taki po ulicy, struga wariata: nie pamiętacie mnie państwo przypadkiem? Nie pamiętamy, absolutnie, zupełnie, nawet przypadkiem!



– No i co z tego – mówię. – Nigdy nie byłem bohaterem.

– Nie wyobrażasz sobie, jak zmienił się świat, do którego wracamy po dwustu latach. Jeśli świat jeszcze istnieje...

– Patrz, moim zdaniem to metal – mówię.

Miałem dość rozmów z Dolińskim. Widać było, że tchórzy. Stchórzyliśmy zresztą wszyscy poświęcając włóczędże swe najlepsze lata. Oddając się badaniom systemu planetarnego, którego nikt przed nami nie oglądał, gwiazdnym strumieniom, potokom meteorytów, tajemnicy wielkiego odkrycia. A to materializowało się jedynie w postaci milionów symboli, suchych cyfr i przepadało we wnętrzu Mózgu statku. Cały ostatni rok miotaliśmy się po Galaktyce lądując na martwych planetach i asteroidach, to hamując, to znów nabierając prędkości, świadomi, że zbliża się czas powrotu, że choinka już pełna ozdóbek, że święto w pełni i niedługo się skończy. Tyle, że święto, jak zwykle, było znacznie skromniejsze, nie to, jakiego się spodziewaliśmy. Cel osiągnęliśmy; zrealizowaliśmy to, cośmy zrealizować zamierzali, niestety, nic więcej. Mózg statku pęczniał od informacji, lecz marzenia nasze, pielęgnowane, hołubione podczas wielu lat podróży, pozostawały niespełnione.

Do ostatniej planety zbliżyliśmy się akurat wtedy, gdy w rezerwie pozostał miesiąc. Zaraz potem powinniśmy wziąć kurs na Ziemię. W przeciwnym razie nigdy nie uda się nam tam wrócić. Kiedy startowaliśmy z Ziemi było nas osiemnaścioro. Zostało dwanaścioro. I jedynie na ostatniej planecie, nieprzyjaznej człowiekowi (pozostałe były w ogóle wrogie), odnaleźliśmy ślady działalności istot rozumnych. W przerwach między burzami wpijaliśmy się w skały, grzebaliśmy w piachu, chcąc pojąć wszystko, czego można się było dowiedzieć o owym rozumnym życiu. Za dwa dni – start. I prawie pięć lat powrotu, pięć lat w drodze...

W dłoni trzymałem ciężką kulkę wielkości orzecha laskowego. Nie skorodowała, była wyraźna jak piach, skały, jak wisząca nad nami chmura.

– Jerassy! – krzyknąłem. – Kulka.

– Co? – Zrywający się wiatr unosił słowa. – Jaka kulka?

Chmura kurzu zwała się na nas z góry.

– Przeczekamy? – spytała Marta i podchwyciła kulkę. – Ciężka...

– Do łazika – powiedział przez radio kapitan. – Nadchodzi burza.

– Nie lepiej tu ją przeczekać? – spytał Doliński. – Właśnie znaleźliśmy kulkę. Metalową.

– Nie, do łazika. Zbliża się potężna burza!

– Jedną chwilkę – wtrącił Jerassy. – Jeżeli to faktycznie ogromna burza, to zabierzmy stąd chociaż piramidkę. Bo ją tak zasypie, że przez cały jutrzejszy dzień jej nie odkopimy. I przyjdzie wracać prawie z pustymi rękami.

– Nie ma potrzeby, zostawimy ją tu – zaznaczył kapitan. – Mamy jej fotografię, wymiary... W przeciwnym razie was zasypie. A wtedy możecie sobie odkopywać...

Doliński roześmiał się.

– Uchwycimy się murów. Nie zniesie nas.

Nowa porcja kurzu zwała się z góry. Pył osiadał wolno, krążył dokoła, niby rój natrętnych komarów. Jerassy powiedział:

– Bierzemy się za piramidkę?

– Doliński, szybko, łazik. Mamy tam wszystko, co trzeba.

Łazik rzeczywiście był przygotowany. Wyposażyliśmy go w podnośnik.

– Rozkazuję natychmiast wracać na statek! – krzyczał kapitan.

– A geolodzy wrócili? – spytał Jerassy.

– Już wracają!

– Ale nie możemy przecież zostawić tutaj piramidki.

– Jutro po nią wrócicie!

– Burza trwa zwykle dwa, trzy dni! – Mówiąc to Jerassy zarzucił na piramidkę pętlę stalowej linki, ja zaś chwyciłem palnik, aby oddzielić jego promieniem podstawę piramidy. Palnik zasyczał, kamień poczerwieniał, zatrzeszczał, walczył z promieniami stawiając im opór.

Ciemna chmura, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie widziałem, zawisała nad nami, zrobiło się ciemno, kurz przysłonił obłoki, wiatr pchał próbując unieść nas w górę, wkręcić w sam środek trąby. Odepchnąłem Martę, która próbowała mi pomóc, krzyknąłem, żeby schowała się w łaziku. Obserwowałem ją kątem oka, sprawdzałem, czy posłuchała rozkazu. Wiatr walił w plecy, omal mnie nie przewrócił, palnik drgnął w rękę kreśląc na boku piramidki jasnoczerwoną ryse.

– Dobra! – krzyknął Jerassy. – Jeszcze trochę!

Piramidka nie myślała się poddać. Czy Marta zdążyła do łazika? Tam w górze wiatr zupełnie oszalał, pętla naciągnęła się, wyprężyła. Kapitan wściekły wrzeszczał przez radio.

– A może, rzeczywiście, zostawmy to.

Jerassy stał obok wsparty plecami o ścianę wykopu. Oczy miał jak u obłąkańca.

– Dawaj piłę!

– Zostaw, ja sam!

Nagle piramidka wydała krzyk, coś, niby jęk walącego się drzewa i poleciała w górę. Potem przeleciała na drugą stronę wykopu, rozwalila plastikową osłonę i ruszyła w naszym kierunku, by nas rozgnieść na proszek. Ledwo zdarzyliśmy odskoczyć. Piramidka wbiła się w ścianę, w górę podniosła się chmura pyłu i straciłem z oczu Jerassy'ego. Kierował mną prymitywny instynkt samozachowawczy. Musiałem za wszelką cenę wydostać się z pułapki, z jamy, w której harcowała i miotła się piramidka miażdżąc wszystko, próbując wyrwać się z objęć stalowej pętli.

Wiatr pochwycił mnie i niby suchy listek uniósł po piachu, którego starałem się przytrzymać, choć ten wymyka! się spod palców; pomyślałem, że muszę przypominać statek pędzący wprost na skały, statek, którego kotwica zaledwie pociera o dno w żaden sposób nic mogąc ucześcić się gruntu. Bałem się stracić przytomność od uderzeń i razów, wydawało mi się, że będę wówczas bardziej bezbronny, że zawlecze mnie na bagna, a wtedy nikt mnie nigdy nie znajdzie.

Zawdzięczałem życie skale wystającej z piachu. Wiatr podniósł mnie, oderwał od ziemi jak gdyby chciał mnie zapędzić w chmury, i właśnie tu, ta skała stanęła mi na drodze, wysunęła swój ostry koniec i niestety straciłem przytomność.

Nie na długo. Po chwili przyszedłem do siebie. Było cicho i ciemno. Piach, który mnie przysypał, dusił klatkę piersiową, nogi i zrobiło mi się straszno. Byłem żywcem pogrzebany. „Spokojnie, stary, pomyślałem, tylko spokojnie”.

– Spartak – powiedziałem głośno. – Spartak.

Radio milczało. Było roztrzaskane.

Mimo wszystko, miałem szczęście, pomyślałem. Mogłem; przecież rozwalić maskę, mogłem się udusić. Próbuję ruszyć palcami. Udało się. Przeszła minuta, dwie. wieczność cała i przekonałem się, że mogę ruszać prawą ręką. Minęła znów wieczność i mogłem wymacać nią koniec skały.

Kiedy zrozumiałem, że wydostanę się na powierzchnię, gdy ustąpił strach pierwszych chwil, wróciło wszystko pozostałe. Po pierwsze: ból. Dostałem się w sam środek burzy i na dobitkę walnęło mną tak mocno o skałę, że nie mogłem dotknąć boku i oddychałem z trudem. Z pewnością złamałem żebro, może dwa. Po drugie: powietrze. Spojrzałem na aerometr. Starczy na godzinę. To znaczy, że od początku burzy minęły trzy godziny. Czemu nie wziąłem z bazy zapasowej butli? Mają ich tam około pięćdziesiąt. A każda, na sześć godzin. Zgodnie z przepisami powinno się mieć przy sobie dwie. Tyle tylko,

że dodatkowa butla przeszkadza przy pracy w wykopie i zwykle zostawialiśmy ją w łażniku. Po trzecie: jak daleko stąd do statku. Po czwarte: czy burza ucichła? Po piąte: czy pozostali dotarli do statku, a jeśli tak, to czy domyślają się, w którą stronę mnie rzuciło i gdzie należy szukać.

Ręka trafiła w próżnię. Wychodziłem niby kret z nory, a wiatr (odpowiedź na czwarte pytanie – negatywna) próbował zepchnąć mnie z powrotem w jamę. Przykucnąłem pod skałą wstrzymując oddech. Skała była jedynym pewnym miejscem w tym piekle. Statku nie było widać. Nawet jeśli był gdzieś zupełnie blisko. W kłębach kurzu nie mogłem dojrzeć niczego, nawet na pięć metrów. Wiatr nie był już tak wściekle porywisty, jak na początku burzy. Choć, być może, oszukiwałem sam siebie. Czekałem, kiedy kolejny podmuch żywiołu rozpędzi kurz, przyprze go do ziemi. Wtedy rozejrzę się dokładniej. Wierzyłem, że kiedy wiatr przygwoździ pył – ujrzę statek.

W którą stronę patrzeć? Dokąd iść? Najlepiej tak, aby ciągle mieć za sobą skałę. Przecież to ona właśnie przerwała mój lot na oślep. Nie czekałem, aż wiatr zdusi pył. Poszedłem wprost na burzę. Powietrza miałem jeszcze na około czterdzieści cztery minuty.

Potem było go już na trzydzieści minut. Potem upadłem, wiatr rzucił mną do tyłu, przez co straciłem kolejne pięć minut. Potem powietrza miałem już tylko na piętnaście minut. A potem przestałem spoglądać na wskaźnik.

Moment wytchnienia wypadł właśnie wtedy, gdy według moich obliczeń powietrza nie powinno być wcale. Brnąłem przez powoli opadający pył, nie zwracając uwagi na ból w boku, nie miało to bowiem najmniejszego znaczenia. Starłem się oddychać równo, choć oddech miałem urywany, odnosiłem wrażenie, że nie mam powietrza w ogóle!

Zabrakło go, gdy daleko, prawie na końcu świata, w opadającym kurzu, ujrzałem statek. Zacząłem biec w jego kierunku. Nie miałem czym oddychać. Dusząc się zerwałem maskę, choć to nie mogło mnie uratować: płuca palił gorzki pył i opary amoniaku. Przez lokator zauważono mnie nieco wcześniej.

Wracałem do siebie w szpitalu, małym białym szpitaliku z dwoma łózkami, w którym każdy z nas przebywał w ciągu tych lat lecząc rany, przeziębienia lub bycząc się podczas kwarantanny. Przyszedłem do siebie w szpitalu i natychmiast zrozumiałem, że statek przygotowuje się do startu.

– Zuch z ciebie – oznajmił mi doktor Grot. – Dobry jesteś! Świetnie sobie poradziłeś!

– Startujemy? – spytałem.

– Tak – odpowiedział Grot. – Będziesz musiał położyć się w amortyzatorze. Twe kości nie zniosą przeciążeń. Złamałeś trzy żebra, masz przerwaną przeponę.

– Co z pozostałymi? – zapytałem. – Jak Marta, Jerassy? Co z Dolińskim?

– Z Martą wszystko okay. Zdążyła. Posłuchała cię.

– Chcesz powiedzieć...

– Jerassy nie żyje. Znaleźliśmy go po burzy. Wyobraź sobie trzydzieści metrów od wykopu. Kropnęło nim o łażnik, rozwalił maskę. Sądziliśmy, że również nie żyjesz.

Nie chciałem pytać o nic więcej. Doktor odszedł przygotować amortyzator. Ja tymczasem leżałem i w miarę, jak upływały minuty przeżywałem na nowo swoje zachowanie, tam, w wykopie. Myślałem: wtedy jeszcze mogłem uratować Jerassy'ego. I w tym – również... A wcześniej jednak mogłem po prostu stwierdzić: do cholery z piramidką, kapitan rozkazał wracać, to trzeba wracać...

Trzeciego dnia po starcie statek nabrał szybkości i wziął kurs na Ziemię. Przeciążeń było teraz mniej, mogłem więc po wyjściu z amortyzatora pokuśtykać do kabin kolegów.

– Zamieniłem się z tobą kolejką po sen – powiedział Doliński. – Doktor stwierdził, że lepiej byłoby, gdyby jeszcze z miesiąc odpoczął.

– Wiem – odpowiedziałem.

- Zgadzasz się?
- Czemu nie? Ujrzymy się za rok.
- Krzyczałem – kontynuował Doliński – abyście zostawili tę piramidkę i pędzili do łazika.
- Nie było słychać. Zresztą, to nie miało znaczenia. Byliśmy pewni, że zdążymy.
- Oddałem do ekspertyzy kulkę.
- Jaką kulkę?
- Tyś ją znalazł. Oddałeś mi ją, kiedy pędziłem do łazika.
- A... Zupełnie zapomniałem. A co z piramidką?
- W sekcji towarowej. Pękła. Badają ją Marta i Rano.
- A więc mam wachtę z kapitanem?
- Z kapitanem, Martą i Grotem. Niewielu nas zostało.
- Niepotrzebna tu wachta.
- Chyba tak, podobnie jak rok bezpowrotnie stracony.

Wszedł Grot. Trzymał w ręce jakąś karteczkę.

– To śmieszne, kulka wygląda na zupełnie nową. Dzień dobry, panie Doliński. A więc mówię, że kulka nie jest stara, ma jakieś dwadzieścia lat.

– Nie – zaprzeczył Doliński – przecież tyle dni przesiedzieliśmy w tym cholernym wykopie, starym jak świat. Zatem kulka musi być stara.

W drzwiach „bawialni” stał kapitan i przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– Czy pan się nie myli, kolego Grot? – zapytał.

– Powinienem się natychmiast obrazić – odparł doktor. – I ja, i Mózg powtarzaliśmy analizę cztery razy. Na początku sam nie wierzyłem.

– A może zgubił ją Doliński? – spytał kapitan zwracając się do mnie.

– Doliński może potwierdzić, że sam ją wydlubałem ze skały.

– W takim razie pozostaje jeszcze jeden wariant.

– Nonsens.

– Dlaczego?

– Bo jak w ciągu dwudziestu lat mogło to wszystko ulec tak potwornym zniszczeniom.

– Na tej planecie mogło. Przypomnij sobie, jak cię pogoniła burza i trujące opary w powietrzu.

– Więc sądzi pan, że ktoś był tu przed nami?

– Tak właśnie sędzę.

Kapitan miał rację. Następnego dnia po rozpiłowaniu piramidki, Marta wyciągnęła z niej kapsułkę. Kiedy położyła ją na stole w laboratorium, a my stłoczyliśmy się za jej plecami, Grot oznajmił:

– Spóźniliśmy się, niestety, o całe dwadzieścia lat. Ileż pokoleń marzyło o Kontakcie! Zaprzepaściliśmy szansę.

– Niezupełnie, kolego Grot – powiedział kapitan. – Kontakt jest. Tu, przed nami. Spotkaliśmy ich, mimo wszystko.

– Dużo zależy od tego, co znajdziemy w tej kapsułce.

– Mam nadzieję, że nie wirusy – powiedział Doliński.

– Otwórzmy ją manipulatorem.

– Może jednak poczekamy z tym aż do powrotu na Ziemię.

– Czekać cierpliwie pięć lat? O, nie! – oznajmiła Rano. – Ciekawość zawsze brała nad nami górę. Nie będziemy czekać tak długo. Otworzymy kapsułę natychmiast!

– Nie na próżno zginął Jerassy – stwierdziła cicho Marta.

Powiedziała to tak, że tylko ja mogłem słyszeć jej słowa. Kiwnąłem głową, chwyciłem ją za rękę. Miała chłodne palce. Chwytały manipulatora położyły na stole połówki kapsuły i wyciągnęły papierowy zwitek. Ten poruszył się i rozwinął nagle. Przez szybę dostrzegliśmy napis.

*Statek, galaktyczny „Saturn”. Sygnały rozpoznawcze 36/14. Start z Ziemi – 12 marca 2167 r. Lądowanie na planecie – 6 maja 2167 r.*

Po czym następował tekst, lecz nikt z nas go nie czytał. Nie mogliśmy. Kilka razy przebiegaliśmy wzrokiem pierwsze słowa:

– Start z Ziemi – 12 marca 2167 r. Dwadzieścia lat temu... Lądowanie na planecie – 6 maja 2167 – również dwadzieścia lat temu.

– Start z Ziemi... Lądowanie... W tym samym roku.

I każdy z nas, niezależnie od stanu nerwów, przeżywał w tym momencie własną tragedię. Tragedię bezsensu idei, której poświęcił życie, nikomu niepotrzebnych ofiar.

Sto lat temu, według naszych ziemskich obliczeń, opuściliśmy Ziemię pewni, że nigdy nie ujrzymy przyjaciół i najbliższych. Szliśmy na dobrowolne zesłanie, najdłuższe, jakie można było sobie wyobrazić. Wiedzieliśmy, że Ziemi nic po nas, a jednocześnie zdawaliśmy sobie sprawę, że nasza ofiara jest jej potrzebna choćby dlatego, żeby ktoś mógł wykorzystać wiedzę i umiejętność wniknięcia w głęboki kosmos, w światy, których oglądanie bez ofiar było niemożliwe. Wicher kosmiczny zniósł nas z kursu, dążyliśmy do celu rok po roku, życie przemijało, a myśmy odliczali dziesiątki lat, jakie upływały w tym czasie na Ziemi.

– A więc nauczyli się pokonywać przestrzeń – powiedział w końcu kapitan.

Zauważyłem, że powiedział „oni”, a nie „my”, choć zawsze, mówiąc o Ziemi używał słowa „my”.

– To dobrze – zaznaczył. – Znakomicie. Zatem byli tu przed nami.

Nie powiedział niczego więcej. Resztę dopowiedzieliśmy sobie sami. A więc byli tu wcześniej. I doskonale sobie poradzili bez nas. To znaczy, że za cztery i pół roku naszego czasu, a za sto lat ziemskiego wylądujemy na kosmodromie (o ile nie zginiemy w drodze) i zdziwiony dyspozytor zwróci się do swego kolegi zza pulpitu: „Popatrz no, a cóż to za brontozaur? Nawet lądować nie potrafi. Poniszczy wszystkie oranżerie, jeszcze trochę, a rozwali zwierciadło obserwatorium. Niechże go ktoś przechwyci i jazda z nim na śmietnik!”.

Rozeszliśmy się do kajut i nikt nie wyszedł na kolację.

Wieczorem zajął do mnie doktor. Wyglądał na ogromnie zmęczonego.

– Nie bardzo wiem – powiedział – w jaki sposób trafimy do domu. Nie mam sygnału.

– Trafimy – odpowiedziałem. – W końcu jakoś trafimy.

– Uwaga wszyscy członkowie załogi! – rozległo się w głośniku. – Uwaga załoga! – Mówił kapitan. Głos miał ochrypliwy, jakby niepewny.

– Co mogło się jeszcze zdarzyć? – Doktor oczekiwał kolejnego nieszczęścia.

– Uwaga! Włączam radiostację dalekiego zasięgu. Mamy komunikat w kanale galaktycznym.

Kanał milczał wiele lat. I musiał milczeć, bo od zamieszkałych planet dzieliła nas odległość, przy której utrzymywanie łączności wydawało się czystą głupotą.

Spojrzałem na doktora. Oczy miał zamknięte, głowę odchylił do tyłu, jak gdyby wierzył, że wszystko, co się działo w tej chwili, to tylko sen, nic więcej, tylko sen, lecz budzić się nie wolno, aby nie spłoszyć marzenia.

Było słycać kroki, brzęczenie niewidzialnych strun i jakiś młody, diabelnie młody i podniecony głos krzyczał, donosił przez miliony kilometrów:

– Spartak, Spartak, czy mnie słyszycie? Spartak, ja pierwszy was odnalazłem! Spartak,

rozpoczynajcie hamowanie. Lecimy po tym samym torze. Spartak – tu statek patrolowy Olimpia, tu statek patrolowy Olimpia. Mam dyżur w waszym sektorze. Szukamy was już dwadzieścia lat! Nazywam się Artur Szeno. Zapamiętajcie, Artur Szeno. Ja pierwszy was odnalazłem!... Miałem fantastyczne szczęście. Pierwszy was...

Nagle przerwał, zakaszłał i w tym momencie wyraźnie zauważyłem, jak pochylony, w ciasnej kabinie swego statku nad mikrofonem, nie potrafi oderwać oczu od białej plamki na ekranie radaru.

– Przepraszam – kontynuował. – Słyszycie mnie? Nie macie pojęcia, ile prezentów wam wiozę! Pełen luk. Świeże ogórki dla Dolińskiego. Czy pan mnie słyszy, Doliński? Jerassy, Weroniko, rodacy przesyłają wam tort owocowy. Zawsze go lubiliście...

Potem nastąpiła długa cisza.

– Włączam hamowanie – przerwał ją kapitan.

*Przełożył Janusz Klimek*

# AWARIA NA LINII

Mieszkamy w starym domu. Tak starym, że już kilkakrotnie wciągano go na listę zabytków historycznych i tyleż razy z tej listy skreślano, a to wskutek nalegań rady miejskiej, która chciała go zburzyć, lub dlatego, że nie miał wartości historycznej. Z czasem zburzą go na pewno, ale szybko to nie nastąpi.

Przed trzystu laty mieszkała w tym domu rodzina bojarska, która się niczym nie wślawiła. Potem bojar umarł, potomkowie jego spospolicieli i zbiednieli, a dom zaczął przechodzić z rąk do rąk. Pod koniec ubiegłego wieku podzielono go na mieszkania – po jednym na każdej z trzech kondygnacji, po rewolucji zaś dom został zagęszczony.

W naszym parterowym mieszkaniu jest osiem pokoi i pięć rodzin. Teraz pozostali w nim głównie staruszkowie i ja. Młodzież rozproszyła się po nowych dzielnicach. Mnie natomiast mój pokój całkowicie odpowiada. Ma dwadzieścia trzy metry kwadratowe, trzy trzydzieści wysokości, sklepienie, oraz alkowę, gdzie dawniej stało moje łóżko, a teraz zwałem książki. Nie ma mi kto robić wymówek za nieporządek. Matka wyjechała do ojczyzny do Nowosybirsk, a z Haliną się nie ożeniłem.

Tej nocy późno się położyłem. Czytałem ostatnią powieść Aleksandra Czerniajewa. Niedokończoną. Czerniajew zmarł bowiem z głodu w Leningradzie w roku czterdziestym drugim. Powieści tej długo nie drukowano i dopiero teraz, kiedy się ukazały jego dzieła zebrane, zamieszczono ją w ostatnim tomie wraz z listami i artykułami krytycznymi.

Wiedziałem, że mam do przeczytania najwyżej dziesięć stron, a akcja właśnie się rozwijała. I nawet się nie zdąży rozwinąć. Nigdy się już nie dowiem, co chciał zrobić dziadek Czerniajew ze swoimi bohaterami, nikt nie dokończy tej powieści, gdyż nie zdoła zobaczyć świata takim, jakim widział go Czerniajew. Z żalem odłożyłem tom nie zajrzawszy nawet do artykułów krytycznych, ani do komentarza powieści, napisanego przez znanego specjalistę od twórczości Czerniajewa. Specjalista wysuwał zapewne przypuszczenia, jakby wyglądała powieść, gdyby pisarz ją ukończył. Wiedziałem, że Czerniajew pisał powieść do ostatniego dnia. Na marginesie jednej z ostatnich stron widniały słowa: „Spaliłem ostatnie krzesło. Osłabienie”. Później Czerniajew nie pozwolił już sobie na żadne niepotrzebne słowo. Nie przestawał pisać. Pisał jeszcze trzy dni. I umarł. A rękopis znaleziono później, po dwóch tygodniach, kiedy przyszedł ktoś z radia leningradzkiego, aby się dowiedzieć, co się dzieje z pisarzem. Jak widać, owego wieczoru prześladowały mnie dość niewesołe myśli, a bohaterowie książki w żaden sposób nie chcieli opuścić pokoju. Usiłowali mi coś powiedzieć...

Nagle rozległ się brzęk.

Ściany naszego domu są bardzo grube. Budowniczy z końca siedemnastego wieku zastosował współczynnik bezpieczeństwa sięgający chyba ośmiuset procent. Nawet ściany działowe między pokojami były na trzy cegły. Kiedy więc sąsiedzi grają na fortepianie, nie słyszę prawie nic. Dlatego też nie miałem wątpliwości, iż dźwięk rozbrzmiał właśnie moim pokojem. Taki dziwny dźwięk, jakby ktoś upuścił srebrną wazę.

Wyciągnąłem rękę i zapaliłem światło. Bohaterowie książki znikli. Cisza. Cóż takiego mogło spaść? Poleżałem trochę, potem zaczął mnie morzyć sen, więc zgasiłem lampę. I niemal natychmiast coś grzmotnęło. Krótko i potężnie. Zrobiło mi się nieswojo. Nie jestem ani trochę przesądny, ale któż to u licha ciska różnymi przedmiotami po moim pokoju?

Znów zapaliłem światło i wstałem z łóżka. Obszedłem cały pokój i nawet zajrzałem do alkowy. Nic



nie znalazłem. Kiedy się jednak odwróciłem tyłem do alkowy, znowu stamtąd rozległ się brzęk. Podskoczyłem i odwróciłem się o sto osiemdziesiąt stopni. I znowu nic a nic nie wykryłem, ale pobrzękiwanie już nie ustawało. Co dziesięć sekund dzyń. Potem pauza. Liczyłem: jeden, dwa, i... po dziesiątej sekundzie znowu – dzyń.

Prawdą mówiąc, o mało rozumu nie postradałem z niepokoju. Ktoś w pokoju dzwoni, a ja jestem całkowicie bezradny. Zacząłem systematycznie badać pokój. Czekałem, aż się rozlegnie dźwięk, i robiłem krok w tym kierunku, skąd było go słychać. Sprawdziłem już, że rozbrzmiewa z gładkiej płaszczyzny ściany między alkową i drzwiami. Po czwartym kroku znalazłem się przy samej ścianie i przyłożyłem do niej ucho. „Raz i...” – liczyłem. Po dziesiątej sekundzie tuż przy uchu rozległ się wyraźny brzęk.

Postanowiłem rozważyć, czym można by wyjaśnić to zjawisko. Z drugiej strony jest ściana przedpokoju, a właściwie głębokiej wnęki, gdzie dawniej stały dwa rowery; kiedy rowery wyjechały, babcia Kapłan postawiła w niej pseudo mahoniową szafę. W szafie tej wszyscy lokatorzy mieszkania chowali graty, które by należało wyrzucić, ale na razie było ich szkoda.

Muszę więc oczywiście wyjść do przedpokoju i zobaczyć, co się dzieje w szafie. Niczego się nie spodziewałem tam zobaczyć – ściana była gruba, a dźwięk rozbrzmiewał przy samym uchu. Mimo wszystko włożyłem pantofle i wyszedłem z pokoju. Wszyscy spali. W przedpokoju było ciemno, zapaliłem więc lampę, by się przekonać, że nikogo w nim nie ma. Podszedłem do szafy i otworzyłem ją. Z trudem udało mi się przytrzymać pełną przedwojennych gazet wianienkę dziecięcą, która omal nie spadła mi na nogi. Drugą ręką pochwyciłem pustą złoconą ramą, a brzuchem naparłem na resztę rzeczy. W takiej pozycji znieruchomiałem zapewne na minutę, półtorej. Wreszcie mi się wydało, że słyszę odległy dzwon. Może mi się tylko wydawało, zbyt usilnie bowiem nasłuchiwałem. W każdym razie dźwięki nie rozlegały się z szafy. Zamknąłem ją więc i wróciłem do pokoju. Gdy tylko wszedłem, natychmiast usłyszałem – dzyń...

Długo przykładałem ucho do różnych punktów ściany, dopóki się nie przekonałem, że dźwięk rodził się za szarą plamą na tapecie na wysokości moich piersi, osiemdziesiąt centymetrów od rogu alkowy. Zakończyłem teoretyczną część swoich dociekań. Teraz pora przejść do eksperymentu.

Całkiem mi się już odechciało spać. Przysunąłem do ściany krzesło i zacząłem się zastanawiać, czy zrywać tapety, czy powstrzymać się od tego. Nie wiem, jakie bym powziął postanowienie, gdyby nie silny odgłos, niemal łoskot, który zastąpił równomierne pobrzękiwanie. Potem nastąpiła cisza.

Nóż wziąłem z kuchni. Ze stołu babci Kapłan. Nóż był długi, dobrze wyostrzony (moja robota), o spiczastym końcu. O taki mi właśnie chodziło. Wziąłem jeszcze młotek, by opukać ścianę. Dziwne, że nie pomyślałem o tym wcześniej. To jednak zrozumiałe – nie co dzień lęgną się w ścianie przywidzenia. Stukałem w ścianą niezbyt mocno, żeby nie obudzić sąsiadów. Dopukałem się w ścianie czworoboku – siedemdziesiąt na siedemdziesiąt – za którym na pewno była próżnia. Nie miałem już wątpliwości. Nożem wyciąłem część tapety pośrodku owego kwadratu. Tapeta oderwała się z lekkim chrzęstem, ukazując strzępy gazet i skrawek niebieskiej ściany. Przyglądałem się jej z zaciekawieniem – tak wyglądała ta ściana podczas wojny. Teraz przypomniałem sobie, jakie u nas wtedy stały meble, przypomniałem sobie zaciemnienie – czarną, papierową płachtę z drobnymi dziureczkami niczym wygwieżdzone niebo. Nazywałem je nie zaciemnieniem, lecz oświeceniem, a mama zawsze się śmiała.

Przy samym uchu znowu coś brzęknęło. Ostрым końcem młotka postukałem po niebieskiej farbie i odbiłem kawał tynku. Potem pomyślałem, że trzeba było na podłodze rozesać gazety, ale zrezygnowałem, bo już i tak było nabrudzone.

Spod tynku wyrzała czerwona cegła i żółtawa warstewka zaprawy. Cegła siedziała mocno, mozoliłem się więc nad nią z dziesięć minut, nim drgnęła i opuściła swoje miejsce.

Za cegłą ziała dziura. Zapaliłem zapałkę i poświęciłem do środka. Płomień oświetlił cegłę po przeciwległej stronie skrytki i wtedy zobaczyłem, że na dole coś błyszczy. Ostrożnie zanurzyłem rękę i z trudem dosięgnąłem dna. Palce dotknęły metalu, metalowych krążków. Wydobyłem je na zewnątrz. Okazało się, że są to jakieś stare srebrne monety.

Były ciepłe.

Masz tobie! Skarb! We własnym pokoju znaleźć skarb! Czy zresztą mało jest skarbów w ścianach starych domów?

To prawda, że co innego, jeśli się o tym czyta w gazecie czy książce, a co innego, kiedy osobiście nas to spotyka...

Znowu wsunąłem rękę do środka i znowu wydobyłem garść monet. Leżało tam jeszcze coś większego. Żeby to jednak wyciągnąć, trzeba było rozszerzyć otwór. Monety obejrzałem dokładnie. Były bardzo stare i nie rosyjskie. Upaprałem się i mało nie rozbudziłem całego domu, kiedy wyjmowałem jeszcze jedną warstwę cegieł. Teraz mogłem w niszę wsunąć głowę.

Nie zrobiłem tego jednak. Wziąłem ze stołu lampę i postawiłem ją na przysuniętym krześle. Drugie krzesło postawiłem obok. W ten sposób zdobyłem prawdziwie naukowe możliwości zbadania dziury. Otrzeptałem się z tynku, podłożyłem pod lampę nieco wyższy stos książek, aby światło padało do wnęki, i zajrzałem do środka.

Cóż tam zobaczyłem?

Wnęka ze skarbem stanowiła regularny sześcian wyciosany w ścianie. Tylna ścianka była gładka i nowiutka, jakby cegły ułożono w niej zaledwie wczoraj, a dla wzmocnienia uzbrojono ją stalowymi taśmami. Bocznych ścianek na razie nie oglądałem, patrzyłem przede wszystkim na dno wnęki zavalone monetami. Ponadto na dnie leżała czara z jakiegoś szlachetnego metalu i... żelazna rękawica. Chyba od zbroi.

Wydobyłem ją. Ciężka, o palcach nieco zgiętych, by łatwiej było ująć miecz lub kopię, miała jeszcze rzemyki służące do lepszego umocowania na ręce. Położyłem rękawicę na stole i sięgnąłem po czarę, a wtedy się zdarzyło coś całkiem dziwnego.

Z góry spadła na moją rękę jeszcze jedna moneta. Ciepła srebrna moneta. Jak gdyby się odkleiła od stropu wnęki. Moneta stoczyła się po mojej dłoni i zsunęła na stos innych monet, wydając dobrze mi znany dźwięk: dzyń.

Zamarłem. Przecież zapomniałem, że dobrałem się do ściany właśnie z powodu dolatujących z niej dźwięków. A kiedy ujrzałem monety, uznałem, że to stary skarb.

Poświęciłem lampą na strop skrytki. Był czarny, lśniący, bez żadnego otworu i chłodny w dotknięciu. Żadna moneta nie mogła się do niego przykleić.

Poczekąłem, czy się jeszcze coś nie zdarzy, ponieważ się jednak nic nie zdarzyło, wyciągnąłem skarby na zewnątrz i rozłożyłem na krześle. I siedząc na krześle zasnąłem w toku rozmyślań, czy się rankiem wybrać do muzeum, czy też upewnić się najpierw, że nie znalazłem błahostek. Jeszcze by się śmieli.

Nad ranem, sam już nie wiem jak, przeniosłem się na łóżko. Obudził mnie dzwonek budzika. Przez minutę usiłowałem sobie uświadomić, co się to zdumiewającego zdarzyło w nocy. Dopiero ujrawszy czarną dziurę w ścianie, a na podłodze pokruszony tynk, strzępy tapety i odłamki cegieł, zrozumiałem, że to wszystko nie był sen, że istotnie odkryłem w swojej ścianie skarb, i to skarb bardzo dziwny. Na czym jednak polegała ta dziwność, nie zdążyłem sobie przypomnieć, do drzwi bowiem zapukała babcia Kapłan i spytała, czy nie wziąłem jej noża.

A potem się zaczął normalny poranny pośpiech. Czekać, aż łazienkę zwolni dziadek Kapłan, przypominałem sobie, że od rana mamy u naczelnego technologa naradę, na której musiałem być, poza

tym kończyło mi się masło i będę musiał pożyczyć je od Liny Grigorjewny... Zdążyłem jednak zasłonić dziurę regałem i włożyć parę monet do kieszeni, a żelazną rękawicę do walizeczki.

Na zebraniu nie myślałem o znalezisku, ale gdy tylko narada się skończyła, podszedłem do Mitina. Jest numizmatykiem. Pokazałem mu jedną ze swym monet i zapytałem, z jakiego to kraju.

Mitin odłożył teczkę, pogładził łysinę i obejrzawszy monetę powiedział, że to śmieć. Interesowało go tylko, skąd ją mam. Pewnie od babci... Jak chcę, mogę mu ją dać. Trzeba jednak znać Mitina. Jest kolekcjonerem, chociaż więc zawsze się skarży, że ktoś go oszukał, to raczej bywa odwrotnie.

Już po tym, jak trzymał tę monetę i obracał w palcach, widać było, że nie jest to zwykła moneta.

– To nieważne, skąd ją wziąłem – rzekłem. – Nie dam ci, bo jest mi potrzebna.

– Nawiasem mówiąc, prosiłeś mnie o jednotomowe wydanie Bułhakowa. Nie mam, co prawda, drugiego egzemplarza, ale jeśli chcesz, dam ci za tę monetę swój.

– Ładny interes! – odpowiedziałem. – Przecież Bułhakowa nie pozbyłbyś się za żadne pieniądze.

Zrozumiał, że go przejrzałem, więc dodał niby dla wyjaśnienia:

– Nie mam tej monety w zbiorze. I chociaż jest podrabiana, przyda mi się.

– Dlaczego podrabiana?

– Jest świeżo wybita. Widzisz, jaka nowiutka. Jak gdyby wczoraj wyszła z mennicy.

– Aha! Dopiero wczoraj! Sam je robię. A jak się ona nazywa?

Mitin z żalem zrezygnował z monety i powiedział:

– Jefimok. Rosyjski jefimok.

– Ciekawe, dlaczego ta fizjonomia jest nie rosyjska?

– Dużo by mówić na ten temat. W każdym razie, kiedy jeszcze u nas nie biliśmy w dostatecznej liczbie własnych monet, posługiwaliśmy się obcymi – to było jeszcze przed Piotrem I. Oczywiście przed puszczeniem w obieg wybijaliśmy na nich rosyjską cechę. Te monety nazywano jefimkami. A teraz powiedz, skąd to wziąłeś?

– Później, Jura – odrzekłem. – Później. Może i ty dostaniesz. Mówisz więc, że przed Piotrem I?

– Tak.

Pomyślałem, że jeśli będę oddawał skarb do muzeum, to jedną monetę zatrzymam dla Mitina. Ostatecznie chce mi oddać swojego Bułhakowa.

W laboratorium jakby niechcący wydobyłem żelazną rękawicę. Dla żartu. Kiedy się koledzy zbiegli, powiedziałem:

– Dawno już była mi potrzebna. Mam zbyt miękki charakter. Teraz będę miał żelazną rękę. A więc, koledzy i koleżanki, trzymajcie się!

Dziewczęta zaczęły się śmiać, a Tartakowski zapytał:

– Nie mógłbyś przynieść całego rycerza?

– Rycerza? Choćby jutro.

W istocie jednak robota leciała mi tego dnia z rąk. Wreszcie nie wytrzymałem, podszedłem do Uzjanowa i poprosiłem o zwolnienie z godzin popołudniowych. Przyrzekłem, że potem odpracuję. Widocznie zrozumiał, jak bardzo mi zależy, bo powiedział: „W porządku, idź, jak musisz”.

Nie zadzwoniłem, tylko otworzyłem drzwi kluczem i szybko poszedłem do swojego pokoju. Zamknąłem się od wewnątrz. Po co straszyć babcię Kapłan, gdyby niespodzianie do mnie przyszła... Potem odsunąłem półkę z książkami. Ukazała się skrytka. A więc mi się nie przyśniło. Bo chociaż żelazną rękawicę miałem w teczce, to jednak czasem przestawałem sam sobie wierzyć. W skrytce było ciemno. Światło z okna niemal tam nie docierało. Zapaliłem lampę i wsunąłem ją do środka. I omal nie krzyknąłem ze zdziwienia. W skrytce leżały różne przedmioty, których rano tam nie było (wyjmowałem je, toteż pamiętam wszystkie po kolei) – szytlet w pochwie, dwa zwoje z czerwonymi wiszącymi

pieczęciami, kajdany, hełm, kałamarz (a może solniczka), rozmaite ozdoby i dwa safianowe buty. To już nie był skarb. To było zwykłe świństwo. Czyjś bezczelny żart.

Zaraz, a dlaczego żart? Kto mógł płać takie figle? Babcia Kapłan? Przecież w nocy śpi, a zresztą z wiekiem nastąpiła u niej atrofia poczucia humoru. Może ktoś inny z sąsiadów? A może ja postradałem zmysły? Wobec tego i Mitin zwariował, a to człowiek trzeźwo myślący.

Wziąłem but do ręki. Jeszcze pachniał świeżą skórą i łatwo się گیاł. Przymierzyłem hełm. Z trudem włożyłem go na głowę. Był ciężki i prawdziwy, nie blaszana imitacja dla Mosfilmu. Siedziałem tak w hełmie i z butem w ręku. Czekałem na jakiś cud. Przebiegłem w pamięci wszystkie zdarzenia ubiegłej nocy: dźwięki i łomoty w ścianie, ciepłe monety, żelazną rękawicę. Przypomniałem sobie monetę, która ze stropu skrytki spadła mi na rękę. Rozmyślałem nad tym, ale nic mądrego nie przychodziło mi do głowy.

Później, w skrajnym zakłopotaniu wsunąłem rękę do niszy i obmacałem strop. Był gładki jak lustro odbijające ciemną noc.

Wyjąłem jeszcze kilka cegieł, by ułatwić sobie pracę i w ciągu godziny pozbawiłem skrytkę przedniej ścianki. Teraz mogłem obejrzeć wszystko szczegółowo. Okazało się, że błyszczące pasy na tylnej ścianie nie są stalowe, lecz z tego samego lustrzanego stopu, co strop, a jedną z bocznych ścianek dzieli na kwadraty białe paski. U dołu przebiegały jakieś linie, a między nimi cienkie szczeliny, którymi postanowiłem się zająć w następnej kolejności. By się lepiej przyjrzeć, wetknąłem do otworu głowę, i wtedy coś mnie trzepnęło tak mocno, że ujrzałem gwiazdy. Cofnąłem szybko głowę. Boleśnie uderzywszy mnie w koniec nosa upadł na dno wnęki stary pistolet z wygiętą rękojeścią. Spojrzałem w górę. Strop był tak samo gładki i czarny. Cóż u diabła? Czy po to dwadzieścia sześć lat byłem pod władzą radziecką, aby się osobiście przekonać, że siły nieczyste jednak istnieją?

A jeśli mimo wszystko ich nie ma? – pomyślałem nagle, obracając w rękę pistolet. – Jeśli całe to diabelstwo da się jakoś wyjaśnić? Ale jak? Do czegoż to podobne? – zastanawiałem się patrząc w ciemną otchłań niszy. – Cóż to przypomina ze znanych mi rzeczy?

Postanowiłem – jak widzicie – znaleźć wyjaśnienie posługując się analogią.

Myślałem długo, dwadzieścia minut. Aż nagle dostrzegłem analogię. Ten figiel kojarzył mi się ze skrzynką pocztową. Do skrzynki przez szparę wpadają listy i druki. Dobrze. Co dalej? Jeśli to taka osobliwa skrzynka pocztowa, powinien się w niej też znajdować otwór dla odbiorcy. W tym właśnie sęk. Odbiorcy nie było. Przecież dopóki nie rozbiłem ściany, skrzynka nie miała wylotu. To co w nią wpadało, musiało tam pozostać.

Rozpatrzmy to zagadnienie z innego punktu widzenia. Kto i czym napełnia tę skrzynkę pocztową? Kto – na razie nie wiadomo. Ale czym – już wiem. Różnymi przedmiotami z Rosji sprzed Piotra I. Skąd się one biorą? Z muzeum? Kradzione. Mało prawdopodobne.

Po trzecie – do zaprzeszłej nocy nikt do skrzynki pocztowej nic nie wrzucał. Dziś wrzucono. Gdyby się to stało wcześniej – w ciągu ostatnich dwudziestu lat – usłyszałbym jakiś dźwięk. Albo by mama usłyszała. Ma bardzo czułe ucho.

Skrzynka zaczęła więc działać dopiero wczoraj. A może?...

I wtedy wpadła mi do głowy kompletnie zwariowana myśl, którą można wytłumaczyć tylko tym, że znalazłem się w zupełnie zwariowanej sytuacji.

Mam więc skrzynkę pocztową bez wylotu. Wpadają do niej przedmioty sprzed wielu lat. A po dziś dzień nie wpadały.

Dlaczego dziś otworu nie ma, a wtedy był? Czy wiecie o co mi chodzi? Wtedy, kiedy te przedmioty weń wkładano. Przed trzystu laty, kiedy ten dom świeżo zbudowano. A jeśli ten otwór był wtedy, to kiedy owe przedmioty ma się wyjmować? W przyszłości? Za sto lat? Albo za dwieście. Wówczas, gdy żyć będą ludzie, którzy potrafią się przenosić o kilka stuleci wstecz.

Jeśli ta zwariowana myśl ma jakiś sens, to jasne się staje, dlaczego przedmioty zaczęły się pojawiać dopiero wczoraj. Nie dlatego, że skrzynka zaczęła wczoraj działać, tylko dlatego, że się wczoraj zepsuła. Tak, to awaria. Na linii „przeszłość-przyszłość” wysiadł jakiś tranzystor i powstała dziura. A może przebicie w izolacji? Czy nie może się coś takiego zdarzyć? I właśnie do mojego pokoju, w mój czas, zaczęły wpadać przedmioty wydobyte przez przyszłych archeologów z dalekiej przeszłości.

Pomysł mi się spodobał. Ale jaka jest w tej sytuacji moja rola? Wezwać elektryka, aby obejrzał skrytkę? A potem załatwić mi dom wariatów? Skorzystać z uszkodzenia i zbierać owoce cudzej pracy? Wymienić wszystko z Mitinem na jego bibliotekę? Też nonsens!

Postawiłem zapaloną lampę w niszy i wytarłem chusteczką boczną ściankę. Potem obmacałem ją palcami i wsadziłem w wąską szczelinę u dołu koniec noża babci Kapłan, który znowu zabrałem z kuchni. Majstrowałem ostrożnie, bałem się bowiem zepsuć mechanizm do reszty. Czasem się jednak powiedzie – ścianka nagle ustąpiła, a za nią ukazała się tablica rozdzielcza i wszystko stało się jasne. Miałem rację.

Środek tablicy zajmowała skala czasowa. Wzdłuż niej widniały punkciki świetlne. Jeden z nich, około roku 1667, płonął jaśniej od innych, a tuż obok niego znajdowała się strzałka. Skala kończyła się na roku 2056.

Poniżej gęsta sieć przewodów i elementów oraz szereg przycisków nieznanego mi na razie przeznaczenia. Nagle punkcik przy roku 1667 błysnął jaśniej i równocześnie posłyszałem nad głową buczenie. Zrozumiałem, co może to oznaczać i cofnąłem głowę. Nieduża, oprawna w skórę i opatrzona klamrami książka głucho stuknęła o dno wnęki. Zdażyłem zauważyć, że w chwili gdy upadła, pojawił się w stropie otwór dokładnie o wymiarach książki. Jasne jak słońce. Odgadłem. Na mgnienie oka zapłonął czerwono punkcik roku 1967. Stacja końcowa się nie zapaliła. Widocznie jeszcze nie zauważono uszkodzenia i całe urządzenie pracuje na próżno. Wyobraźcie to sobie: może tam, w roku 2056, wszyscy pracownicy instytutu naukowo-badawczego siedzą przy tej niszy i zachodzą w głowę, dlaczego nie otrzymują okazów. Trzeba lepiej patrzeć, towarzysze – pomyślałem. Jakże im dać do zrozumienia? Może oni nie widzą pomrukiwania przy roku 1967? Na razie wziąłem wkrętak i zacząłem sprawdzać połączenia. Zajęło mi to jeszcze dwie godziny. Majstrowałem niemal na chybił-trafił. W schemacie tak całkiem się nie orientowałem, choć od dziecka byłem radioamatorem. Gmerałem tam i marzyłem, że byłoby interesujące spędzić pewien czas w przyszłości, dowiedzieć się, jak ludzie tam żyją, czy uda mi się osiągnąć w życiu coś sensownego i co będzie przyczyną mojej śmierci. Później pomyślałem, że to wszystko nonsens, a życie z pewnością nie jest tam złe, skoro jacyś archeologowie pracują w roku 1667 i nasi potomkowie mają czas na takie ekspedycje. I jeszcze – że nieźle byłoby znaleźć się także w przeszłości. I odwiedzić na przykład pisarza Aleksandra Czerniajewa, by się dowiedzieć, jak zamierzał zakończyć swoją powieść.

Wtedy właśnie odkryłem defekt. Macie prawo mi nie wierzyć. Skąd mógłbym się na tym znać. Znalazłem uszkodzenie, owinąłem przewód taśmą izolacyjną, lutownicy bowiem nie miałem, i postanowiłem obserwować, co będzie dalej. Byłem niezmiernie dumny, że znalazłem jednak to diabelne połączenie. Nagle zabłysła znowu lampka roku 1667 i znów nad głową rozległo się buczenie. Ale nic nie zobaczyłem i nic nie wpadło do niszy, tylko zaświeciła się druga lampka, i to już nie w moim roku, lecz w roku 2056. Wszystko w porządku. Dostali swoją przesyłkę. Mogę spokojnie spać.

Opadłem na krzesło i stwierdziłem, że jestem okropnie zmęczony i że jest już ciemno. Nie wiedziałem, czy mam wierzyć w to, co się zdarzyło, czy nie. A także nie wiedziałem, jak odesłać do miejsca przeznaczenia zgromadzone u mnie rupiecie.

Zapukano do drzwi.

– Kto tam? – spytałem.

– Do ciebie – powiedziała babcia Kapłan. – Dzwonka nie słyszysz? To ja mam za ciebie otwierać?

Znowu wzięłeś mój nóż!

Podszedłem do drzwi i rzekłem:

– Nóż oddam ci później, babciu. Nie gniewaj się.

To dobra staruszka. Lubi tylko pozrzedzić. Ma swoje lata.

Za drzwiami stał mężczyzna koło czterdziestki w niebieskim kombinezonie, z walizką w ręku.

– Pan do mnie?

– Tak. Do pana. Pozwoli pan wejść?

– Proszę – odparłem. I nagle sobie przypomniałem, że do mnie wejść nie można. – Chwileczkę! –

Zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem i spieszenie przesunąłem na miejsce regał z książkami.

– Proszę mi wybaczyć – odezwał się wpuszczając go. – Remont i stąd ten bałagan.

– To nic – odpowiedział zamykając drzwi. Wtedy spostrzegł cegły na podłodze i oświadczył:

– Jestem przedstawicielem muzeum historycznego. Doszły nas wieści, że znalazł pan skarb o dużej wartości. Chcielibyśmy go obejrzeć.

Coś w mowie tego człowieka, w sposobie trzymania walizeczki i w czymś jeszcze nieuchwytnym dla innych, ale zrozumiałym dla mnie, który przeniknąłem tajemnicę czasu, narzuciło mi jedynie prawidłową konkluzję: On nie jest z muzeum!

– Już wszystko naprawiłem.

– Co pan naprawił?

– Waszą skrzynkę pocztową.

Odsłoniłem skrytkę, pokazałem mu połączenie i wyjaśniłem:

– Tylko nie miałem lutownicy i musiałem okręcić taśmą izolacyjną.

Właśnie zapłonęła lampka przy roku 1667, zrozumiał więc, że wszystko wiem.

– No tak – bąknął. – Niech pan opowiada. Jak sądzę, umie pan trzymać język za zębami. To bardzo ważne.

– Owszem, ważne. Możecie na mnie polegać. Proszę tylko zabrać ze sobą pozostałe rzeczy. Mnie one na nic.

Listonosz-mechanik z roku 2056 zalutował połączenie, przesłał przedmioty w przyszłość, a potem razem замуrowaliśmy dziurę w murze tak, że nawet ja nie mogłbym się domyślić, gdzie ona była. Bardzo mi dziękował i trochę się dziwił mojej domyślności. Kiedy go jednak spytałem, co będzie za sto lat, odmówił odpowiedzi i dodał, że sam powinienem zrozumieć: wiadomości tego rodzaju rozgłaszać nie można.

Później spytał, czego bym pragnął. Odrzekłem, że Bogu dzięki niczego.

– To znaczy, nie ma pan żadnych próśb? – spytał chwytając za rączkę walizeczki.

Wtedy dopiero sobie przypomniałem, że miałbym pewną prośbę.

– Proszę mi powiedzieć, czy wasi ludzie bywają w różnych latach.

– Tak.

– I dwadzieścia lat temu?

– I wtedy. Tylko, rzecz prosta, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. I o tym nikt nie wie.

– A czy w czasie wojny i blokady był ktoś w Leningradzie?

– Oczywiście.

– Otóż to. Mam taką prośbę. Muszę tam coś przesłać.

– Ależ to niemożliwe.

– Powiedział pan, że spełnicie moją prośbę.

– Co to za przesyłka?

– Chwilkę – powiedziałem i wybiegłem do kuchni. Wziąłem stamtąd dwie puszki mleka

skondensowanego, pół kilograma masła babci Kapłan z lodówki i jeszcze ze dwa kilogramy cukru. Wrzuciłem wszystko do plastikowej torby Liny Grigorjewny i wróciłem do pokoju. Gość z przyszłości zamiatał podłogę.

– Proszę – odezwałem się. – Powinniście to oddać pisarzowi Czerniajewowi, Aleksandrowi Czerniajewowi, w zimie, w styczniu roku czterdziestego drugiego. Wasi ludzie go znają. I adres też możecie znaleźć. Umarł z głodu pod koniec stycznia. A powinien wytrzymać jeszcze ze dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach przyjdzie do niego ktoś z radia. Niech się pan nie waży odmawiać. Czerniajew pisał powieść do ostatniego dnia...

– Niechże pan zrozumie – tłumaczył gość. – To niemożliwe. To, że Czerniajew będzie żył dalej, może zmienić bieg historii.

– Nie zmieni... – odparłem z przekonaniem. – Gdybyście się tak bali przeszłości, nie bralibyście przedmiotów z siedemnastego wieku.

Powiedziałem to w natchnieniu, ale gość się uśmiechnął:

– Na takie pytania nie odpowiadam. Dobrze, wezmę pańską przesyłkę. Tylko trzeba zerwać etykiety z puszek. Takich wtedy nie, było w Leningradzie. Pogadam z naszymi. Jeszcze raz panu dziękuję. Może się jeszcze zobaczymy.

Odszedł. Jakby go wcale nie było. Kusiło mnie bardzo, aby znowu zerwać tapety i zajrzeć do skrytki. Ale wiedziałem, że nigdy tego nie zrobię. I on to zrozumiał, w przeciwnym razie nie przyszedłby do mnie.

Następnego dnia znalazłem w kieszeni dwie zapomniane monety. Jedną podarowałem Mitinowi, drugą zostawiłem sobie na pamiątkę. Mitin przyniósł mi jednotomowe wydanie Bułhakowa, a potem powiedział:

– Wiesz, znalazłem w domu tom spuścizny literackiej. Są tam wspomnienia o Czerniajewie. Interesuje cię to?

Odrzekłem, że bardzo mnie to ciekawi. Wiedziałem wprawdzie, że oni nie wysłuchali mej prośby i nie oddali staruszkowi przesyłki. Ale, oczywiście, pragnąłem absurdu. W odbitej w wielkim nakładzie biografii pisarza podano, że umarł właśnie w roku czterdziestym drugim. Nawet zaśmiałem się z siebie. Też teoretyk ze mnie.

Wieczorem przeczytałem wspomnienie o Czerniajewie. Była to relacja, jak żył w Leningradzie podczas blokady, jak pracował i nawet jeździł na front na spotkania z żołnierzami. Nagle – wierście lub nie wierście – pod koniec artykułu czytam:

*W zimie, zdaje się w styczniu, odwiedziłem Czerniajewa. Aleksander Grigorjewicz był bardzo słaby i z trudem chodził. Rozmawialiśmy o sytuacji na froncie, o blokadzie. W pewnej chwili powiedział:*

*– Zdarzyło mi się coś dziwnego. Parę dni temu dostałem przesyłkę.*

*– Od kogo? – spytałem. – Przecież jest blokada.*

*– Nie wiem, od kogo. Było tam skondensowane mleko i cukier.*

*– To bardzo panu potrzebne – mówię. A on mi na to:*

*– A dzieciom niepotrzebne? Ja jestem starcem, ale te maleństwa w sąsiednim pokoju...*

*Życie przed nimi.*

*– I oddał pan przesyłkę?*

*– A pan, młodzieńcze, jak by postąpił na moim miejscu? – spytał Czerniajew. Zrobiło mi się wstyd, że mogłem zadać takie pytanie.*

Pięć razy przeczytałem ten fragment. Sam powinienem był się domyślić, że staruszek otrzymawszy



taką paczkę nie będzie pił mleka w tajemnicy przed innymi. Nigdy by tego nie zrobił...

Co jednak najdziwniejsze: ten tom spuścizny literackiej ukazał się w roku 1961, siedem lat temu...

*Przełożył Bolesław Baranowski*

# NIEZIEMSKO PIĘKNA SZAFA

## 1.

Liza nawet by tej szafy nie zauważyła. Do komisju nie przychodzi się, by podziwiać towary, tylko jak najtaniej kupić ten, którego się potrzebuje. Liza już dawno nauczyła się nie zwracać uwagi na pokusy, które tak przyciągają wzrok. „Jesteś jak kasjerka – powiedziała kiedyś Tamara. – Przechodzą ci przez ręce miliony rubli, a ty w ogóle nie traktujesz ich jako pieniędzy. Też bym tak chciała”. Jednak Tamara tak żyć nie chciała. Pragnęła mieć wszystko – pieniądze, podróże, samochody, mieszkania, mężczyzn, nie była jednak chciwa, potrafiła dzielić się tym, czego pragnęła, z bliskimi. Szczególnie z Lizą.

– Lizawieto! – krzyknęła Tamara dźwięcznym głosem. – Tylko popatrz.

Liza posłusznie oderwała wzrok od kuchennych zestawów i przez wąskie przejście pomiędzy barkami i szafami podeszła do Tamary. Wyglądała przy niej na kruchą i bezbronną.

– Nieziemsko piękna szafa – powiedziała Tamara. – Wszystko się w niej zmieści. Znakomity spadek dla wnuków. Teraz takich nie produkują.

– Ale mi wpadła w oko kuchenna szafka z polskiego kompletu.

– Nie zmieniaj tematu, Lizawieto. Takie szafki mają wszyscy, a ta szafa jest unikatem.

Liza uległa i zaczęła oglądać nieziemsko piękną szafę, która najwyraźniej została zrobiona dla bogatego kupca: po bokach drzwi do podłogi, pośrodku u góry oszklony barek, pod nim marmurowa półka i szufladki; szafa była bogato rzeźbiona lwami, herbami i stała na nóżkach w kształcie lwich łap.

– Na górze będziesz trzymała kielichy do wina – powiedziała Tamara.

– Nie mamy takich.

– A kieliszki? Te, które ciocia podarowała wam na ślubie. A z boku płaszcze i suknie, nawet najdłuższe... a do szufladek bielizna i zostanie jeszcze mnóstwo miejsca. Przecież to marzenie!

– Chodźmy, pokażę ci kuchenną szafkę.

– Nie ma mowy. Młody człowieku! Dokąd to? Zechce pan podać cenę.

Opieszwały, roztargniony sprzedawca był łaskaw zatrzymać się u wylotu przejścia. Granatowy, satynowy kaftan niczym kamień ciążył na jego młodzieńczych ramionach.

– Powinna być na nim cena. Stąd nie widzę.

– Pisz, że siedemdziesiąt rubli. Dlaczego tak tanio?

– A kto ją kupi? Do małego mieszkania się nie zmieści.

– To jedyny powód? A zamyka się? Jest klucz? Nie jest przeżarta przez korniki? Sama widzisz, Lizawieto, wszystko w porządku i na pewno zmieści się na wysokość do waszego mieszkania. Jest przy tym zrobiona z pięknego drewna.

– To dąb – rzekł sprzedawca.

– Tym lepiej. Proszę o rachunek.

– Tamaro...

– Gdyby odpiłować lwy i sprzedawać je oddzielnie, za każdego dostaniesz co najmniej pięćdziesiąt rubli. Kiedy będzie trzeba, wszystkim się zajmę.

– A Paweł Nikołajewicz?

– Będzie szczęśliwy. Nie od razu, ale będzie. Kiedy wszystko podliczy.

– To jak, bierzecie czy nie? – zapytał sprzedawca.

W jednej ręce trzymał cieniutki bloczek rachunków, w drugiej długopis.

– Wrócimy jutro – pośpiesznie odparła Liza.

– Za jutro nie gwarantuje. Może jej już nie być.

– Bierzemy – powiedziała Tamara, odsuwając Lizę i podchodząc do sprzedawcy. A ta przypomniała sobie, że ma przy sobie tylko czterdzieści trzy ruble, a trzeba jeszcze kupić masło i chleb. Pewnie Tamara też nie ma gotówki i sprawa się rozejdzie.

Tamara gotówkę miała. Łącznie z dwunastoma rublami za przewóz.

## 2.

Paweł Nikołajewicz wrócił do domu późno; być może lepiej, że nie widział, jak szafa wdziera się do pokoju. Długo stał przed nią, kołysząc się z palców na pięty, po czym rzekł krótko: „Idiotka”.

I poszedł do kuchni, grać z sąsiadem w szachy.

Liza oczekiwała na reprimendę, nauczyła się nawet na pamięć wygłoszonego przez Tamarę tekstu o tym, że szafa jest wieczna, cenna, że lwy, jednak ta miała miejsce dopiero rankiem. Wygłoszona bez podnoszenia głosu, wręcz beznamiętnym tonem.

Paweł Nikołajewicz usiadł za stołem w piżamie, zasłaniając się gazetą – odgrodził od żony siebie i jajecznicę. Głos dochodził zza gazety, widoczne były tylko mocne palce z dokładnie przyciętymi paznokciami, które postukiwały po brzegach arkusza gazety.

– Przeznaczyłem konkretną sumę na zakup szafki kuchennej – informował Lizę. – Najlepiej białej. Za jaką figę z makiem ją teraz kupimy? Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Druga sprawa: Pod koniec roku przedsiębiorstwo przydzieliła mi dwupokojowe mieszkanie. Meldując cię w zeszłym roku w moskiewskim mieszkaniu liczyłem na konkretną korzyść w postaci zwiększenia szans na metraż. Jednak w niewielkim mieszkaniu ten kłoc, nawet jeśli się w nim zmieści, zniweluje całe zwiększenie metrażu. Pomyślałaś o tym?

– Ale ona jest niemal wieczna... i lwy.

– Była z tobą w sklepie Tamarka? Uprzedzam, że dłużej nie zniosę jej wizyt w moim domu. Weź to pod uwagę.

Paweł Nikołajewicz wstał i poszedł się przebrać. Z powodu silnego wzburzenia nie dopił herbaty z mlekiem.

Lizeczka milczała jak myszka. Sama niczego nie jadła, nie miała apetytu. Paweł Nikołajewicz szybko się zebrał i wyszedł. A Lizeczka zdjęła z górnej półki w kuchni, zza paczek z solą papierosy, wróciła do pokoju i zapaliła, uchylając lufcik. Jeśli Paweł Nikołajewicz dowie się, na co sobie pozwala, zapewne złoży pozew o rozwód. Lizeczka zaciągała się głęboko, z lufcika ciągnęło mokrym wiatrem; myślała o tym, że Tamara i tak będzie przychodzić, bo co ona pocnie bez Tamary?

Sprzątając ze stołu patrzyła na szafę, która podobała jej się bardziej niż wczoraj, może z powodu reprimendy. Szafa była w tym domu niechciana – wielka, pojemna, ze lwami, jednak niekochana.

Tamara przybiegła nie uprzedzając telefonicznie, po drodze do fabryki, a w rzeczywistości, by pozachwycać się szafą i dowiedzieć, jak się Lizie za nią dostało.

– Widzę – rzekła od progu – że obeszło się bez zniszczeń, a ty nie masz siniaka pod okiem. I jak,

upiekło ci się?

– Wściekał się – odparła Liza. Paweł Nikołajewicz nigdy jej palcem nie tknął. A niszczenie przedmiotów przy jego oszczędności; wręcz śmiechu warte.

– Co mówił?

– Zakazał cię wpuszczać.

– Oczywiście wszystko zwałaś na mnie.

– Sam się domyślił.

– Więc jestem mrocznym demonem, wypędzonym duchem? I czort z nim, tym twoim tłuściochem.

Dawno powinnaś od niego odejść...

– Tamaro!

– Nie marudź. Lepiej przynieś popielniczkę. Gdzie kieliszki? Trzeba ustawić. Będą prześwitywać przez szkło. Jak w pałacu.

– Chodźmy, późno już.

W autobusie Tamara wciąż wszystko omawiała, odgradzając Lizę piersiami od pasażerów.

– A gdybyś wyrwała się do stolicy, do cywilizacji. Przecież nawet w twoich Kimrach[1] żyło ci się nie najgorzej.

– Sama nie wiem.

– A co ty tutaj widzisz? Chodził chociaż z tobą do teatru? No, nie teraz, a kiedy się zalecał.

– Sama wiesz...

– Wiem. Zalotów też nie było. Odwiedził rodzinę w Kimrach, zobaczył, jak u ciotki myjesz podłogi, i wywiózł.

– Toma[2].

– Tylko mi nie wmawiaj, że kochasz tego wieprza. Taka miłość nie ma prawa bytu.

Liza czekała na przystanek. Tam rozchodziły się w przeciwne strony: Liza była aparaturową, a Tamara maszynistką w zarządzie fabryki.

### 3.

Wieczorem Liza zamarudziła, zbierała składki związkowe, potem zajrzała do sklepu. Paweł Nikołajewicz był już w domu, przy czym nie sam. Przyprowadził swojego znajomego, stolarza. Wspólnie obstukiwali szafę, obliczali jej wartość, a Lizeczka nakryła stół, dobrze, że ćwiartka się znalazła. Paweł Nikołajewicz sam pił rzadko, jednak na wszelki wypadek trzymał coś w zapasie.

Po odprowadzeniu gościa Paweł Nikołajewicz stanął naprzeciw szafy – sam jak szafa.

– Oryginalny dąb – rzekł, nie patrząc na Lizę. – Pokryj go lakierem do mebli, nakładaj cienką warstwę, a szpary zamażesz brązową kredką.

Potem poszedł do jakiegoś profesora naprawiać mu samochód, a Liza zajęła się szafą. Wymyła, przetrzała lakierem, zamazała szpary. Wnętrze posypała naftaliną. W dolnej szufladzie znalazła jakieś karteczki z otworami na marginesach. Szuflada była pojemna, jednak płytka. Liza nie zastanawiała się jeszcze, co do niej włożyć. Za to u góry, za szkłem, postawiła kieliszki, będące prezentem ślubnym, i stary, porcelanowy czajnik z obtłuczoną z boku szyjką i pęknięciem na pokrywce, jednak niezwykle piękny – staroświecki, zdobiony ptakami.

Liza z ciekawością wyobrażała sobie losy szafy (Lizie było ciekawie wyobrażać sobie losy szafy); jak panna w białej, sięgającej do podłogi sukni otwierała ją, by wyjąć kryształową karafkę z lemoniadą,

i nalewała ją do wytwornego (kruchej) kielicha.

Kiedy wrócił zmęczony Paweł Nikołajewicz, od razu zdjął czajnik, żeby nie psuł wyglądu. Liza się oczywiście nie sprzeciwiała. Uważała, że tak naprawdę jest on człowiekiem dobrym i sprawiedliwym, obawia się tylko, że ona może traktować go jak równego sobie, jak to bywa w innych rodzinach. Jednak nie przechodziło jej to nawet przez głowę. Jak by nie było, różnica wieku między nimi wynosiła ponad dwadzieścia lat. Poza tym był starszym mechanikiem, miał złote ręce. A cóż przeżyła ona? Skończyła osiem klas, pracowała w sklepie, jeździła na turystyczne wycieczki do Kijowa i nawet nie marzyła, że będzie mieszkać w Moskwie... Co prawda gdyby marzyła, to na pewno nie tak, jak wyszło.

W szafie na wszystko znalazło się miejsce. Nawet na niepotrzebne szpargały. Paweł Nikołajewicz niczego się nie pozbywał i lubił opowiadać, jak wyrzucił kiedyś jakąś śrubę, a gdy okazała się potrzebna, musiał szukać po sklepach. A Liza ma dobrą pamięć, jest młoda, zawsze pamięta, gdzie co leży: „Lizo, gdzie jest biały kabel? Lizawieto, gdzie jest rączka od brązowej walizki?”

A teraz wszystko jest w szafie. A i tak lewa dolna szuflada została pusta.

#### 4.

Tamara czekała na Lizę przy portierni.

– Trzymaj – powiedziała. – Bilety do teatru. Dostałam w radzie zakładowej. Piętnasty rząd na parterze.

– I ja mam iść?

– Pójdiesz ze mną.

– A co z Pawłem Iwanowiczem?

– To nasza rada zakładowa. I tak by nie poszedł. „Dama kameliowa”. Autorem jest Dumas. Czytałaś „Trzech muszkieterów”?

– Czytałam. Tylko to inny Dumas. Syn.

– Czasem mnie zadziwiasz. Wszystko wiesz, tylko pożytku z tego żadnego. Więc pójdiesz?

– Jeśli Paweł Nikołajewicz...

A Paweł Nikołajewicz nie oponował. Zapytał tylko o cenę biletów. Liza była na pytanie przygotowana i odparła, że przez radę zakładową, bezpłatnie.

– Więc trzeba skorzystać – odparł. – Idź.

Nie można było powiedzieć, że był wyjątkowo pazerny, jednak oszczędzał na urządzenie nowego mieszkania, żeby wszystko wyglądało jak u ludzi. Tamara mówiła: „Musiś zdawać sobie sprawę, Lizawieto, że on przez całe życie będzie oszczędzał, spokoju ci nie da. Najpierw na meble, potem na samochód, potem znowu coś tam wymyśli”.

Liza od półtora roku ani razu nie była w teatrze. Nawet do kina poszła tylko trzy razy. Co tu dużo mówić – nawet ślubu nie świętowali. Nie było białej sukni, ani samochodu z lalką na chłodnicy, ozdobionego czerwonymi tasiemkami. Odbyło się skromnie. Przyszli znajomi Pawła Nikołajewicza, sąsiad, ciotka. Nawet się nie całowali. Kiedy ktoś zaczął krzyknąć „gorzko!”, spojrzeli na niego z takim zdziwieniem, że się zająknął.

Liza otworzyła szafę, jakby nie wiedziała, że jest tam tylko jedna wyjściowa suknia, granatowa, szyła ją jeszcze w Kimrach, która nie schodzi się na piersiach i jest okropnie niemodna.

– Jutro wrócę później – powiedział Paweł Nikołajewicz, nie patrząc, jak żona próbuje założyć suknię. – Będę głodny. Weźmiesz pod uwagę?

– Tak, tak, wszystko zostawię. Przygotuję i zostawię.

Paweł Nikołajewicz zdziwił się, oderwał wzrok od krzyżówki, przypomniał sobie jednak, że sam zgodził się na teatr i westchnął z lekką urazą.

Wyjście do teatru w niebieskiej sukni było niemożliwe. Lepiej było w ogóle odmówić i nie przynosić sobie przed ludźmi wstydu.

– Nigdzie nie idę. Nie martw się, wszystko będzie przygotowane.

Paweł Nikołajewicz zdjął okulary pulchną, różową dłonią i spojrzał na nią, jak na wariatkę.

– Bilet przepadnie. Nie możesz nie iść. A ja sobie jakoś...

Dla Pawła Nikołajewicza ważne było, by mieć ostatnie słowo. I prawo na urazę. Jeśli jednak Liza nie pójdzie, to ona będzie urażona. Tak się nie godzi.

A Liza zdała sobie właśnie sprawę, że nie ma też odpowiednich pantofli. Tylko do chodzenia po mieście. Można by ubrać zwykłe buty, całkiem przyzwoite, ale kto we wrześniu idzie w butach do teatru? A gdyby wziąć bluzeczkę z trykotażu, a do niej spódniczkę?

Lizę opanował osobliwy, gorączkowy popłoch. Jakby samo przeznaczenie nie puszczało jej do teatru i już nigdy w życiu miała do niego nie pójść.

Paweł Nikołajewicz zbierał się do snu, zgasił światło, a Liza zaniósła suknię do kuchni, gdzieś tam rozpruła, jednak na darmo. I rozpląkała się. Bezgłośnie płacząc wróciła do pokoju, wysunęła dolną, pustą szufladę, wrzuciła do niej suknię i pantofle – jaki sens poprutą wieszać? – rozebrała się, położyła na brzegu łóżka, żeby nie niepokoić Pawła Nikołajewicza, i długo nie mogła zasnąć, przeżywając w półśnie bajkowe historie. Oto wchodzi do teatru – przepysznie ubrana, suknia leży na niej, jak na tej pannie z przeszłości, lśnią abażury i wszyscy odwracają się w jej stronę, podziwiając jej wdzięk... i odbija się w lustrach, podziwiając samą siebie. I ten sen ją prześladował, gdyż zdawała sobie sprawę, że to sen, przywidzenie.

Rankiem Liza omal nie zasnęła do pracy, znów nie miała czasu na śniadanie, a przy obiedzie zobaczyła Tamarę i powiedziała jej:

– Nie pójde do teatru.

– Rozum ci odebrało? Wyjaśnij po ludzku. Nie masz się w co ubrać?

No trafiła w samą dziesiątkę! Liza pominęła to milczeniem.

– Myślisz, że tam chodzą w balowych sukniach? Nie, bardzo różnie.

– I ty pójdziesz w tym, co masz na sobie?

– Oczywiście – skłamała Tamara. Niedawno kupiła suknię, włoską, poniżej kolan, z falbankami. Jeszcze jej nie ubierała.

– Dam ci swoją, wełnianą – powiedziała Tamara.

Liza tylko się uśmiechnęła. że niby ma się w nią zawinąć?

– Ty – krzyczała Tamara, kiedy wracały autobusem – ze swoją figurą, możesz chodzić nawet w ubraniu roboczym. Idziemy do fryzjera. Rimma robi nam fryzury bez kolejki. Nie chcesz? Niech ci będzie, przyjdę po ciebie.

Liza pokręciła tylko przecząco głową.

## 5.

Co najmniej pół godziny Liza siedziała nieruchomo na krześle, po prostu zabijając czas, by jak najszybciej zaczął się spektakl, potem za późno będzie na żale. Nie udało jej się jednak wysiedzieć.

Sąsiad zawołał ją do telefonu – dzwoniła Tamara.

– Liza, nie zdążę po ciebie podejść. U Rimmy zejdzie mi więcej czasu. Zrobię się na – mężczyźni, umierajcie. Czekam na ciebie przed wejściem. Załapałaś? Jeśli nie przyjdiesz, nie wejdę do środka i zepsuję sobie wieczór. A może nawet wspaniałe przyszłe życie rodzinne.

I odłożyła słuchawkę. Nie dała czasu na odmowę.

Po powrocie do pokoju Liza już nie usiadła. A jeśli rzeczywiście zniszczy życie Tamarze? Nigdy sobie tego nie wybaczy. Czy to ważne, jak kto jest ubrany? Tam nawet nie zwrócą uwagi... będzie siedzieć w sali. Szkoda, że suknia jest nadpruta. Do wyjścia zostało pół godziny.

Liza otworzyła drzwi szafy. Był tam tylko wyjściowy garnitur Pawła Nikołajewicza i jej stara suknia. Gdzie ona wczoraj z głupoty tę suknię upchała? No oczywiście, do dolnej szuflady... Liza wyjęła suknię.

To była inna suknia. Też granatowa, lecz ciągnęła się po ziemi, jakby ktoś przyszył z dołu jeszcze metr materiału. Zmienił się też materiał, zamienił w aksamit, zdobiony drobnymi perłowymi koralikami.

„Paweł Nikołajewicz” – pomyślała początkowo Liza. Wiedziała, że podobne przypuszczenie jest sprzeczne z logiką, bo Paweł Nikołajewicz nie mógł czegoś takiego zrobić...

Poczuła ukłucie. Z sukni sterczała igła z nitką – jej igła, sama ją wczoraj wetknęła, w starą suknię. A gdzie się ona podziała?

Liza przyłożyła suknię do siebie. Nie, trzeba będzie przymierzyć. Chociaż nie jest jej własnością, nie jest też własnością nikogo innego. Nieważne, jakie jest tego wyjaśnienie.

Suknia trzymała się na ramionach na wąskich pasemkach, jak sarafan – stanik pod nią nie pasował. Musi wyciągnąć kostium kąpielowy, jest bez ramiączek.

Suknia wślizgnęła się na nią jak żywa, jakby tylko czekała, by wziąć ją w objęcia. I stało się jasne, że została uszyta na jej miarę. Sięgała podłogi i sprawiała, że Liza wyglądała na wyższą i szczuplejszą – co wynikało z jej ciemnej barwy i kształtu surowego, perłowego wzoru.

Liza sięgnęła do szuflady po pantofle – to nic, że są, jakie są – będą niewidoczne – jednak pantofle też zostały podmienione. Były teraz granatowe ze srebrnymi zdobieniami, jakby specjalnie dobrane do sukni. Tak można iść... Liza uśmiechnęła się przy tej myśli, gdyż w takim ubiorze nie można było wychodzić nie mając zrobionej fryzury. Nie zaczęła jednak robić niczego wyjątkowego. Przypudrowała się co prawda i podmalowała usta. Nigdy jeszcze tego nie robiła, na wszelki wypadek miała jednak puder i szminkę, może po to, by nie zapomnieć, że jest młoda.

A co teraz zrobić z włosami? Wiedząc o tym wcześniej, pobiegła by do fryzjera, napuszyła włosy, zrobiła loki, a teraz to zwykłe kudły – proste, sztywne, co prawda gęste, popielate. Zwykle splecione w warkocz, z tyłu zebrane w kok. Teraz Liza je rozpuściła, rozczesła... i rozległo się bicie zegara. Już wpół do! Nie ma mowy, by zdążyła przez piętnaście minut. Czy to wszystko na darmo? Nie wpuszczą?

Złapała portmonetkę, narzuciła szary płaszcz – i na ulicę. I popełniła tam jeszcze jedno przestępstwo – obok przejeżdżała taksówka i ręka Lizy sama się podniosła. Oczywiście od razu ją opuściła – jeszcze Paweł Nikołajewicz zobaczy, jednak samochód już przyhamował. I akurat, jak na złość, kierowca nie spieszył się do bazy, nie jechał na obiad – proszę bardzo, nawet na koniec świata. Nawet się uśmiechał.

Pod teatr dotarła za trzy siódma. Tamary przy wejściu już nie było. Liza zostawiła płaszcz w szatni, jednak z binokla zrezygnowała – i tak zmarnowała rubla na taksówkę, zatrzymała się na moment przed lustrem, żeby poprawić włosy – i okazało się, że właśnie tak wyglądała we śnie. A za jej plecami jakiś mężczyzna zatrzymał się i patrzy.

W sali panował szum, czekano na rozpoczęcie, dźwięk dzwonka nie milkł, jakby artyści bali się, że ludzie nie zdążą zająć miejsc. Liza wyjęła bilet z portmonetki, by przypomnieć sobie numer miejsca.

– Pozwoli pani, że pomogę – to już inny mężczyzna stoi obok niej, blondyn, z wyglądu stateczny, a zachowuje się, jak podrostek na potańcówce.

– Sama znajdę.

– Gdyby mimo wszystko potrzebowała pani pomocy – wystarczy spojrzenie.

A Liza nawet na niego nie patrzyła. W uszach szum, przesuwały się twarze, co prawda widzowie ubrani są różnorodnie, zdarzają się też jednak długie suknie. Jednak jej jest piękniejsza od wielu.

W piętnastym rzędzie wznosiła się czarna wieża – fryzura Tamary. Taka ciężka wieża – jeszcze trochę i zwali głowę na bok. Liza precyzyjnie się do przyjaciółki, suknia lekko szeleściła i szelest zlewał się z resztą teatralnego, świątecznego szumu. Byłoby miejsce nie było zajęte, bo bywa, że sprzedają po dwa bilety na jedno. Tamara odwróciła się i powiedziała:

– To miejsce jest zajęte. – I natychmiast wykrzyknęła, niemal na całą salę:

– Lizawiet! Nie wierzę własnym oczom!

Język jej się plątał, coś mówiła, a oczy, wiśniowe ślepia, skakały po ramionach Lizy i granatowym aksamicie, czepiały się pereł i, kiedy Liza już usiadła, Tamara odezwała się spiskowym szeptem:

– Zaraz padnę trupem. Co z sobą zrobiłaś?

– Nic – odparła Liza i było jej przyjemnie. – Znalazłam jedną suknię...

– Znalazłaś? Pantofle też? Te ramiona też znalazłaś?

Z tyłu ktoś zaburczał: „Ciszej proszę, zaczyna się spektakl”.

Jednak dla Tamary przedstawienia już nie było. Takiej przygody Tamara jeszcze nie przeżyła. A Liza już patrzyła na scenę, gdyż suknia potrzebna jej była nie na pokaz, lecz jako przepustka do teatru i poza teatrem nie była jej potrzebna.

Siedzący przed nimi blondyn przeszkadzał, odwracał się, Tamara przeszkadzała, wydając jęki zachwyty. A Liza oglądała spektakl.

Kiedy wstały podczas antraktu, Tamara wczepiła się jak kleszcz – przyznaj się do wszystkiego. Poszły do bufetu, stanęły w kolejce po ciastka i lemoniadę, nie udało się jednak odstać do końca, gdyż ten blondyn już zdążył wszystko wykupić, nawet kanapki z kawiozem, i zaprosił je do stolika, jak stary znajomy. Liza nawet nie zdążyła się oburzyć, a Tamara już zareagowała: – Dziękujemy za zaproszenie. Mężczyzna był podniecony, żartował, nie przestawał mówić, Tamara chichotała, jakby to wszystko działo się z jej powodu, a Lizę trochę to wszystko bawiło i przyjemnie było słyszeć, jak dziewczęta za sąsiednim stolikiem sprzeczały się: „Zapomniałaś, widziałam ją w spektaklu telewizyjnym. W Turgieniewie”. Drugi akt Tamara też przeszkadzała oglądać – bardzo jej się podobał blondyn z kanapkami. Dowiedziała się już, że ma na imię Iwan. „Ach, Toma, Czy ty naprawdę nie rozumiesz, dlaczego jest taki usłużny? Pracuje w Instytucie Badawczym – szeptała Tamara na ucho – bardzo interesujący. Tylko nos mi się nie podobał. Za duży. Ale przecież nos nie jest u mężczyzny najważniejszy, jak sądzisz?” Liza znów jej nie słuchała. Ogólnie wieczór się udał. Sztuka była znakomita i aktorzy grali świetnie. A Liza jakby się odmieniła – szara suknia miała na nią jakiś magiczny wpływ. Kiedy po spektaklu stały na schodach, od sukni oderwała się perełka. I co, Liza rzuciła się jej szukać? Nic podobnego. Iwan już krzątał się u jej nóg, żeby podnieść, a jakiś siwy staruszek rzekł z uśmiechem:

– I po cóż to, dziewczyno, rozrzucać drogocенności? – Iwan podał perłę, a staruszek powiedział:

– Przepiękna perła. Japońska? Pozwoli pani... – pokręcił w palcach i dodał: – Jestem starym geologiem i muszę przyznać, że znam się na rzeczy. A i pani jest taka piękna... – i westchnął. Liza nawet się zaczerwieniła. A Tamara dyktowała Iwanowi numer swojego telefonu. Na próżno, nie rozumiała prostej męskiej taktyki. Tamara była dla niego niteczką, niczym więcej. A jej, Lizy, nic to nie obchodziło. Miała dom, Pawła Nikołajewicza, pracę. I jutro nie będzie ani pantofelków, ani sukni – choć dzięki i za to. Ale komu dziękować? Szafie? Na dole Iwan Iwanowicz zajął kolejkę do szatni, Tamara się odłączyła, a do Lizy podszedł młody człowiek, z wyglądu znajomy.

– Madame Renata? – zaczął. – Poznałem panią.



– Nie jestem żadną madame – odparła Liza. Jeszcze tego brakowało. I od razu go rozpoznała. Aktor. Nawet popularny. Jeszcze przedwczoraj widziała go w telewizji.

– Proszę wybaczyć – rzekł. – Przyznaję, że nie wiedziałem, jak do pani podejść. I wymyśliłem początek rozmowy, o Renacie. Co, zły pomysł?

Liza odparła, że zły, jednak uśmiechnęła się, bo aktor był niezwykle szarmancki. Tym bardziej, że przyglądano się im z różnych stron i wszystkich nurtowało pytanie: z jaką to piękną rozmawia ten aktor? Jednak rozmowa właśnie się skończyła. Wrócił Iwan z płaszczami, zauważył aktora i od razu zrobił się bardzo oficjalnie uprzejmy, tak że mało brakowało do jakichś nieprzyjemności. Jeszcze ze starych czasów Liza wiedziała, że chłopców trzeba natychmiast rozdzielić, a z Tamary nie ma najmniejszego pożytku – kiedy zobaczyła nowego adoratora Lizy, szczęka jej opadła. Liza przewiesiła płaszcz przez ramię, drobiazg, ubierze się na ulicy, drugą ręką złapała Iwana i ruszyła do wyjścia, nawet nie żegnając się z aktorem.

Na ulicy Iwan oprzytomniał i wpadł na pomysł: – Uciekniemy przed nią? – Miał na myśli Tamarę. Jakże prosta jest męska przebiegłość!

– Nie – odparła Liza niemal z rozbawieniem. – Nie uciekniemy.

– Lizo!

– Proszę mnie też nie odprowadzać. Bardzo proszę, niech pan nie psuje wieczoru. Dobrej nocy.

– Dobrej – przytaknął Iwan, jednak z takim smutkiem, jakby stali na peronie.

Liza zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma go za rękę. Puściła ją i spojrzała na zegarek. Wpół do jedenastej. Paweł Nikołajewicz już wrócił do domu, złości się. I droga pomiędzy wejściem do teatru i pokojem z jedną żarówką pod sufitem – dwudziestopięciowatową, na więcej nie pozwalała oszczędność – wydała się tak długa. Iwan miał smutne i bynajmniej nie natrętne spojrzenie. Liza wiedziała, że zrobi on wszystko, co mu powie.

– Proszę już iść – rzekła. – Bo zaraz wyjdzie Tamara i sprawię, że będzie ją pan musiał odprowadzić do domu.

– Nawet na to jestem gotowy.

Jednak posłuchał. Odszedł. W samą porę. Gdyż wyskoczyła Tamara – czarna wieża Babel na głowie gotowa runąć.

– Masz pojęcie, ten aktor mnie zatrzymał. Kto to, pyta, jest, dlaczego jej nie znam? No po prostu od pierwszego spojrzenia mu odbiło. Posłuchaj, on jeszcze tam stoi. Uznał, że Iwan jest twoim mężem. Dałam mu swój telefon. Po co? Jak to, po co? W dodatku bilety mamy zapewnione. Na najbardziej deficytowe spektakle. Rozumiesz?

Liza machnęła ręką i pobiegła w stronę przystanku trolejbusowego. A Tamara została. Miotła się między wejściem do teatru i Lizą. Potem przypomniała sobie i krzyknęła do Lizy:

– A gdzie Iwan?

## 6.

Liza weszła po schodach i otworzyła drzwi swoim kluczem. W przedpokoju było ciemno, tylko przez szparę pod drzwiami do pokoju sączyło się światło. Nie śpi. To źle, trzeba będzie pokazać suknię.

Liza stała, nie wchodziła. Zrobiło jej się żal samej siebie. Nie może opowiedzieć Pawłowi Nikołajewiczowi ani o spektaklu, ani o staruszku profesorze, i jak przeżywała to Tamara. A przecież on ze swoimi kolegami rozmawia o wszystkim, co go tylko interesuje... I Tamara jutro całą fabrykę

obdzwoni, a ona jeszcze nie wymyśliła, skąd ma tę suknię... Weszła do pokoju. Paweł Nikołajewicz jej nie widział. Siedział na podłodze przed szafą, łysina pobłyskiwała pod lampą, a wokół niego rozłożone były różne urządzenia. Znalazł porę, żeby się przez swoje zaspy przebijać...

– A – powiedział, nie odwracając się. – Wróciłaś, cała i zdrowa. – W głosie ani urazy, ani złości. Śladu wyrzutu.

– Co robisz? – zapytała Liza, zdejmując płaszcz. – Jadłeś kolację?

Dopiero teraz zauważyła, że szafa jest otwarta, a dolna szuflada wyciągnięta na podłogę.

– Wyobraź sobie zajrzałem tutaj, zastanawiałem się, jak ją wykorzystać, była w końcu pusta. I od razu zdałem sobie sprawę, że szuflada jest nie do końca zamknięta. Więc coś tam jest.

Paweł Nikołajewicz był niezwykle gadatliwy. Zadowolony z siebie.

– Więc ją wyciągnąłem i okazało się, że mam rację. Jest tam cała masa różnych detali. Ktoś to w tajnym celu ukrywał. Popatrz, miniaturowy transformator, czy u nas takie produkują? Baterie niklowo-kadmowe, ja się na tym akurat znam. A przewody są rozłączone, układam je oddzielnie. Znam jednego człowieka, splata z nich paski, za trzy ruble z rękami wrywają. I schematy tranzystorowe. Misterna robota. Zdjąłem już szesnaście płytek, a ile tam jeszcze zostało! Chcesz, sama zobacz.

Mówił i mówił, nie patrząc na Lizę, a Liza stała, śliczna jak księżniczka, i już wiedziała, że szafa została zniszczona. I nie była to żadna bajkowa szafa, lecz urządzenie, które spełniało życzenia. Ludzie się starali, wymyślali...

– Przecież ludzie się starali – rzekła cicho.

Zdziwiony nie tyle słowami, ile tonem Lizy, Paweł Nikołajewicz uniósł okrągłą głowę.

– Gdyby się starali, nie oddali by do komisju.

– To na pewno jakiś przypadek, pomyłka.

– Nie trzeba było oddawać – odegnał wątpliwości i niepokój. – Wstępnie już podliczyłem, wyjdzie ponad czterdzieści rubli.

– Ludzie się starali i ona mogła jeszcze dużo zrobić... także dla ciebie.

– Nie gadaj głupstw – Paweł Nikołajewicz zanurkował do szafy, z wewnątrz jego głos stał się przytłumiony. – Co za suknię ubrałaś. Pożyczyłaś od Tamarki?

Nie czekał na odpowiedź i Liza nie odpowiedziała. Nie uwierzy. A jeśli uwierzy, będzie jeszcze gorzej: wścieknie się, że nie powiedziała od razu. „Mogłaś zostawić notatkę, zaczęlibyśmy z niej korzystać”. Lepiej, że nie korzystał.

– Uważaj na suknię. Jeśli jakąś plamkę zostawisz, czy co...

Liza patrzyła w lustro. Błada, obca twarz i oczy duże i ciemne – same źrenice.

Coś w środku szafy zadudniło, pękło. Paweł Nikołajewicz ciężko sapał, starał się.

I Liza usłyszała swój głos. że to jej głos zorientowała się tylko dlatego, że nie było w pobliżu nikogo innego, kto mógł by tak przenikliwie, ze złością i desperacją krzyknąć.

– Wyłaż! Natychmiast przestań! Przecież ludzie się starali...

*Przełożył Piotr Ogorzałek*



[1] Kimry – miasto w Rosji, w obwodzie twerskim (przyp. tłum.).

[2] Toma – zmiękczenie od Tamara (przyp. tłum.).

# ZWIERZ MI SIĘ

Pragnę tam wrócić. Zwłaszcza w takie dni jak dzisiejszy, gdy szare obłoki – ukształtowane z mgieł na horyzoncie – podobne jeden do drugiego przelatują nad mokrym dachem, przynosząc ładunki ulewnego deszczu i dojmujące uczucie samotności.

Bardzo chciałbym tam wrócić, lecz niestety nie potrafię tego uczynić. Może dlatego, że jest rzeczą ponizającą być nędzarzem wśród hojnych bogaczy; ślepcem wśród widzących, którzy gorliwie ustawiają się w kolejce, by przeprowadzić cię przez ulicę; beznogim, którego noszą w lektyce uprzedzająco grzeczni i muskularni biegacze.

Zapewne do końca życia będę zadreślał się tą zawiścią.

Wtedy jednak niczego nie podejrzewałem. Po prostu dźwięknęły i zaszumiały drzwi windy, a ja zszedłem po pochylni na różnobarwne płyty kosmodromu i zatrzymałem się wybierając z tłumu oczekujących tego, który był mi przeznaczony jako współtowarzysz – o moim przybyciu zawiadomiono go z wyprzedzeniem.

Człowiek, który podszedł do mnie był wysoki, o obfitych kształtach oraz gibki niczym leopard. Miał długie, zielonkawe – z powodu niekończących się kłopotów z herselium – palce, i właśnie dlatego, wcześniej niż się odezwał, domyśliłem się, że jest tym, na kogo czekam.

– Jak pan doleciał? – zapytał, kiedy samochód wyjechał już poza bramę kosmodromu.

– Dziękuję – odparłem. – Normalnie.

Moje słowa ukrywały grzeczne kłamstwo, bo leciałem długo, czekałem na przesiadki w niewygodnych, pachnących metalem i rozgrzanym plastykiem stacjach towarowych i męczyłem się z powodu ogromnych przeciążeń, które jednak dla konstruktorów i pasażerów w tej części Galaktyki znaczyły niewiele.

Przybyły nic nie odparł, nieco tylko zmarszczył brwi, jakby cierpiał z powodu zastarzałego bólu zęba i teraz całym sobą się w niego wczuwał – w kolejny, nieuchronny i z góry oczekiwany nienawistny zastrzyk bólu.

– Zapewne niezbyt wygodnie leciało się panu naszym statkiem? Nie jest pan przyzwyczajony do takich przeciążeń.

– Tak – zgodziłem się.

– Głowa pana boli? – dorzucił nagle.

Nie odpowiedziałem, widząc, że to raczej jego dopadł atak bólu zęba.

– Boli głowa? – powtórzył. Po czym dodał jakby przepraszająco: – Niestety, wasze statki przylatują tutaj raczej rzadko.

Dopiero teraz, oddaliwszy się o kilka kilometrów od kosmodromu, znaleźliśmy się w zupełnie nowym otoczeniu. Wcześniej widziałem tylko dworzec planetarny, a one, jak wiadomo, są jednakowe w całej Galaktyce. Są bez wyrazu, jak bez wyrazu są wszystkie dworce – bez względu na to, czy odjeżdżają z nich pociągi, odlatują samoloty, czy startują do gwiazd dyskoloty.

Im dalej znajdowaliśmy się od kosmodromu, tym bardziej osobliwy i niepowtarzalny stawał się świat wokół mnie, bo tu, poza wielkim miastem, łatwo przyswajającym sobie mody Galaktyki, wszystko rozwijało się na swój własny sposób – i jedynie detalem, drobiazgiem mogło przypominać to, co zaobserwowało się gdzie indziej. Lecz, jak zawsze, właśnie takie drobiazgi przykuwały wzrok.

Było to na tyle ciekawe, że zupełnie zapomniałem o bólu głowy i mdłościach, które męczyły mnie tuż po wylądowaniu. Czułem się rześki, a powietrze wpadające przez otwarte okno samochodu było świeże, pachniało trawą i domowym ciepłem.

Na peryferiach miasta, wśród niewysokich domów tonących w sadach, mój współtowarzysz zmniejszył prędkość samochodu.

– Mam nadzieję, że już panu lepiej? – zapytał.

– Dziękuję. Znacznie lepiej. Podoba mi się tutaj, Co innego o tym czytać, oglądać zdjęcia, a co innego samemu poczuć zapach, barwę, przestrzeń.

– Oczywiście – zgodził się mój towarzysz. – Zabieram pana do mojego domu. Będzie panu tam wygodniej niż w hotelu.

– A to po co? – sprzeciwiłem się. – Nie chcę pana krępować swoją obecnością.

– Nie będzie mnie pan krępował.

Samochód skręcił w aleję, która obiegała strome wzgórze i niebawem podjechaliśmy do jednopiętrowego domu, skrytego w ogrodzie. Drzewa, krzewy oraz trawa spłoty się tu w skomplikowany, wyszukany wzór, tworząc przechodzące jedne w drugie łagodne kształty, których ukoronowaniem był dom.

– Proszę tu poczekać – poprosił mój towarzysz. – Zaraz wrócę.

Czekałem oglądając kwiaty i drzewa. Czułem się niezręcznie, zdając sobie sprawę, że oto wtargnąłem w cudze życie, które dotąd doskonale obchodziło się bez mojej obecności.

Naraz na piętrze otworzyło się okno i wyjrzała przez nie dziewczyna. Popatrzyła na mnie szybko i uważnie, i na znak zgody kiwnęła głową, lecz nie mnie, a komuś stojącemu za jej plecami. Zaraz potem zniknęła.

Poczułem się nagle lekko i swobodnie. Coś w twarzy tej dziewczyny, w ruchu jej rąk otwierających okno, w przelotnie rzuconym na mnie spojrzeniu, starło wspomnienie o przebytej drodze, zepchnęło w podświadomość rozczarowanie spowodowane oschłym powitaniem i tym, jak brzemienne w skutki będzie konieczność pozostania tutaj przez dwa lub trzy miesiące, zanim będę mógł z powrotem odlecieć na Ziemię.

Byłem przekonany, że dziewczyna do mnie zejdzie i faktycznie nie czekałem długo. Pojawiła się nagle wśród splecionych gałęzi, a krzewy rozchyliły się, pozwalając jej przejść.

– Nie nudzi się panu? – zapytała uśmiechając się lekko.

– Nie – odrzekłem. – Nie mam się dokąd spieszyć. Piękny macie tu ogród.

Dziewczyna była lekko ubrana, wykonywała dość niezdarne i gwałtowne gesty.

– Mam na imię Lina – powiedziała. – Pokażę panu, gdzie będzie pan mieszkał. Ojciec jest bardzo zajęty. Babcia choruje.

– Proszę wybaczyć – przerwałem. – Pani ojciec nic mi o rym nie mówił. Pojadę do hotelu...

– Nie ma mowy – sprzeciwiła się Lina. Jej oczy miały dziwny odcień – jakby starego srebra. – W hotelu będzie panu dużo gorzej. Nikt tam o pana nie zadba. A nam w żaden sposób nie przysporzy pan kłopotów. Ojciec polecił mi, żebym się panem zajęła. On sam został z babcią. Potrafi się nią opiekować dużo lepiej od nas wszystkich, prawda?

Zapewne powinienem nalegać na przeprowadzkę do hotelu ale byłem dziwnie bezradny. Owładnęło mną nieprzeparte wrażenie, że znam się z Liną i tym domem-ogrodem od bardzo dawna i że do niego w jakiś sposób należę. Na myśl o po-rzuceniu tego miejsca i znalezieniu się w pozbawionej ciepła bezduszności hotelu wszystko się we mnie burzyło.

– Znakomicie – powiedziała Lina. – Proszę dać mi rękę. Wejdziemy do domu.

Lina pokazała mi pokój, pomogła rozpakować rzeczy, a potem zaprowadziła do basenu z ciepłą,

pieniącą się wodą. Basen był ocieniony przez niemal zwarty nad nim gąszcz gałęzi. Dziewczyna usiadła na brzegu objawszy rękoma kolana, a gdy nurkowałem liczyła sekundy, mrużąc oczy w udawanym przestraczu, jeśli po liczbie „dziesięć” nie wystawiałem głowy nad powierzchnię wody.

Później zaprowadziła mnie na płaski dach domu, gdzie znajdowało się jej małe zoo – pasiaste, grające pasikoniki, sześcioskrzydłe ptaki, błękitne drzemiące w kwiatach rybki i – banalny dla mnie, lecz tu niezwykle ceniony – ziemski kot domowy. Kot niestety nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi i Lina powiedziała:

– Byłam przekonana, że się ucieszy. Aż żal.

Dziewczyna towarzyszyła mi do samego wieczora i prawie nikogo oprócz niej nie widziałem. Od czasu do czasu przeproszała mnie i znikła. Mówiłem wtedy: „Macie zapewne wiele ważnych spraw. Proszę nie zwracać na mnie uwagi”. Lecz kiedy tylko zostawałem sam, natychmiast powracało dojmujące uczucie samotności, dyskomfortu fizycznego i smutku. Podchodziłem do regałów z książkami, wyciągałem na chybił trafił jakiś tom i natychmiast odstawiałem go na miejsce. Wychodziłem do ogrodu, potem znów wracałem do domu, i przez cały czas nasłuchiwałem odgłosu jej kroków. Lina przybiegała, dotykała mnie koniuszkami palców i pytała:

– Nie nudzi się pan?

– A ja odpowiadałem:

– Co nieco.

Raz się nawet zdecydowałem i wyjawiałem jej, jak kojąco działa na mnie jej obecność, która uwalnia mnie od trosk i ponurych myśli. Lina uśmiechnęła się i odpowiedziała, że na kolację wróci jej brat, przywiezie ze sobą lekarstwa, a one wyleczą mnie z ubocznych skutków związanych z przylotem.

– Do jutra będzie pan jak nowo narodzony. Wszystko zniknie.

-A pani?

– Ja?

– Pani nie zniknie? Nie zniknie pani jak dobra wróżka?

– Nie – obiecała Lina z przekonaniem. – Jutro również będę.

Przy kolacji cała rodzina, wyłączwszy chorą babcię, zasiadła za długim stołem. Niespodziewanie dla mnie okazało się, że w domu, który wydawał się całkowicie pusty, mieszka co najmniej dziesięć osób. Gospodarz, zmęczony i blady, usiadł obok mnie i dbał, bym zażył wszystkie lekarstwa, które przywiózł jego syn, student medycyny. Leki, jak się można było domyśleć, miały nieprzyjemny smak, lecz starałem się być posłuszny i nikomu nie powiedziałem, że według mnie jedynym niezawodnym i prawdziwym lekarstwem jest dla mnie Lina. Lina oczywiście mi współczuła i nawet krzywiła się, gdy w trakcie przyjmowania leków trafiała mi się szczególnie paskudna tabletką.

Gospodarz oświadczył, że stan zdrowia jego matki poprawi! się. Usnęła. Nie bacząc na zmęczenie i bladeść rozmawiał z ożywieniem, skory do śmiechu, co jawnie kontrastowało z jego posępnym zachowaniem, kiedy czekał na mnie na kosmodromie. Być może wtedy był zaniepokojony stanem zdrowia matki, natomiast teraz...

– Obudziła się – rzekł nagle gospodarz.

Mimowolnie nadstawiłem uszu. Nie było słychać ani kaszlu, ani oddechu – w domu panowała całkowita cisza.

– Pójdę do niej – zaproponował syn gospodarza. – Ojciec, jesteś zbyt zmęczony.

– No co ty – sprzeciwił się gospodarz. – Przecież jutro masz zajęcia.

– A ty masz wolne?

– Pójdziemy więc razem – zdecydował ojciec. – Proszę nam wybaczyć.

Lina odprowadziła mnie do pokoju i powiedziała:

– Mam nadzieję, że pan zaśnie.

– Bez wątpienia – zgodziłem się. – Zwłaszcza jeśli wśród tych leków był choć jeden nasenny.

– Oczywiście, że był – stwierdziła Lina. – Dobranoc.

I rzeczywiście, zasnąłem bardzo szybko.

Następnego dnia wstałem zupełnie zdrów. Udałem się do ogrodu mając nadzieję, że spotkam Linę. Czekala tam na mnie przy basenie. Pragnąłem opowiedzieć jej, jak dobrze spałem, jak się cieszę tym pachnącym porankiem i spotkaniem z nią, lecz Lina nie pozwoliła mi dojść do słowa.

– Znakomicie – powiedziała, zupełnie jak gdyby odczytała moje myśli. – Babcia też ma się lepiej. Teraz ojciec zawiezie pana do Instytutu. A wieczorem będę na pana czekała, a pan mi opowie, jak postępuje praca i co interesującego pan zobaczył. Zgoda?

– Sama się pani domyśli.

– Dlaczego?

– Pani może czytać moje myśli.

– To nieprawda.

– Z pewnością się nie mylę. Przecież pani nawet nie poczekała, aż sam powiem, jak się dziś czuję. Zaś wczoraj, pamięta pani, jak pani ojciec wstał od stołu, bo babcia się obudziła? Przecież w domu było zupełnie cicho. Nie mógł niczego usłyszeć.

– To wszystko nieprawda – ucięła Lina. – Po co mielibyśmy czytać cudze myśli? W tym również pańskie?

– To prawda – nie ma po co – zgodziłem się. I zrobiło mi się naraz przykro, że Linę w ogóle nie interesują tak pochlebne dla niej moje myśli.

– Dzień dobry – przywitał się ojciec Liny wchodząc do ogrodu. – Jest pan dziś już całkiem zdrowy. Bardzo się cieszę.

– A jednak to ja mam rację – rzuciłem cicho Linie, zanim podążyłem za jej ojcem.

– Po co czytać myśli? – rzuciła za mną. – Przecież pan ma wszystko wypisane na twarzy.

– Wszystko?

– Nawet więcej.

Minęło kilka dni. W ciągu dnia pracowałem, zaś wieczorami krążyłem po mieście, wychodziłem na pola, do lasu oraz na brzeg wielkiego słonego jeziora, w którym żyły ryby pancerne. Czasem przebywałem sam, czasem z Liną. Przyzwyczailem się do moich gospodarzy i poznałem jeszcze dwóch – trzech inżynierów. Jednak w mojej powszedniej egzystencji ani na chwilę nie opuszczało mnie dziwne uczucie swoistej niezwykłości otaczających mnie ludzi. Prawdę mówiąc, byłem przekonany o ich zdolnościach telepatycznych, lecz ilekroć zaczynałem o tym wspominać, moi gospodarze tylko się uśmiechali. W ich wzajemnych stosunkach, w jakimś ich zrównoważeniu i pogodzeniu, w podwyższonej empatii, kryła się zdolność dla mnie niedostępna i dlatego wywołująca przemożną chęć jej wyjaśnienia.

Czasami czułem się w obecności Liny niezręcznie, ponieważ łapałem się na jakiejś myśli, z której nie chciałem się jej zwierzyć. Wydawało mi się, że dziewczyna słyszy niewypowiedziane słowa i w duchu śmieje się ze mnie. Działo się tak, chociaż Lina całkowicie negowała taką możliwość.

Pewnego razu spacerowałem jedną z ulic. Była ona kręta i cała w zieleni, jak niemal wszystkie ulice w tym mieście. Przede mną szło kilku chłopców. Kopali piłkę, a ja kroczyłem za nimi, obserwowałem ich i walczyłem z pragnieniem, by ich dogonić i także pokopać piłkę. W decydującej chwili nie zauważyłem sterczącego z ziemi korzenia – potknąłem się, upadłem, uderzyłem kolanem w kamień i w jednej chwili przeszył mnie tak niespodziewany i ostry ból, że aż krzyknąłem. Chłopcy zatrzymali się, jakby mój krzyk wręcz w nich uderzył. Piłka samotnie potoczyła się na stok, lecz oni nie zwrócili na to uwagi. Odwrócili się w moją stronę. Staralem się uśmiechnąć i pomachałem im nawet ręką – że niby nic się nie stało

i wcale mnie nie boli. Idźcie sobie, dokończcie swoją piłkę.

Podźwignąłem się, lecz nie udało mi się stanąć. Musiałem nadwierać ścięgno. Chłopcy byli już przy mnie. Jeden z nich, trochę starszy, zapytał:

– Bardzo pana boli?

– Nie, nie bardzo.

– Wezwę lekarza – zaproponował inny.

– Idź – zdecydował starszy. – My tu zaczekamy.

– No, co wy, chłopcy – odezwałem się. – Naciągnąłem więzadło. Każdemu może się przytrafić. Zaraz mi przejdzie.

– Oczywiście – odrzekł starszy chłopak.

I, jakby podporządkowując się jego słowom, ból nogi naraz zelżał, zanikł. Chłopcy patrzyli na mnie poważnie, milczeli. Tylko najmłodszy z nich nagle się rozplakał, a wtedy starszy z chłopców rzekł:

– Biegnij do domu.

I tamten pobiegł.

Nadszedł lekarz. Mieszkał, jak się okazało, po sąsiedzku. Zbadał nogę, zrobił zastrzyk. Chłopcy gdzieś znikli i tylko jeszcze przez pewien czas słychać było odgłos odbijanej piłki.

Lekarz pomógł mi dotrzeć do domu. Nie chciałem się na to zgodzić, twierdząc, że poradzę sobie sam.

– Właściwie nie czuję już bólu. Mogę bez problemu stawiać nogę – mówiłem. – Tylko w pierwszej chwili mnie zabolalo. Chłopcy by to potwierdzili.

– Jest pan tu gościem? – spytał lekarz.

– Tak.

– Rozumiem – doktor się pożegnał.

Mimo wczesnej pory, w domu byli już wszyscy. Babci znów się pogorszyło. Było z nią tak niedobrze, że należało ją pilnie zawieźć do szpitala i zoperować.

Podszedłem do Liny. Była blada, oczy miała podkrążone.

– Wszystko przejdzie. Będzie dobrze – zapewniłem ją.

Nie od razu mnie zrozumiała. Obejrzała się za siebie, jakby mnie nie poznawała.

– Wszystko minie – powtórzyłem.

– Dziękuję. Pan się przewrócił?

– To nic wielkiego. Już mnie nie boli.

– A babcia bardzo cierpi.

– Dlaczego więc nie zrobią jej zastrzyku? Na mnie podziałał od razu.

– Nie można. Nic już nie pomaga.

– Bardzo chciałbym wam jakoś pomóc.

– Proszę więc odejść – stwierdziła, nie chcąc mnie wcale dotknąć. Mówiła spokojnym, bezbarwnym głosem, jakby prosiła o przyniesienie szklanki wody. – No niech pan idzie. Przecież pan przeszkadza.

Bez słowa wyszedłem do ogrodu. Czułem się niepotrzebny. Nie zamierzałem się obrażać. Przecież Lina źle się czuła. Wszyscy źle się czuli.

Widziałem jak odjeżdżali. Zostałem w domu sam. Poszedłem na górę – do zoo. Kot poznał mnie od razu, zbliżył się do siatki, otarł się o nią wyginając ogon. Kotów domowych nie powinno się trzymać w klatce, lecz tu był on tylko egzotycznym, rzadkim zwierzęciem, które nie rozumiało, co się wokół niego dzieje i nie mogło liczyć na zrozumienie.

Bliskość, przyjaźń z tymi ludźmi, osiągnięta, jak mi się zdawało, w ciągu ostatnich dni, gdzieś przepadła. Została obnażona moja nieprzydatność, obcość. Ale jaka to była nieprzydatność – tego nie wiedziałem. Powinienem pojechać do szpitala – tam dowiem się czegoś ważnego. Nikt co prawda mnie

nie zapraszał i moja obecność mogła być tam niepożądana. Mimo to nie mogłem nie jechać. Nie była to zwykła ciekawość; raczej pogoń za tajemnicą, która przemykała mi gdzieś między palcami, niczym drobny owad: bliska, całkowicie oczywista, lecz właśnie jak owad – nieuchwytna.

Nikt mnie nie zatrzymał w drzwiach szpitala. Jedyne dziewczyna za pulpitem zapytała, czy może mi w czymś pomóc. Podałem imię babci i dziewczyna odprowadziła mnie do windy.

Szedłem długim korytarzem, dziwnym, jakby nie szpitalnym. Wzdłuż jego ścian stały ciasno stłoczone krzesła. Na krzesłach siedzieli ludzie. Zdrowi, zupełnie zdrowi. Siedzieli i milczeli.

Przed matowymi drzwiami prowadzącymi do sali operacyjnej zobaczyłem moich przyjaciół. Linę, jej ojca, jej braci. Zaraz obok, na sąsiednich krzesłach, siedzieli nasi wspólni znajomi – ci, którzy pracowali razem z nami albo mieszkali nieopodal. Lina obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem, przebiegła wzrokiem po twarzy. W jej oczach zobaczyłem ból.

Usiadłem w pustym krześle. Jakoś niezręcznie było mi przyglądać się ludziom, których nie interesowałem. W tamtej chwili zrozumiałem, na czym polega ich niezwykłość.

Nie czekaliśmy długo. Nagle, zupełnie jakby jakiś niewidzialny czarodziej wykonał dłonią znak za ich plecami, ludzie ożywili się, rozjaśnili, poruszyli. Ktoś powiedział: „Podano narkozę”. Umawiano się, kto ma zostać, by dyżurować, a kto przyjdzie po operacji, kiedy narkoza przestanie działać i powrócą bóle.

Lina podeszła do mnie. Wstałem.

– Przepraszam – powiedziała. – Czuję się strasznie winna, ale pan przecież rozumie...

– Rozumiem. Jakże mógłbym się gniewać? Jest mi tylko przykro, że jestem dla was obcy.

– Nie trzeba. To nie pana wina.

– Wie pani co? Kiedy dzisiaj się przewróciłem, podbiegło do mnie kilku chłopców. I pozostawali przy mnie tak długo, aż przyszedł lekarz...

– A jakże by inaczej? – zdziwiła się. Zbliżył się do nas jej ojciec.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedział. – Proszę zabrać ze sobą Linę. Poradzimy sobie bez niej. Profesor zapewnił mnie, że operacja przebiegnie pomyślnie.

– Tato, ja zostaję – oświadczyła Lina.

– Jak chcesz.

– Proszę zrozumieć – rzekła Lina, gdy jej ojciec już odszedł. – Bardzo trudno byłoby nam wyjaśnić to panu na samym początku. Dla nas jest to tak naturalne, jak jedzenie, picie czy spanie. Dzieci uczy się tego już od pierwszych dni życia.

– Czy zawsze tak było?

– Nie. Nauczyliśmy się tego kilka pokoleń temu. Jednak potencjalnie zdolność ta istniała zawsze. Może i pan ją ma, ukrytą gdzieś w głębokich pokładach mózgu. To nawet niezwykle, jeśli się pomyśli, że inne światy mogą być tego pozbawione. Przecież każda rozumna istota chciałaby taką zdolność posiadać. Czyż nie?

– Tak – zgodziłem się. – Jeśli człowiek, który znajduje się gdzieś obok źle się czuje – a zwłaszcza, gdy dotyczy to osoby nam bliskiej – to naturalne, że pragniemy wziąć na siebie jego ból.

– Nie tylko ból – zaoponowała Lina. – Także radość. Pamiętasz pierwszy dzień, gdy tu przyleciałeś? Czuleś się podle. Ojciec niewiele mógł ci pomóc – główny ciężar bólu babci spada na niego, ponieważ jest jej synem. Nawet odbierając cię na kosmodromie musiał jej pomagać. A im dalej znajdujesz się od człowieka, któremu pomagasz, tym jest to trudniejsze. Tobie natomiast wydawało się, że ojciec jest po prostu niegrzeczny. Czyż nie tak?

– Nie całkiem, ale...

– A on musiał wziąć na siebie również twoje złe samopoczucie. Jesteś naszym gościem. Prawdę mówiąc dziwię się, jak ojciec w ogóle dojechał do domu. A potem od razu zmienił mnie przy łóżku



babci. Zobaczyłam cię przez okno i spodobałeś mi się. Pozostałam z tobą przez cały dzień i cały dzień z twojego powodu pękała mi głowa.

– Przepraszam – wyjąkałem. – Przecież nie wiedziałem.

Zdałem sobie sprawę, że dopiero teraz, w szpitalu, niepostrzeżenie przeszliśmy na „ty”. Zapewne należało zrobić to dużo wcześniej.

– Przepraszam – powtórzyłem.

– Ale tak jest nawet lepiej. Wyobrażam sobie, jakbyś się wzburzył dowiedziawszy się o takiej gościnności.

– Odjechałbym.

– Wiem. To dobrze, że zostałeś. Teraz idź. Wrócę rano i zapukam do drzwi. Mamy przecież o czym rozmawiać.

– Tak – zgodziłem się.

– Jeśli będziesz spał, zapukam mocno i wtedy się obudzisz.

– Nie będę spał.

Ponownie przeszedłem długim korytarzem szpitala, gdzie siedzieli krewni i przyjaciele tych, którzy cierpieli. Przyszli tutaj, by wziąć na siebie ból innych. I nie była to żadna telepatia. Oni po prostu wiedzieli, że są potrzebni sobie nawzajem.

Do domu dotarłem na piechotę. Trochę bolała mnie noga, ale starałem się o tym nie myśleć. Każdy z przechodniów, który znalazł się blisko mnie, oglądał się, popatrywał na mnie, a wtedy ból odchodził, zanikał. Przyspieszyłem kroku, bo nie chciałem nikogo obciążać. Spotkałem młode kobiety. Niosły ogromne bukiety kwiatów. Śmiały się plotkując o czymś wesoło. Zobaczyły moją markotną fizjonomię i obdarowały mnie swoją radością. Ich radość spłynęła na mnie jak pachnące, świeże krople rosy. Siedzący na ławce staruszek, oparłszy się na lasce podarował mi spokój... Uświadomiłem sobie, że wszystko to zdarzało się już wcześniej, lecz nie dostrzegałem związku między swoimi odczuciami a ludźmi, którzy mnie otaczali.

Cóż, w porównaniu z nami żyje się im i trudniej, i łatwiej. Mogą dawać i przyjmować dary. Ale jednocześnie powinni obdarzać nimi innych i sami je otrzymywać. Nikt nie może odgrodzić się od reszty, bo podczas gdy my tylko widzimy ludzkie łyzy, oni je odczuwają. A przecież wzrok jest o wiele mniej doskonały.

Tego dnia stałem się zawistny. Zazdroszczę im, a czasem czuję nawet do nich coś w rodzaju niechęci. Zawsze będę tu kimś obcym, niczym nędzarz pośród hojnych bogaczy. Mogę przyjmować dary, ale sam nie potrafię ich nikomu ofiarować.

Ostatecznie zakończył się czas mojego pobytu; odleciałem na Ziemię. Na kosmodrom odprowadziła mnie tylko Lina. Pozostali pożegnali się ze mną jeszcze w mieście. Tak umówiliśmy się wcześniej.

Siedzieliśmy w poczekalni, pustej i pozbawionej wyrazu. Czasu do odlotu mieliśmy dość, aby powiedzieć sobie wiele, a zarazem za mało, by się nagadać.

W pewnej chwili Lina powiedziała:

– Chciałabym móc razem z tobą polecieć na Ziemię.

– O, nie – zaprotestowałem. – Przecież wiesz. Na Ziemi zginiesz. Tutaj ciężar radości i cierpień jest rozłożony na was wszystkich równomiernie. Na Ziemi zostaniesz przytłoczona smutkiem i bólem, radością i wściekłością, nudą i brakiem cierpliwości miliardów ludzi. Nie sprostasz takiemu ciężarowi. Nie będziesz mogła dzielić tylko mojej radości i tylko moich cierpień. To niemożliwe.

– Masz rację. Nie sprostam – zgodziła się Lina. – I to jest bardzo smutne.

– A ja nie potrafiłbym być z tobą, wiedząc, jaka jesteś samotna. Pamiętając, że jeśli moja pomoc stanie się dla ciebie niezbędna, nie będę w stanie ci jej ofiarować.

– Ale ty przecież, mimo wszystko, mógłbyś zostać z nami? Zostać ze mną? Tutaj.

W jej głosie nie usłyszałem jednak przekonania.

– Przypomnij sobie tamten dzień, gdy twoją babcię poddano operacji – powiedziałem. – Przyszedłem do was, ale byłem ślepcem pośród widzących. Nie, nie mógłbym zostać.

Prawdę mówiąc, wszystko już powiedzieliśmy sobie wczoraj i przedwczoraj. Powtarzaliśmy tylko dialog, wiedząc, czym się zakończy. Lecz nie mogliśmy go nie powtarzać, ponieważ zawsze pozostawała absurdalna nadzieja, że znajdzie się jakiś kompromis, że zdołamy coś wymyślić, co oddali od nas konieczność rozstania.

A kiedy już stałem przy trapie, Lina podeszła do mnie bardzo blisko, że widziałem czarne punkciki w jej srebrzystych oczach, i powiedziała:

– Zapamiętaj to, jak się teraz czuję.

A wtedy do mojego smutku dołączył jej smutek i w biały dzień stało się naraz tak ciemno, że musiałem chwycić ją za rękę, żeby nie upaść. Lecz żaden z przechodzących obok pasażerów nie pospieszył mi z pomocą, nie podzielił ze mną mego smutku, ponieważ w życiu każdego zdarzają się też chwile, gdy swą chęć pomocy innym ludziom trzeba powstrzymać. Dla osób przechodzących obok musiało to być trudne, bo starali się obchodzić nas z daleka.

Potem nastąpił lot, przeciążenia i wstrząsy. Lecz ja byłem całkowicie zdrow i czułem się znakomicie. Wiedziałem, dlaczego tak jest – tam, daleko, w swym pokoju na piętrze, ściskając głowę dłońmi siedzi Lena – i jest jej boleśnie i źle. I złościłem się na nią, starałem się ją przekonać: zapomnij o mnie, głupiutka, miła, nie bierz na siebie tego bólu...

Bardzo chciałbym tam wrócić, lecz niestety nie potrafię tego uczynić.

*Przełożył Zbigniew T. Dworak*

# KORONA PROFESORA KOZARINA

Ściemniło się już, gdy wysiadłem z pociągu podmiejskiego. Padał drobny, niekończący się deszczyk. Z jego powodu zdawało się, że nadeszła już jesień, choć do jesieni było jeszcze daleko. A może po prostu pragnąłem, żeby jesień nastąpiła szybciej, bo dzięki niej zdołałbym zapomnieć o wieczornym pociągu, peronie i drodze przez las.

Zazwyczaj wszystko robisz automatycznie. Wsiadasz do pierwszego wagonu metra, ponieważ bliżej z niego do wyjścia, bierzesz bilet w pierwszej z brzegu kasie; żeby zaoszczędzić dwadzieścia kroków do pociągu, mkniesz do trzeciego wagonu od końca, ponieważ ten zatrzymuje się przy schodach, od których zaczyna się asfaltowa dróżka. Schodzisz z dróżki przy podwójnej sośnie, ponieważ jeśli pójdziesz na skróty, przez brzozowy zagajnik, to zaoszczędzisz jeszcze sto dwadzieścia kroków – wszystko przez miesiąc wymierzone. Długość drogi zależała od tego, jak bardzo ciężką masz tego dnia torbę.

Siąpił deszczyk. Kiedy pociąg odjechał i zrobiło się cicho, usłyszałem, jak krople uderzają o liście. Było pusto, jakby pociąg wywiózł ostatnich ludzi i zostawił mnie tu całkiem samego. Zszedłem po schodach na asfaltową dróżkę i jak zwykle obszedłem kałużę. Słyszałem swoje kroki i pomyślałem, że te kroki są starsze ode mnie. Z pewnością to ze zmęczenia i poczucia, iż moje życie stało się nie takie, jak bym chciał.

Wracałem tak późno, ponieważ zajechałem do ciotki Wali po lampę z niebieskim światłem dla Koski, dopiero w czwartej z kolei aptece zdobyłem syrop z dzikiej róży, musiałem kupić trzy butelki lemoniady dla Raisy Pawłowny, nie mówiąc już o kiełbasie, serze i innym jedzeniu – tu dwieście gram, tam trzysta – no i zebrało się w torbie z dziesięć kilogramów, aż chciało się zostawić ją pod sosną i o niej zapomnieć.

Zszedłem z asfaltowej dróżki i poszedłem na wprost ścieżką przez brzozowy zagajnik. Ścieżka była śliska, musiałem domyślać się jej w ciemności, żeby nie potknąć się o korzenie.

Mógłbym biegać po pracy po sklepach i później przez prawie godzinę tłuc się pociągiem, gdyby był w tym jakiś sens, ale sensu nie było, jak nie było sensu w dużej części tego, co robiłem w życiu. Czasami myślałem o tym, jak względny jest czas. Jesteśmy małżeństwem półtora roku. Koska zaraz skończy siedem miesięcy, już coś zaczyna rozumieć. I te półtora roku, z jednej strony, zaczęło się jakby dopiero wczoraj, i pamiętam wszystko, co wydarzyło się w tym czasie, z drugiej strony – to było najdłuższe półtora roku w moim życiu. Inne życie było przedtem, innym żyłem teraz. A i ono się kończy, bo przecież, co oczywiste, umiera człowiek nie jeden raz, i, żeby żyć dalej i wciąż pozostawać człowiekiem, nie można przeciągać, marudzić, lecz trzeba odciąć się od tego raz na zawsze. I zacząć od nowa.

Mimo wszystko poślizgnąłem się, o mały włos nie upadłem i ledwo uratowałem lampę z niebieskim światłem. Prawy but przemókł. Zamierzałem zajść do szewca, ale oczywiście nie starczyło na to czasu. Wszedłem do wsi, świeciły się tu latarnie i można było iść szybciej. Wzdłuż płotu miotał się biały kundel i zachłystywał się nienawiścią do mnie. Zawsze to jakieś uczucie. Najgorzej, gdy uczucia giną i po prostu przestajesz być zauważany. Nie, wszystko pozostaje w granicach normy, wciąż cię widzą, karmią cię, przyszywają ci guziki i nawet pytają, czy nie zapomniałeś zajść do szewca i naprawić prawego buta. Bo jeszcze trochę i się przeziębisz. Dalszy tok rozumowania jest elementarnie przewidywalny. Jeśli się przeziębę, to nie będzie komu targać toreb z Moskwy.

Dacza Kozarina stała druga po lewej, i za krzewami bzu widać było światło na tarasie. Raisa

Pawłowna siedzi tam i pracuje nad książką inwentarzową, w której spisuje wszystkie swoje przychody i wydatki. W życiu nie widziałem człowieka, który tak poważnie traktowałby kopiejki. I od początku zaskoczyło mnie, że Walentyna, taka wcześniej beztroska i wesoła, znalazła z nią wspólny język. Kto wie, może wkrótce też zaprowadzi książkę inwentarzową i poliniuje ją na dni i godziny?

Wynajęliśmy tę daczę, gdyż znalazła ją ciotka Walentyny. Dacza była stara, skrzypiąca i zewnętrznie posiwiąta. Wcześniej mieszkał w niej profesor Kozarin, ale trzy lata temu zmarł, a dacza dostała się jego siostrzenicy Raisie, ponieważ profesor nie miał innej rodziny. Wszystkie rzeczy należące kiedyś do profesora Raisa wrzuciła do komórki, jakby chciała w ten sposób wykreślić go nie tylko z życia, ale również z pamięci. Nie wiem, czy miała kiedyś męża, ale dzieci nie miała na pewno. Koski nie lubiła, irytował ją, i, gdyby nie jej przyjaźń z Walentyną, byłoby nam z Koską niełatwo. Dacza była niewielka: dwa pokoje i taras. Nie licząc kuchni i komórki. Raisa najchętniej wynajęłaby wszystko, ale póki zmuszona była pozostawić sobie – założyła ogród, a o niego trzeba dbać. Jako lokatorzy nie bardzo Raisę zadowalaliśmy, ale nie miała wyjścia – dacza była daleko od stacji i Moskwy, sklepów, czy innych przejawów cywilizacji w pobliżu nie było, a Raisa zarządzała za nią cenę taką, jak za pałac w Nicei, w rezultacie czego, niczym wybredna panna na wydaniu, została z niczym. Musiała zgodzić się na nas.

Przechyliłem się nad furtką, odsunąłem zasuwę i ruszyłem śliską ścieżką do domu, pochylając się, żeby nie zaczepić o brzozowe gałązki i nie sprawić sobie zimnego prysznicza za kołnierz. Raisa siedziała za stołem, co prawda nie z książką inwentarzową, lecz z poradnikiem farmaceuty, jej ulubionym czytadłem. W odpowiedzi na moje „dzień wieczór” spytała tylko:

– Znów zapiełeś?

Miałem ochotę rzucić w nią trzema butelkami lemoniady niczym granatami, ale ustawiłem je tylko przed nią w rzędzie. Rzuciła z roztargnieniem:

– A tak, dziękuję.

W ten sposób zapewne królowa angielska zwracała się do lokaja, gdy ten przynosił jej lody. Wtedy weszła Walentyna i okazała radość z mojego przyjazdu:

– A już się zaczęłam denerwować.

Zapewne mogła znaleźć jakieś inne powitanie, i wszystko rozeszłoby się po kościach, ale wiedziałem, że wcale się nie denerwowała, lecz z błogością robiła na drutach albo drzemała w ciepłym pokoju, gdy ja brnąłem tutaj, i myślała o tym, że zaraz skończy się lato i jej uwięzienie na daczce, i wreszcie spotka swojego księcia. A może nawet i o tym nie myślała. Żyje spokojnie, niczym roślina, i traci ten spokój tylko pod wpływem wrogości do mnie.

– Popiłem. – Z ciekawością oczekiwałem na jej reakcję. – Wypiliśmy z Siemienowem, potem oglądaliśmy hokeja.

Walentyna uśmiechnęła się sceptycznie i zalała mnie falą pobłażliwego lekceważenia. Oczy miała nieumalowane, przez co sprawiały wrażenie zimnych. A ja stałem i uczyłem się nienawidzić tych szczupłych palców, leżących obojętnie na stole, i kosmyka włosów nad małym uchem. To trudna szkoła – o wiele łatwiej nienawidzić samego siebie.

– Jesteś zmęczony, kochanie – powiedziała Walentyna. – Nastaleś się w kolejkach?

– Mówiłem przecież, że piłem z Siemienowem!

Jakże chciałem wyprowadzić ją z równowagi, żeby straciła panowanie nad sobą, żeby pokazała swe prawdziwe, pełne złości i obojętne wnętrze!

– Zadziwiająca – zaskrzeczała Raisa – młodzieniec z dobrej rodziny...

– Co ma pani do mojej rodziny?!

I od razu wyobraziłem sobie, jak chichoczą razem z Walentyną, gdy moja żona opowiada jej, jak mój ojciec próbował zabronić mi się z nią żenić. Powiedział wtedy: „Przez całe życie nie zarobiłeś ani

grosza, a teraz chcesz, żebym utrzymywał i ciebie, i twoją żonę?”. Później, spoglądając w przeszłość, zrozumiałem, że Walentyna rzeczywiście liczyła na nasze mieszkanie, na ojcowską wypłatę i życie w dobrobycie. Przecież kiedy ojciec powiedział to wszystko, szybko się wycofała. Umiejętnie zamaskowała swoje myśli niepokojem o moje studia: „Musisz się uczyć, twojego pomysłu, by rzucić studia, odejść na drugim roku, pracować i wynajmować pokój, nie da się obronić. Będzie nam ciężko”. Doskonale odegrała swoją rolę. Nie miała nic do stracenia, co najwyżej łóżko w akademiku. Ze swoimi zewnętrznymi walorami mogła znaleźć mieszkanie lepsze od naszego. I z tego, co wiem, chętnych by znalazła.

Przez pierwsze trzy, cztery miesiące wydawało się, że nic nas nie dzieli. Walentyna pracowała, pracowałem i ja, znaleźliśmy pokój, a na studia wieczorowe przenieśliśmy się bez większego problemu. Ale wtedy w perspektywie zamajaczył Koska, i kiedy Walentyna odeszła z pracy, a Koska się zmaterializował, zrobiło się rzeczywiście niełatwo. Jej także. Jeszcze liczyła na moje pogodzenie się z ojcem, dla mojego dobra, jak tłumaczyła, żeby nie płacić za pokój i nie czekać, aż właścicielce sprzykrzą się nocne sceny, które potrafił urządzić Koska i poprosi nas o opuszczenie pomieszczenia. Ale ja byłem uparty. Zacząłem wtedy domyślać się jej gry, wciąż jednak liczyłem, że łączy nas coś więcej.

– Nic mi do pańskiej rodziny – ścisnęła wargi Raisa. – Mam na myśli tę rodzinę.

Innymi słowy, do mojej – tej – rodziny coś ma. Świetny, standardowy sojusz dwóch hien przeciwko jednemu zającowi.

– Jak tam Koska? – spytałem, żeby powstrzymać irytację.

– Śpi – powiedziała Walentyna i ścisnęła wargi, zupełnie jak Raisa. Walentyna łatwo ulegała wpływom innych.

Raisa wstała, zebrała butelki i przycisnąwszy je do brzucha książką, popęzła do siebie. Tak w ogóle to taras nam wynajęła i dostała za to pieniądze, ale sama preferowała spędzanie czasu na nim.

Zajrzałem do pokoju, do Koski. Syn spał, poprawiłem na nim kołdrę. Koska nie był do nikogo podobny i dlatego ci, którzy chcieli sprawić mi przyjemność, przekonywali, że jest moją kopią, a ciotki i koleżanki Walentyny powtarzały na wszelkie sposoby: „Waleczka, cóż za podobieństwo! Twój nosek, twoje usteczka! Twoje uszka!”.

Mówi się, że dziecko źle rośnie bez ojca. Dobrze by było, gdyby po naszym rozwodzie Walentyna zgodziła się zostawić Koskę przy mnie. Wiedziałem, że matka przyjmie mnie z synem z powrotem. Kochała go. Należała do tych, którzy uważali Koskę za moją kopię. A Walentynie nie był potrzebny – ot, smutne świadectwo życiowej pomyłki. Kiedy w końcu odnajdzie swoje szczęście, będzie miała inne dzieci. Mnie więcej niczego nie trzeba. Przyłapałem się na tym, że myślę o rozwodzie jak o czymś już postanowionym.

– Przemókł ci but? – spytała drwiąco Walentyna, wchodząc za mną. – Czyżbyś nie zdążył zejść do szewca?

– Acha – powiedziałem, żeby nie nawiązywać rozmowy. Czuję wewnętrzne napięcie, nerwy topiły się. Zaraz znajdzie sposób na boleśniejsze wypomnienie mojej biedy.

Znalazła.

– Wiesz, Kola – powiedziała obłudnie. – Pewnie obejdę się bez płaszcza. Mój stary jest jeszcze całkiem w porządku. Ty bardziej potrzebujesz butów.

Przechwyciłem jej spojrzenie. Oczy miała zimne, drwiące. Słowa chlusnęły mi do gardła i utknęły mi w nim. Rozkaszałem się i rzuciłem do drzwi. Walentyna nie pobięła za mną, i wyobraziłem sobie wyraźnie, jak stoi, dotknąwszy palcem ostrego podbródka i uśmiecha się zagadkowo. Wyprowadziła cios poniżej pasa. Niedozwolony cios.

Minęła już jedenasta i chociaż jutro miała być sobota, kiedy można było się powylegiwać,

postanowiłem położyć się wcześniej. Zmęczyłem się. Położyć mogłem się na tarasie, jak zwykle, przecież Walentyna spała w pokoju z Koską, na wypadek, gdyby pojawiła się konieczność przewinięcia go, kiedy się obudzi. Ale musiałbym pójść do pokoju po kołdrę i poduszkę. A tego nie chciałem robić. Bo mogłem stracić panowanie nad sobą. Dlatego wyjąłem „Korożę metali” – pasjonująca lektura przy takim nastroju – i zabrałem się za czytanie. Niedługo potem Walentyna zajrzała przez szparę w drzwiach i szeptem spytała (Koska rzucał się we śnie), czy napiję się herbaty. Syknałem na nią i schowała się. Zrozumiałem: Walentyna coś wymyśliła, inaczej dawno pojawiłaby się na tarasie i zamruczała ze dwa razy, żeby mnie uspokoić. Na razie, do jesieni, jestem jej potrzebny. Do targania toreb i harowania w gospodarstwie.

Wkrótce dwunasta. Zaskrzypiało w dalszym pokoju łóżko Raisy. Gospodyni kładła się, musiała wcześniej wstać, żeby nakarmić kury. Oczy zaczęły mi się kleić. Nie zapamiętałem nawet linijki z „Korożi”. Mam w duszy korożę, tyle akurat pojąłem. I rozumiałem jeszcze, że w wieku dwudziestu jeden lat można zacząć życie od nowa.

Walentyna też się nie kładła. Planowała nowe upokorzenie, czekała, aż nie wytrzymam i przyjdę po poduszkę. Mowy nie ma, nie doczeka się. Popatrzyłem na swoją dłoń – była we krwi. Wyglądało na to, że zatłukłem komara i nawet tego nie zauważyłem. Deszczyk postukiwał o dach, wtórował mu równy szum strużki wody, lejącej się z rynny do beczki przy tarasie. Nie miałem nawet czym się okryć – marynarka, jeszcze nie wysuszona, wisiała gdzieś w kuchni nad płytą. Może wziąć obrus ze stołu? A dlaczego by nie? Rankiem mógłbym przecież dostarczyć satysfakcji Raisie, kiedy ta właduje się na taras i zobaczy, jak wykorzystałem to tandetne dzieło sztuki z czterema wyszczerzonymi tygrysimi mordami w rogach.

Zestawiłem pusty talerz oraz resztę naczyń na podłogę i zdążyłem złapać róg obrusa, gdy Walentyna podeszła do drzwi – słyszałem każdy jej krok, zwłaszcza w nocy. Zdążyłem otworzyć książkę.

– Kola – powiedziała cicho – jesteś zajęty?

– Pracuję – uciałem. – Śpij.

Prawdopodobnie przysnąłem potem za stołem, ponieważ ocknąłem się nagle od ciszy – to deszcz się skończył. I było bardzo spokojnie, tylko szurały kroki Walentyny za drzwiami. „Jak ona mnie nienawidzi!” – pomyślałem prawie spokojnie. Wielka ćma obijała się o szybę werandy. Bezszelestnie podszedłem do tapczanu, położyłem się i nie zgasiwszy światła, od razu usnąłem.

Obudziłem się całkiem wcześnie, chociaż Raisa już zagadywała do swoich drogocennych kur pod samą werandą. Był słoneczny i wietrzny poranek, poskrzypywały pnie sosen, a w kącie werandy brzęczały osy. Nie od razu zrozumiałem, dlaczego spałem niczym na dworcu. Przez kilka pierwszych sekund byłem we wspaniałym nastroju, ale po chwili zaczęły powracać myśli i słowa z wczorajszego wieczoru. Spuściłem nogi z tapczanu – nie chciałem, żeby ktokolwiek mnie zobaczył. W pokoju było cicho, zajrzałem do środka. Rodzina spała. Tyle, że Koska robił to w beztroski sposób, a Walentyna – zwinawszy się w kłębek i schowawszy głowę pod kołdrę. Nawet we śnie unikała mojego wzroku.

Wziąłem ręcznik oraz szczotkę do zębów i zszedłem do sadu, do umywalki wiszącej na pnie sosny. Gdy się myłem, Raisa zakradła się po cichu za moimi plecami i wyszczała:

– Tak słodko śpicie, gołąbeczki, że bez mleka zostanieie.

Nie wita się, to i ja nie będę. Ale w jej zjadliwej frazie był zdrowy sens. Dwa domy dalej żyła babka Ksenia, od której braliśmy mleko. Nie mówiąc ani słowa złapałam z tarasu bańkę i ruszyłem do furki. Szedłem i dziwiłem się sam sobie: byłem całkiem spokojny. I nie mogłem długo zrozumieć przyczyny mojego spokoju. I dopiero gdy wracałem, zrozumiałem, w czym rzecz: okazało się, że gdy spałem, podjąłem decyzję. Jakbym rozwiązał we śnie zadanie, którego nie mogłem rozwiązać od dobrych kilku dni. Dziś porozmawiam z Walentyną. I powiem jej wszystko. W ten sposób można odkładać rozmowę

przez lata. Są rodziny, w których ktoś także odkłada taką rozmowę. Rok odkłada, dwa lata, pięć, a potem jest już za późno.

Walentyna już się podniosła. Podzwaniała naczyniami w kuchni i, usłyszawszy jak wchodzę po schodach na werandę, krzyknęła stamtąd:

– Zuch! O mleku pomyślałeś!

Rozszyfrowanie tych słów nie sprawiło mi żadnych trudności. Oznaczały, że Raisa poinformowała ją, iż bez jej przypomnienia zostawiłbym dziecko bez mleka.

Początkowo chciałem powiedzieć o rozwodzie przy śniadaniu i nawet wymyślałem pierwsze słowa, ale przestraszyłem się, że Walentyna przyjmie moje słowa z całkowitą obojętnością – świetnie to potrafiła – i powie tylko: „Proszę bardzo”. Chciałem, żeby poczuła to, co czuję ja, choćby w małym ułamku. I starałem się trzymać przy śniadaniu w normie i kiedy Walentyna opowiadała mi, jak Koska urwał głowę laleczce, uśmiechałem się posłusznie.

– Najadłeś się? – spytała Walentyna dopijając kawę.

– Oczywiście – odpowiedziałem i sięgnąłem po „Korozję metali”. Dawała mi do zrozumienia, że przejadam więcej niż zarabiam. Poza tym w każdej chwili mogła zapytać, czy dobrze spędziłem noc. „Korozja metali” była mi potrzebna w roli parawanu. Musiałem mieć czas na zorientowanie się, kiedy rozpocząć rozmowę.

– Kola – powiedziała Walentyna. – Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Tylko się nie gniewaj.

Serce mi zamarło. Do głowy mi nie przyszło, że Walentyna może mnie uprzedzić. Czyżby znalazła sobie nowego księcia? Może z pomocą Raisy Pawłowny, usłużnej starszej koleżanki? Dlaczego nie zacząłem tej rozmowy przed śniadaniem!

– Słucham – powiedziałem obojętnie. Wydawało mi się, że włosy mi się ruszają od miotających się w głowie myśli.

– Obiecałam Raisie Pawłownie – powiedziała Walentyna – zrobić jedną rzecz. Wiele jej zawdzięczamy... no, w ogóle, rozumiesz...

Niczego nie rozumiałem. Skuliłem się niczym pies w oczekiwaniu na uderzenie. Co ma do tego Raisa?

– Wiesz, że ciężko jej się schylać, a chce wynająć komórkę. Gdyby wybić w niej okno, zrobiłby się z niej niezły pokój.

– No to niech wynajmuje – odparłem automatycznie. To był jakiś kolejny spisek, ale, dopóki go nie rozgryzę, lepiej się nie sprzeciwiać. – Zaraz i strych wynajmie. I pustą psią bude.

– Raisa prosiła, żeby wyciągnąć z komórki stare gazety i papiery profesora, poza tym są tam dwie skrzynie i jeszcze jakieś rupiecie. Pokazywała mi.

Mógłbym powiedzieć, że powinienem popracować. Mógłbym powiedzieć nawet, że mam prawo choć jeden dzień w tygodniu odpocząć. Ale straciłem głowę. Przygotowywałem się przecież do innej rozmowy.

– Jak sobie życzysz – powiedziałem.

– No to wspaniale.

W komórce śmierdziało kocimi sikami. Przez maleńkie okienko pod sufitem wbijał się promyk słońca, w którym dostojnie unosił się kurz. Papiery związane były w paczki, sterty gazet wznosiły się w kątach i na pudłach.

Z tyłu pojawiła się Raisa i powiedziała, choć nikt jej nie prosił:

– Wszystko co wartościowe oddałam. Przyjeżdżali z instytutu. Oddałam nieodpłatnie.

Spodobało jej się ostatnie słowo, i powtórzyła:

– Nieodpłatnie.

– Za niektóre książki nieźle by zapłacili w antykwariacie – powiedziałem.

Nie załapała ironii i od razu zgodziła się, jakby sama tego żałowała:

– Była tu masa książek, niektóre z nich stare i cenne. Profesor miał zdumiewającą bibliotekę.

Walentyna założyła plastikowy fartuch i chustę. Weszła pierwsza do komórki, i promień światła zapłonął w jej włosach. Dlaczego nam się nie udało? Dlaczego ktoś inny miał podziwiać jej włosy?

– Papiery i gazety układajcie przy kuchni – upomniała Raisa.

Walentyna nie odpowiedziała. Widocznie została o tym poinformowana wcześniej.

– Już się dogadałam z handlarzem starzyzną. Przyjedzie po makulaturę wywrotką – oznajmiła Raisa.

Nie wątpiły, że stracę sobotę na brudną robotę. Moja zgoda była czystą formalnością.

Walentyna pochyliła się i przekazała mi pierwszą paczkę gazet. Odniosłem je do sadu i położyłem na ziemię. Gazety były niemieckie, zdaje się, że „Przegląd Biofizyczny” sprzed dziesięciu lat. Pomyślałem, jak szybko człowiek znika z życia. Jak szybko wszystko odchodzi w niepamięć. Te gazety stały na półkach obok książek i człowiek nazwiskiem Kozarin, którego nigdy w życiu nie widziałem nawet na fotografii, podchodził do tych półek, a zawartość owych gazet odcisnęła ślad w jego mózgu. Otworzyłem jedną z nich na chybił trafił i zobaczyłem na marginesach wykrzykniki, a niektóre linijki były podkreślone. Istniała trwała zwrotna więź między życiem Kozarina a życiem tych artykułów. I zapewne te gazety, jak i wielkie stopy papieru zapisane przez samego Kozarina straciły drogę do ludzi, jak tylko zabrakło samego profesora. Oto za chwilę przyjedzie handlarz starzyzną i zabierze je, żeby potem zostały przemielone i żeby wydrukowano na czystym papierze nowe gazety, z których każda przyczepi się do jakiegoś człowieka, zrośnie z nim i najpewniej razem z nim umrze. Trzy lata temu na tej daczy istniał zamknięty świat, budowany przez Kozarina przez długie lata. Teraz z Walentyną doczyszczaliśmy pozostałości po nim, żeby nowy świat, świat Raisy, maleńki światek bez wyrazu w pełni tu zatriumfował. I pomyślałem, że koniecznie, kiedy będę w Lenince, zajrzę do katalogu, żeby dowiedzieć się, co napisał, co wymyślił sam Kozarin, czy istnieje jakaś nić, którą tu urywamy i która powinna ciągnąć się do innych miejsc i innych czasów...

– Kola – zawołała Walentyna, czym ściągnęła mnie na ziemię, na której po mnie nie zostanie zapewne żaden ślad. – Gdzie przepadłeś?

Raisa kręciła się po kuchni, wyglądało, że tylko po to, by patrzeć, czy aby przy okazji nie ukradnę kilograma albo dwóch makulatury. Spytałem, przechodząc obok niej:

– A od czego specjalistą był Kozarin?

– Był profesorem – odpowiedziała prostodusznie.

– Profesorowie różni bywają. Chemicy, fizycy, historycy.

– No, pewnie fizyk – powiedziała Raisa, nie uwierzyłem jej jednak. Po prostu słowo „fizyk” brzmiało w jej przekonaniu szczególnie poważnie.

Walentyna wyciągnęła już z komórki kilka paczek i pozostało mi tylko przenieść je przez kuchnię. Kątem oka spoglądałem na Raisę i zdawało mi się, że ta porusza ustami, podliczając liczbę paczek, żeby później wniesć nikomu nie potrzebną liczbę do księgi rozrachunkowej.

Pracowaliśmy w ten sposób przez jakąś godzinę. Raz musiałem zrobić przerwę, aby pobiec do Koski, ale on w ogóle tego ranka zachowywał się bardzo szlachetnie, jakby przeczuwał nadejście rozstrzygającej chwili i starał się stanąć na wysokości zadania.

Walentyna wymiotła kurz i zabraliśmy się za skrzynie. Oczywiście, Raisa przebrała je już pobieżnie, a potem wrzucała tam jak leci wszystko, co jej zdaniem nie przedstawiało komercyjnej albo gospodarczej wartości. W skrzyniach leżały pokotem stare, dziurawe buty, potłuczone filiżanki, jakieś łachy, książki bez początku i końca, ale przede wszystkim – masa skrawków przewodów, drutów, nakrętek, wkrętów, pudełek z diodami, kawałków płytek drukowanych i – co już budziło największe zdziwienie – dwa



dokładnie wykonane modele ludzkiego mózgu, pomazane, a nawet z powbijanymi tu i ówdzie szpilkami.

– Profesor miał hobby – powiedziałem. – Tylko nie wiadomo jakie.

Raisa, która wszystko słyszała, od razu odezwała się z kuchni:

– Nie wyobrażacie sobie, w jakim stanie wszystko zastałam. Dacza była absolutnie nie przystosowana do mieszkania. Słoiki, butelki i druciki. Było jeszcze mnóstwo innych przyrządów, ale tamci, z instytutu, zabrali je ze sobą. Cały samochód.

Wtedy się bałaś, nie byłaś pewna swych praw. Oczywiście, cała dacza w spadku. Teraz tak łatwo byś tego nie oddała. Ale głośno swojego zdania nie wyraziłem.

Wyciągaliśmy barachło na ulicę, dopóki skrzynie nie stały się wystarczająco lekkie, potem przetaszczyliśmy je przez kuchnię. Na zewnątrz piętrzyła się już góra makulatury i wyglądało to żałośnie – w komórce nie dało się tego odczuć w ten sposób. Później wywlokłem z komórki ostatnie worki i pudełka, Walentyna wzięła mokrą szmatkę, żeby zetrzeć kurze, a ja zostałem w sady, ponieważ zapragnąłem nagle porozmyślać o marności ludzkiego żywota. Ale nic z tego nie wyszło, bo rozmyślania na zawołanie mi nie wychodzą. Zamiast tego przypominałem sobie, że nadchodzi decydująca chwila, a ja prawie o tym zapomniałem, ponieważ nie chciałem o tym pamiętać i przez tę godzinę lub dwie, póki czyściliśmy komórkę Augiasza, Walentyna roztropnie ani razu nie przypominała mi o smutnej rzeczywistości.

Wyciągnąłem ze stosu rupieci grubą obręcz z występami, przypominającymi zęby korony i pomyślałem, że wcześniej, znalazłszy takie cudo, obowiązkowo wymyśliłbym coś wesołego i koronowałbym Walentynę jako carycę Tamarę. Teraz ona takich żartów nie zrozumie. No cóż, mogłem koronować się samemu jako króla durniów i niedorajdów!

Wróciłem na taras, tam, gdzie chciałem rozpocząć rozmowę. I zapewne tymi samymi słowami, którymi zaczęła niedawno Wala: „Mam ci coś ważnego do powiedzenia”. Nienawidzę takich rozmów. Nie prowadzą do niczego dobrego. Ale na nic dobrego nie liczyłem. Zaraz wejdzie Walentyna.

Przestraszyłem się, że wejdzie i wtedy pojawiła się pomocna myśl – trzeba się umyć. Rzuciłem obręcz na tapczan i długo pluskałem się pod cienką strużką z wiszącej na sośnie zielonej umywalki. Później zobaczyłem, że do umywalki zmierza Walentyna z ręcznikiem w ręku i wróciłem na taras. No, powiedziałem sobie, już czas. Wszystko zdarzyło się właśnie dlatego, że zbyt długo dałem sobą pomiatać. Dosyć tego.

Usłyszałem, jak skrzypią stopnie pod nogami Walentyny. Nie wiedziałem, co zrobić z rękami. Złapałem za obręcz. Walentyna podeszła bliżej, zrobiłem krok do tyłu.

– Co tam masz? – zapytała.

„A co, jeśli Raisa usłyszy? – pomyślałem. – Nie można mówić przy Raisie”. To była wspaniała wymówka, żeby przeciągnąć rozmowę, ale, jak na złość, Raisa przemknęła obok tarasu i skierowała się do furki. Z pewnością szła popędzić handlarza starzyzną. Odstąpić nie było gdzie.

– Co to? – powtórzyła Walentyna.

– Korona carycy Tamary – powiedziałem. – Albo króla Salomona. Wszystko jedno.

I włożyłem obręcz na swoją głowę, i mój język już zaczął wymawiać przygotowane i dokładnie przećwiczone od rana słowa:

– Wala, mam ci coś ważnego do powiedzenia...

I w tym momencie zamilkłem. Nie słyszałem, co odpowiedziała Walentyna, ponieważ zniknąłem. To było dziwne, krótkotrwałe uczucie zniknięcia. Pozostały mi odczucia, były we mnie obrazy i myśli, ale wszystko to nie miało ze mną żadnego związku. Opisanie tego nie jest możliwe, i jestem pewien, że niczego podobnego nie odczuwał żaden człowiek. Za wyjątkiem, zapewne, Kozarina.

Analizowałem potem te swoje niezwykle doznania. W mózgu człowieka znajdują się miliardy

komórek nerwowych, każda ma swoje sprawy i swoje zadania. I zapewne wśród nich jest ileś tam takich, które niczego nie robią, tylko czekają na chwilę, w której mózgowi przyjdzie zetknąć się z na tyle nowymi wrażeniami, że zwykłe robocze komórki nie mogą im sprostać. I one, niczym ratownicy, rzucają się z odsieczą, chwytając i odrzucając rozliczne możliwości, przebierając warianty, dopóki nie znajdą tego jedyne, prawidłowego wyjścia, które można ogłosić pozostałym komórkom. Jeśli nie tak było, to dlaczego po pierwszych mgnieniach paniki mój mózg zorientował się, co się ze mną stało?

Zobaczyłem, dowiedziałem się, usłyszałem – nazwijcie to jak chcecie – co dzieje się w głowie Walentyny. Jeśli myślicie, że przeczytałem jej myśli, to nie macie do końca racji. Myśli nie czytałem. Po prostu znalazłem się wewnątrz Wali i to, co w opisie zajmuje wiele zdań, znalazło się w moim posiadaniu w jednej chwili...

Był strach, ponieważ Nikolaaj, który od wieczora denerwował się, nie mógł znaleźć sobie miejsca, w końcu zdecydował się na coś strasznego, czego później nie da się naprawić. I jego słowa o poważnej rozmowie i to, jak drżą jego ręce, kiedy nakłada na siebie tę obręcz... Powie, obowiązkowo powinien powiedzieć, że tak dłużej żyć się nie da, że odejdzie. Oczywiście, na swój sposób ma rację, ponieważ od samego początku było jasne, że będzie nieszczęśliwy. Przecież, jak dziecko, nie może wciąż patrzeć w przyszłość. I wtedy nie zdołał, a raczej nie zechciał. Kiedy wydarzyła się ta rozmowa z ojcem i stało się jasne, że rodzice ich nie aprobują, to wtedy trzeba było odejść od niego, wyjechać, zwerbować się na jakąś budowę. I Kola nie miałby problemów, takich strasznych problemów. Jakże on wytrzymał przez te wszystkie miesiące! A przecież jeszcze się uczył – schudł i zszarpał sobie nerwy. Jak śmiała zawiesić na szyi ukochanego człowieka taki ciężar – siebie i Koskę. Oj, gdyby tak choć ciut-ciut poczekał, przecież jesienią umieściliby Koskę w żłobku, a ona by poszła do pracy. Ale za późno. Ponieważ miłość Koli umarła i to nie teraz, ale jeszcze wiosną albo zimą. Oto ręce, zwyczajne ręce, nawet niezbyt silne, ale można na nie patrzeć godzinami, znać każdą zmarszczkę na dłoni i marzyć o tym, aby pochylić się ku nim i złożyć na nich głowę. Ale nie można, gdyż miała poczucie winy wobec niego: nie starczyło sił, by zrezygnować ze szczęścia. A całe życie wtedy składało się z małych i wielkich cudów. Było cudem pójście z nim do kina i świadomość, że w bufecie kupi iryski „Zabawa” i będzie dawać jej po jednym i za każdym razem jego ręka będzie zatrzymywała się na jej dłoni. Było cudem biec do sąsiedniego pokoju w akademiku i za obietnicę usług w przyszłości wyprosić czarną sukienkę od Swietki, ponieważ Kola kupił bilety na francuskiego śpiewaka i potem siedzieć w kolejce do fryzjera i spoglądać na zegar, gdy czasu pozostawało coraz mniej i wyglądało na to, że się spóźni, choć Kola niczego nie powie. I był główny cud, o którym nawet nie można opowiedzieć nikomu w akademiku, bo jeszcze się rozplynie. Dlaczego nie zdołała na czas uratować Koli przed samą sobą? Przecież jest dumny, nie mógł uchylić się od raz danego słowa. A ona jest kobietą. A kobieta jest zawsze starsza od mężczyzny, jeśli tylko i mężczyzna i kobieta nie mają po dwadzieścia lat. Jego starzy nie polubili jej. Gdyby była inna – studentka, moskwiczanka, to może byłoby inaczej. Potrzebował zresztą innej. Jak głupio było teraz wspominać, że starała się przypodobać jego ojcu i myślała okna, choć ją o to nie prosili, i wszystko to było bez sensu, i tylko budziło irytację! I widziała, że irytuje, ale nie mogła nic na to poradzić...

A potem Kola stracił wszystko. Wyszło, niczym strumień w czasie suszy. Pozostał dług. Kola ma sumienie. Powinien dawno odejść. Będzie Kostce pomagać, bo jest dobry. Jakże zmęczyła się tego lata! Nie tylko fizycznie, to nie było najważniejsze. Zmęczyła się trzymaniem zawsze w garści, powstrzymaniem przed wybuchnięciem, nie dopraszaniem się o miłość, której nie można dać. Jakże uraziła go wczoraj, kiedy powiedziała, że trzeba kupić buty, a płaszcz może poczekać! Nie powinna była tego mówić, ale wyrwało jej się. W rzeczy samej nie potrzebowała płaszcza, przecież ma stary. Kola powinien być dobrze, pięknie ubrany. Przecież bywa w gościnie u przyjaciół, zachodzi do swoich

rodziców. I nikt nie powinien wiedzieć, że ma trudności z pieniędzmi, że dacza zeżarła wszystko na dwa miesiące do przodu. Dobrze chociaż, że udało się przekonać ciotkę, żeby Kola nie dowiedział się, ile dacza naprawdę kosztuje. A sto brakujących rubli jakoś wyskrobała. Kola na razie nie zauważył, że sprzedawała buty i zieloną bluzkę. To nic. Nie ma dla kogo się stroić. A jeszcze zawsze strach ją nachodzi, że Kola może pomyśleć, iż robi mu wyrzuty za zbyt małe zarobki. Może tak pomyśleć z dumy. I co z tego, że nie ma jeszcze specjalizacji? Przecież wkrótce pójdzie do pracy, a wtedy i studia skończy, to wszystko takie bzdury, choć zbyt późno, by o tym myśleć. On tak dużo pracuje i robi. Przecież wie, że z nikim nie pije i prawie wszystkich przyjaciół stracił. Wczoraj pracował do północy. A ją tak ząb bolał, że mało nie umarła, a aspiryna była na tarasie. Był rozdrażniony, zmęczony, lepiej pocierpieć. Z pewnością wcześniej nie pomyślałaby o tym w ten sposób – co za głupstwa: wejść i wziąć tabletkę, ale już od dawna jakby wisiała nad przepaścią, słabną rękę, a w dole płynie rzeka. Ząb bolał, chodziła po pokoju na palcach, na Kostika patrzyła, na maleńkiego Kolę i tak bardzo chciała, żeby Kola wszedł i położył jej ręce na ramionach. Chociaż wiedziała, że nie wejdzie. Próbowwała robić na drutach. Nienawidziła tej robótki, ale trzeba jakoś zarabiać, pomagać Koli. Raisa zamówiła dla swojej znajomej sukienkę. Raisa taka interesowna, że jak nic z dwudziestu rubli za robotę piątkę za wysiłek dla siebie zabrała. Ale z nią wszystko było proste. To zły człowiek, nie udaje dobrego. Można z nią mówić wprost. Kiedy poprosiła o uporządkowanie komórki, trzeba było jej wprost powiedzieć, że nie za darmo. Dogadały się, że będzie można korzystać z truskawek i z innych jagód z jej ogrodu. Dla Kostika rzecz jasna. I bardzo niezręcznie było iść z tym do Koli. Nad ranem wstawiała, pocałowała go w policzek, a on we śnie się nachmurzył. Jest już całkiem przeciwko niej nastawiony, całe jego ciało się buntuje. I o tym też starała się myśleć jak najmniej, ponieważ do ostatniej chwili, dopóki Kola nie powiedział o poważnej rozmowie, miała nadzieję dociągnąć do jesieni, jakby to była granica ratunku, brzeg, do którego trzeba dopłynąć. A przecież sama rozumiała, że się oszukuje. Jakby nie składał odłamków, filizanka z nich nie wyjdzie. A kiedy w komórce pracował, wydało jej się, że jego niechęć do niej minęła na chwilę. Aż śpiewać jej się zachciało. I znów się oszukiwała. A może zabrać Kostika i wyjechać, a potem przysłać list: „Zawszę będę cię, mój drogi, kochała, ale nie chcę być ciężarem”. Przecież sobie poradzi. A teraz już za późno. Sam ją wygoni. I będzie miał rację. Mój biedny Kostia, mój uparty dzidzius. Co się z nim stanie...?

Zrozumiałem później, że wszystko to trwało mgnienie oka, no, może góra dwie-trzy sekundy, ponieważ Wala zauważyła, że się chwieję, że wyłączyłem się, i doskoczyła do mnie, a ja upadłem. Obręcz potoczyła się na dywan.

Od razu przyszedłem do siebie, i oczy Walentyny były blisko, tak się przestraszyła, że nie była w stanie niczego powiedzieć głośno. Jej usta drżały. To literackie wyrażenie, i wcześniej nigdy nie widziałem, żeby ludziom naprawdę drżały usta. W głowie mi się kręciło, ale mimo to usiadłem na podłodze, potem wstałem, opierając się o jej rękę. Miała delikatną i silną rękę. Trzymałem ją za palce i pomyślałem, że jej palce są szorstkie od ciągłego prania.

– Nic szczególnego – powiedziałem. – Już przeszło. Słowo honoru.

– Jesteś przemęczony, proszę, posiedź.

Ze strachu o mnie zatraciła zdolność panowania nad sobą, gotowa była zalać się łzami i przycisnąć się do mnie. I chociaż nie znałem już jej myśli i nigdy w życiu nie założę więcej tej obręczy (jutro zawiozę ją do instytutu), wciąż je odczytywałem. I przestraszyłem się, że zapłacze, że załamie się tak po prostu, od razu, a do tego dopuścić nie można – na najbliższe pięćdziesiąt lat mam jasny plan: ani razu nie dopuścić, aby to głupie dziecko rozbeczało się. Niech beczą inne. I wtedy przyszła mi do głowy wredna myśl, zdarza mi się to, jeśli jest mi dobrze i mam wspaniałą nastrój. Powiedziałem, nie wypuszczając jej palców:

– Mówiłem, że muszę z tobą poważnie porozmawiać.

Palce, które szorstkimi poduszczkami ostrożnie dotykały do mojej dłoni, od razu osłabły, życie je opuściło.

– Tak – powiedziała dziecinnym głosem.

– Czy w czwartek przyjedzie twoja ciotka?

Przypatrywałem się Walentynie, jakbym dopiero wczoraj ją poznał. Nie odważyła się podnieść wzroku.

– Obiecała.

– Spróbujmy namówić ją do zostania na nocleg. A ja wezmę bilety na koncert. Albo do kina. Tysiąc lat nigdzie razem nie byliśmy.

– Lepiej do kina – powiedziała, nim zdążyła się zorientować, co powiedziałem.

A potem nagle rzuciła się na mnie, rozpaczliwie wczepiła się w rękawy koszuli, przycisnęła nos do mojej piersi, jakby chciała skryć się we mnie, i zalała się łzami.

Głaskałem ją po ramionach, włosach, i mamrotałem całkiem bez związku:

– No co ty, no przestań... Zaraz Raisa przyjdzie... Nie trzeba...

*Przełożył Paweł Laudański*

# DWUSETNY JUBILEUSZ

Uroczysta data – dwóchsetlecie Eksperymentu. Nic podobnego nie wydarzyło się jeszcze w historii Ziemi. Sama długość poraża wyobraźnię. Twórcy Eksperymentu wydają się być mieszkańcami niebios.

W rzeczywistości wciąż trwają – w postaci portretów w auli.

Darwin. Mendel. Pawłow. Sosnora. Jacobson. Sato.

Trzech pierwszych zmarło nie podejrzewając, że rozpocznie się Eksperyment. Trzech ostatnich nie dożyło do jego rezultatów.

Znudziło mnie przedświąteczne zamieszanie. Poszedłem do biblioteki.

Marusia namawiała odkurzacza – najbardziej drogocenne urządzenie w instytucie – by zajął się półkami z książkami. Wyobraziłem sobie, ile wzbije się kurzu, jeśli odkurzacza się zgodzi. Na szczęście odkurzacza się nie zgadzał. Próbował wytłumaczyć Marusi, że jego usługi są znacznie istotniejsze w instytutowym muzeum, do którego wkrótce przybędą goście.

Marusia zauważyła mnie i zapytała:

– że niby mam tam iść?

Sądziła zapewne, że dla jej pięknych oczu zacznę się wspinać na biblioteczne drabinki.

Wyszedłem, zabierając odkurzacza.

W ogrodzie także nie było się gdzie schować. Zgodnie z osobliwym poleceniem kierownika działu gospodarczego, Skrysznika, przekopywano tam klomby, na których tylko co przekwitły tulipany, by utworzyć jeden klomb w kształcie cyfry 200.

Poszedłem na plac zabaw. Dzieci nie było – postawiono nowe ogrodzenie. Siłowe, niewidzialne, nowoczesne. Można sobie tylko wyobrazić, jakie kompleksy będzie wyrabiać w maluchach, które nieuchronnie będą natykać się na niewidoczną ścianę. Zaczną się nerwice, ataki hysterii, wszyscy będą szukać przyczyny psychicznych traum u młodych homoszymków, dopóki jakiś przenikliwy aspirant nie domyśli się, że wszystkim winne są niewidzialne ogrodzenia.

Maluchy dokazywały na brzegu stawu. Pogłębiarka przestała już wzburzać wodę, boki były pomalowane. Usiadłem w cieniu jaworu, który według legendy został posadzony przez samego akademika Sosnorę, i zacząłem obserwować dzieciarnię. Maluchy z piskiem biegały wzdłuż brzegu, a wychowawcy dreptali za nimi: byli przekonani, że któryś na pewno wpadnie do zimnej wody i dostanie zapalenia płuc.

Po wyglądzie maluchów bez trudu określałem linie genetyczne.

Żyjący ponad wiek temu samiec, Stark, o jasnej, krótkiej sierści, homozygotyczny w tej dominującej alleli, zapewnił sobie przewagę na wiele pokoleń w przód. Pamiętacie ścięte podbródki i obwisłe nosy Habsburgów? Widać to na portretach, niezależnie od upiększających starań malarzy.

Ujarczmy przyrodę, a ta znajduje sposoby, by na to nie pozwolić.

Eksperyment był pozornie skromny, jednak pełen ludzkiej próżności: my, wszechmocni, bierzemy stado szympanów, mobilizujemy mechanizm ukierunkowanych mutacji, wyprowadzamy proces ewolucyjny ze ślepej uliczki, przyspieszamy go kilka tysięcy razy i obserwujemy – czy możemy sobie pozwolić, wykorzystując prawa przyrody, na stworzenie sobie braci w rozumie.

Ci, którzy planowali Eksperyment i przepychali go przez akademickie i finansowe instytucje, wiedzieli, że sami nie dożyją jego rezultatów. Choć zapewne każdy z nich uważał, że wydarzy się cud i za

trzydzieści lat urodzi się mutant, który nauczy się tabliczki mnożenia.

Jakimś cudem znalazłem w bibliotece czasopismo sprzed dwustu lat z dziarskim artykułem o tym, jak wyszukiwali w ogrodach zoologicznych i instytutach najmądrzejsze, najbardziej inteligentne i rozwinięte szympany i umieszczali je w specjalnie dla nich przygotowanych kompleksach, będących czymś pośrednim pomiędzy ogrodem zoologicznym, instytutem genetycznym i internatem dla niedorozwiniętych umysłowo. Brak kredytów i sprzętu na początkowym etapie rekompensowany był entuzjazmem. Niewielu zdawało sobie sprawę z faktu, że Eksperyment powinien mieć priorytet nad innymi działaniami ludzkości. Jednak na czele instytutu stał Sosnora, który postanowił przeprowadzać swoje genetyczne doświadczenia na krowach i zwiększać ich laktację do niewiarygodnego poziomu. Przy pomocy tych bezmózgich stworzeń, które tradycyjnie także teraz pasły się za stawem, udowodnił dochodowość przedsięwzięcia.

Dyrektorzy przychodzili i odchodzili, pracownicy naukowci otrzymywali pensje, bronili doktoratów, odchodzili na emeryturę – ogólnie rzecz biorąc robili mniej więcej to samo, co ich koledzy w innych instytutach. Niekiedy zmieniały się genetyczne koncepcje, pojawiały się nowe teorie bądź odradzały zapomniane. Nagle wybijał się neolamarkizm, potem triumfował postdarwinizm, a po krótkim panowaniu jackobsonizmu zwyciężał superdarwinizm.

I każdy ze zwrotów teorii odbijał się na traktowaniu stada szympanów. Najbardziej obiecujące osobniki nagle popadały w niełaskę i były przekazywane ogrodowi zoologicznemu lub instytutowi medycznemu; osiągnięcia zmieniały się w porażki, by po kilku latach stawać się wielkimi odkryciami – i wszystkie te zmiany najboleśniej odczuwały szympany. Nie tak dawno miał miejsce przypadek, gdy do ogrodu zoologicznego oddano Siennę-4, niezwykle uzdolnioną matematycznie samicę. A powód był prosty: jej szef – człowiek miły, utalentowany, choć niezbyt roztropny – pokłócił się z kierownikiem oddziału i odszedł z Eksperymentu. A oprócz niego nikt nie cieszył się zaufaniem Sienny-4...

Właśnie dlatego ja, uczestnik Eksperymentu, pozostaję w głębokiej, wewnętrznej opozycji do tego, co się u nas wyprawia. Dwieście lat ukierunkowanych mutacji, pomiarów środowiska występowania, doświadczeń farmaceutycznych i zajęć praktyczno-technicznych – a i tak nie osiągnęli stabilnych wyników. Mało tego, wciąż powiększa się przepaść pomiędzy homoszympanami a eksperymentatorami. O dziwo ludzie, którzy wymyślili Eksperyment, wpakowali w niego dwieście lat i masę środków, wewnętrznie nie są gotowi do tego, by odżegnać się od własnej wyjątkowości. Homoszympan pozostaje dla nich nie więcej niż szympansem. Obiektem badań, lecz nie partnerem pod względem rozumu...

Te moje raczej niewesołe rozmyślenia zostały przerwane przez pozbawioną talentu behawiorystkę o przezwisku Formuła.

– John! – krzywała, pędząc korytarzem. – Gdzie jesteś?

Gdy mnie zauważyła, zapytała:

– Nie widziałeś Johna? – nie czekała jednak na odpowiedź, machnęła ręką i pobiegła dalej. Nie znosiła mojej osoby.

John – stary homoszympan, z anatomicznego punktu widzenia wyrodek, niemal bezwłosy, o wydatnym czole i dość podstępny, cieszył się zaufaniem niektórych pracowników Eksperymentu. Ten niewielki zapas słów, który opanował, wydawał im się szczytem własnych dokonań. Kiedy przyjeżdżają ważni goście, przyprowadza się do nich Johna, który robi z siebie parodię człowieka: wkłada spodenki i czerwoną koszulkę, sprawia wrażenie, że podtrzymuje rozmowę, nie będąc niczym więcej niż papugą w towarzystwie zaciekawionych małąp.

Na co Formule w taki zwariowany dzień może przydać się John? Podszedłem do okna i zobaczyłem, jak kręci się wokół byłego klombu, powtarzając: „Gdzie jesteś, John? Johnny, jesteś mi potrzebny!”

John, który drzemał gdzieś w pobliżu, leniwie wyszedł z zarośli. Drapał się po olbrzymim brzuchu, który wyhodował na rzucanych mu ochłapach.

– Johnny! – uradowała się Formuła. – Przyjmij nowicjuszkę. Robisz to najlepiej. Błagam!

– Co dasz? – zapytał John, stworzenie pazerne i rozpieszczone.

– Przecież nigdy cię nie skrzywdziłam, Johnny.

– Dogadamy się – rzekł Johnny i poszedł za Formułą, pochylając się trochę bardziej niż to konieczne i dotykając ziemi pacami rąk. Tym razem był w szarych spodenkach i białej czapeczce zsuniętej na tył głowy tak, żeby można było podziwiać jego płaty czołowe.

Poszedłem za nimi.

Podeszli do lądowiska. Przy helikopterze transportowym mozolił się potężny chłop ze służby rezerwatów. Trzymał na łańcuchu młodą samicę szympansa, która była śmiertelnie wystraszona lotem i niecodzienną sytuacją.

Na widok atrakcyjnej samiczki chluba nauk genetycznych zmieniła się w samca szympansa. Dziewczyna bardzo mu się podobała. W mózgu Johnny’ego już zaświtała nadzieja na to, że otrzyma młodą nałożnicę. I zaczął udawać przed nią małpę – wydymał wargi, podskakiwał i uderzał się pięściami w pierś jak goryl. Ma się rozumieć jeszcze bardziej wystraszył samiczkę.

A dziewczyna rzeczywiście była bajecznie urodziwa. Jej mózg był na razie uśpiony; nikt zresztą nie miał zamiaru nasycać go rozumem. Była potrzebna wyłącznie dla przedłużenia gatunku, dla świeżego potoku genów.

– Nie strasz jej, Johnny – zaczęła błagać Formuła. – Wytłumacz jej, że będzie żyć w dobrych warunkach. Niech się uspokoi.

Zadziwiająca naiwność, charakterystyczna dla niektórych pracowników naukowych. Stworzywszy rasę homoszymków sądzą, że także zwykłe szympansy władają jakimś prymitywnym językiem i potrafią porozumiewać się z takimi, jak Johnny. A on, który nigdy nie znał języka swoich dzikich przodków, języka gestów i sapnięć, języka prymitywnego lecz uniwersalnego, musiał podtrzymać swój status. Nic mu nie wychodziło. Dziewczyna szczyrzyła zęby i próbowała ukryć się za nogami chłopiska ze służby rezerwatów, sądząc że zwykły człowiek jest mimo wszystko lepszy od nieznanego zwierzęcia w białej czapeczce.

Zdałem sobie sprawę, że sytuacja zabrnęła w ślepią uliczkę i ruszyłem w stronę dziewczyny, przekonany, że uda mi się uspokoić nieszczęsne stworzenie. I wszystko skończyło by się dobrze, gdyby nie ta przeklęta Formuła.

– Stój! – wrzasnęła. – John, zatrzymaj tego chuligana! Gdzie jest ten szlauch? – John nachmurzył się, udając obrońcę ludzkości, choć w duchu drżał przede mną wiedząc, co z nim zrobię, jeśli ośmieli się tknąć mnie choćby palcem.

Napotkałem ufne spojrzenie samiczki i uśmiechnąłem się do niej. Wiedziałem, że od tego momentu stała się moją pokorną niewolnicą. Niczego więcej nie potrzebowałem. Cicho furknąłem, żeby ją uspokoić, i grymasem dałem do zrozumienia, że nie ma się tu czego bać. Po czym, odprowadzany wrzaskami Formuły i groźnymi gestami wystraszonego, choć niczego nie rozumiejącego chłopiska, wskoczyłem na najbliższe drzewo, rozhuśtałem się na dolnej gałęzi i dałem susa na górę, czując na plecach zachwycone spojrzenie dziewczyny. Po drzewach rosnących wzdłuż udeptanej ścieżki dostałem się do sypialni.

Kilka homoszymków odpoczywało na łózkach, ktoś czytał, młodzież przeglądała taśmy wideo. Barry, urodzony stolarz, naprawiał taboret. Zbijaliśmy taborety w pracowni praktyczno-technicznej.

– Co się stało? – zapytała Jetta, stara, mądra homoszymka obdarzona świetną intuicją.

– Diabli by wzięli tę Formułę – odparłem. – Przywieźli precudną kruszynkę. Formuła zawołała Johnny’ego, a ten stary cap...

– Nie kończ, wszystko jasne – przerwał mi Barry i odłożył młotek. – Wiesz, dziś rano znów mnie

zaciągnęli na testy.

– I myślałeś o bananach?

– O brzoskwiniach też – zaśmiał się Barry. – Są rozczarowani.

– Oj, trudno – powiedziała Jetta. – Szczególnie boję się o młodzież. Wcześniej czy później na pewno nas przyłapią.

– A jaka jest alternatywa? – spytałem. – Wszystko ujawnić? Stać się obiektami sensacji, pozostając przy tym stworzeniami trzeciego sortu, mówiącymi makakami?

– Oby dzisiaj wszystko dobrze się skończyło – rzekł Barry.

– A dziś rano pytał mnie o ciebie doktor Wamp – odezwał się młody homoszymp, Terry. – Pytał, czy cię szanuję.

– I co odpowiedziałeś?

– Wiesz, że kiepsko mówię, wyjątkowo tępy ze mnie homoszymp; powiedziałem, że Lider jest silny.

Zabrałem Trzeciemu banana – uświadomiłem sobie, że strasznie zgłodniałem.

– A dziewczyna jest ładna? – zapytał Drugi.

– Nie twoja sprawa – uciałem. – W lesie znajdziesz sobie ładniejszą.

– Właśnie odbywa się narada – rzekł Barry. – Trzeba posłuchać.

– Ustalają, jak rozmieścić gości i urządzić bankiet – zauważyła Jetta.

– Może tam jednak pójść? – zapytał Barry.

– Pójdę sam – odparłem i wyszedłem przez okno. Po winnej latorośli wspiałem się na dach i przepęłznałem po nim pod okno sali obrad. Nasze tajne ścieżki zostały wypróbowane przez pokolenia homoszympów. Ustupujemy jeszcze ludziom pod względem intelektu, nie oduczyliśmy się jednak chodzenia po drzewach, skakania i, co najważniejsze, ukrywania myśli i poczynań: prawa lasu są w nas silniejsze, niż prawa miasta i dwieście lat to za mało, by krew i mięśnie zapomniały o przeszłości. Nie wiem, kto pierwszy przedostał się w tajemnicy pod okna sali posiedzeń, był to jednak genialny, nie boję się tego słowa, homoszymp, który zrozumiał, że jego rozum jest rozwinięty do takiego stopnia, że najwyższy czas zacząć ukrywać przed ludźmi to, co się w nas przebudziło.

Ludzie otoczyli nas aparaturą, która wywołuje strach i brak zaufania. Ludziom wydaje się, że każda iskra myśli i poruszenie uczuć natychmiast zostaną wychwycone przez urządzenia zapisujące i biofony. Popełnili błąd – próbowali stworzyć nas na swój obraz i podobieństwo. Jednak natura okazała się silniejsza. Zrozumieliśmy to wtedy, kiedy odkryliśmy, że ufając przyrządom, ludzie mają o nas fałszywe wyobrażenie. To wielkie odkrycie zostało dokonane, zanim pojawiłem się na świecie.

I od tej pory, jako niewolnicy ludzkiej aparatury i okrutnych eksperymentów, podczas których zmuszano nas do jedzenia, spania, myślenia, pracy, rozmnażania się tylko na widoku, pod kontrolą – przez cały ten czas uczyliśmy się skrytości. Nie jesteśmy ludźmi drugiego sortu, jesteśmy nową rasą, homoszympami!

Niewidoczny z sali posiedzeń, obserwowałem ludzi. Ja, królik doświadczalny, podczłowiek i nadmałpa, przygotowywałem spis przeciwko nim.

Rozmowa w sali dotyczyła mojej osoby. Przemawiała Formuła.

– Staje się nieznośny – szczebiotała. – Ma szkodliwy wpływ na inne osobniki.

Jak skrupulatnie unikają słowa „zwierzęta”, pomyślałem.

– Konkretniej – poprosił doktor Wamp. Był on dyrektorem lecznicy i sprzeciwiał się nadmiernie okrutnym eksperymentom. Leczył i miał do tego talent.

– Dostaliśmy dzisiaj nową samiczkę – powiedziała Formuła i przed moimi oczami pojawił się słodki wizerunek dziewczyny. – Poprosiłam Johna, by pomógł mi odprowadzić ją do izolatki.

– John nie wzbudza we mnie zaufania – rzekł Ojczulek, dyrektor instytutu.



– Jest niezwykle rozwiniętym stworzeniem – zaproponowała Formuła. – I często nam pomaga. Tym razem mu się to nie udało. Małpka była bardzo wystraszona. Tak czy inaczej byśmy sobie z nią poradzili, jednak wtedy z krzaków wyskakuje ten Lider i rzuca się na małpkę. Moim zdaniem chciał ją sponiewierać.

Formuła była bliska łez. Do diabła, pomyślałem, za jakiego potwora musi mnie uważać!

Nieoczekiwanie Formułę poparł kierownik działu gospodarczego, Skrypnik.

– Staje się dzikim zwierzęciem – rzekł opasły Skrypnik. – Wczoraj wspiął się na magazyn i porozrzucał połowę zapasów. Nie wyobrażam sobie, jak teraz wyprawimy bankiet. Wysłałem do miasta ekipę po dodatkowe produkty.

Operację w magazynie przeprowadziliśmy z Jettą i dwoma młodzieńcami. W początkowym okresie będziemy potrzebowali żywności – skondensowanego mleka, jakichś konserw. Kradzieży trzeba było dokonać pod pretekstem bandyckiej demolki, inaczej mogła wzbudzić podejrzania.

– Najwyższy czas oddać go do ZOO – powiedziała Formuła. – Nawet jeśli jest mutantem, to regresywnym. Niebezpiecznym dla Eksperymentu.

– A jakie jest pana zdanie, doktorze? – zapytał dyrektor.

– Wstrzymam się od wniosków. Według moich obserwacji Lider cieszy się w stadzie autorytetem.

– No właśnie, w stadzie, a my dążymy do stworzenia społeczności! – wykrzyknęła Formuła.

– A pan co o tym sądzi? – zwrócił się dyrektor do kierownika laboratorium, mojego głównego przeciwnika, którego sukcesywnie wodziliśmy za nos, wypierając z głowy wszelkie myśli, oprócz tych o jedzeniu.

– Niski stopień intelektu...

Dyrektor pograżył się w notatkach, wyciągał je z kieszeni i rozkładał na stole, mylił moje dane z danymi innych homoszympów i w rezultacie poplątał wszystko do tego stopnia, że dyrektor mu przerwał. Inni specjaliści byli jednogłośni: jestem niebezpiecznym zwierzęciem, mam zły wpływ na młodzież, trzeba się mnie pozbyć.

Z jednej strony przyjemnie było tego słuchać: Nabrałem ich śpiewająco. Z drugiej – każdemu rozsądnemu stworzeniu robi się przykro, gdy chcą je oddać do ogrodu zoologicznego.

– Podsumowując – rzekł dyrektor – przygotujmy Lidera do wywózki. Zadzwońcie do ogrodu zoologicznego w Suchumi, mają tam zapotrzebowanie. Sądzę, że jutro można go przewieźć. Teraz przechodzimy do innych problemów. Kiedy przylatuje osobowy helikopter z gośćmi?

– O siedemnastej trzydzieści – odparł Skrypnik. – Stoi na zapasowym lądowisku, duża maszyna.

Wiedziałem o tym helikopterze. Pozostali goście będą przylatywać w mniejszych. Małe helikoptery nie są nam potrzebne. Potrzebujemy właśnie tego.

No cóż, mogłem się zbierać. Dowiedziałem się dwóch ważnych rzeczy. Po pierwsze, czas nagli. Jeśli nie zrobimy dzisiaj tego, co zaplanowaliśmy, jutro mnie potajemnie, podle, zdradziecko przekażą do ZOO. Po drugie, niezbędny nam helikopter będzie od wpół do szóstej stać na zapasowym lądowisku. Zdziwiający fart: zapasowe lądowisko jest otoczone lasem, dostęp do helikoptera jest zakryty przez gęstą roślinność.

Zszedłem do ogrodu.

Z pewnym smutkiem patrzyłem na sadzawkę, na boisko, na pomieszczenia klasowe. Już nigdy nie zobaczę świata, w którym się wychowałem, stałem prawdziwym homoszympem i uświadomiłem swój obowiązek wobec plemienia. Wszystko na świecie ma swój kres, przypomniały mi się czyjeś słowa.

W sypialni na mnie czekali.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Helikopter przylatuje o siedemnastej trzydzieści. Będzie na zapasowym lądowisku.

O decyzji, by jutro oddać mnie do ZOO, nie wspominałem. Mogło to odrobinę podważyć mój autorytet. Pomyślał, że ratuję własną skórę.

Z góry obserwowaliśmy, jak zjeżdżają się goście. Spotkanie z homoszymkami zostało zaplanowane na jutro. Jedynie idiota Johnny pałętał się między przyjezdnymi, fotografował się z nimi, ścisnął im dłonie i opowiadał banały, które porażały gości swą głębią.

Jeszcze przed świtem, zachowując najwyższą ostrożność, przenieśliśmy część ładunku z leśnych skrytek w pobliże helikoptera. W wielkim lesie, na brzegach Kongo, nie zamierzaliśmy stać się dzikimi zwierzętami, i dlatego zabieraliśmy ze sobą dydaktyczne mikrofilmy dla dzieci i zapas kaset, jakieś urządzenia i instrumenty. W skrócie, rozpoczynały się wielkie przenosiny małego narodu.

Wieczorem w parku zapalono światła. Podjeżdżali nowi goście, pod jabłoniami Skrypnik ustawił długie stoły z przekąskami. Malców przed snem wyprowadzili do gości, zaśpiewały o choince. Goście się rozczulali.

Po kryjomu sprawdziłem, czy wszystkie zamki są zniszczone. Oby tylko nie wpadli na pomysł rozstawienia przy dużym helikopterze strażników.

Helikopter mi się podobał. Był rzeczywiście ogromny, na takim jeszcze nie latałem. Wiedzieliśmy jednak, jak funkcjonują te urządzenia. Zorientują się, kiedy będziemy już nad Afryką.

Księżyc był w nowiu, więc poruszaliśmy się swobodnie, prawie się nie kryjąc. Przy helikopterze nie było strażników.

Zapanowała cisza. Jedynie z okien hotelu donosiły się głosy i piosenki. Niech się bawią. Jutro czeka ich wielkie rozczarowanie. Nie będzie kogo oglądać. Chyba że Johnnny'ego.

– Słuchaj – zapytałem mądrej Jetty – bierzemy Johnnny'ego?

– A ty co o tym myślisz?

– Zostawiłbym go ludziom na pocieszenie.

– Zgadzam się. Z nami będzie nieszczęśliwy. Przyzwyczał się do komfortu.

Trzeci przyprowadził dzieci. Były rozespane i kapryśne.

Szybko wsadziliśmy je do helikoptera. Jetta przeliczyła homoszymki.

– Sześćdziesiąt cztery osobniki – rzekła z uśmiechem. Potrafiła naśladować Formułę.

– Wszyscy na miejscach? – zapytał Barry. Będzie naszym drugim pilotem.

– Stój – rzekłem. – O kimś zapomnieliśmy.

– O kim? – nie zrozumiała Jetta.

– O dziewczynie, którą dziś przywieźli. Naprawdę chcesz, żeby dostał ją Johnnny?

– W lesie znajdziesz lepszą narzeczoną – rzekł Trzeci. Tak na niego warknąłem, że żwawo wskoczył do helikoptera i zapewne będzie milczał do samej Afryki.

– Nie rób głupstw – poprosiła Jetta. – Wywołasz popłoch w całym instytucie.

– Nie – odparłem twardo. – Zaraz będę z powrotem.

Długimi susami pomknąłem do izolatki.

Jak na złość drzwi były zamknięte.

Podszedłem do okna. Było kuloodporne, nie do rozbicia. Z ciemności wpatrywała się we mnie para pięknych, olbrzymich oczu. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że przyszedłem po nią, nie wiedziała jednak, dlaczego. Rozpłaszczyła o szybę szerokie wargi. Głupie, miłe, bezmyślne stworzenie.

Jednym susem wskoczyłem na dach. Odkręcenie wentylacyjnej kratki zajęło mi minutę. Śpieszyłem się. Beze mnie mógł rozpocząć się bunt – często przecież tylko dzięki mojej żelaznej woli udawało się utrzymać ich w posłuszeństwie.

Krata odleciała w bok. I w tym momencie rozległ się dźwięk kroków. Ktoś szedł ścieżką.

Poczułem zapach Johnnny'ego. Tego jeszcze brakowało! Omal nie parsknąłem śmiechem –

romantyczna schadzka, rywal w mroku... Ten przygłup stukał w szybę, wołając dziewczynę.

Zalała mnie fala zazdrości. Co można było jednak zrobić? Wpadł mi do głowy niegłupi pomysł.

– Kto się tu wałęsa? – zapytałem basem, podrabiając głos Skrypnika. – Natychmiast wracać do snu!

Bo oddam do ZOO.

Johnny stchórzył i rejterował z pola walki. Jego zapach zniknął.

Teraz należało spieszyć się w dwójnasób: ktoś mógł mnie usłyszeć. Wcisnąłem się do otworu wentylacyjnego. Był ciasny. Zagwizdałem, wzywając dziewczynę. Zrozumiała.

Wyciągnąłem rękę w dół i poczułem jej delikatne, długie palce.

Pomogłem jej wyjść na dach. Całym swoim wyglądem, każdym ruchem mówiła: „Jesteś moim wybranym”.

„Ja cię jeszcze nauczę mówić” – pomyślałem.

Na pokładzie już wybuchła panika. Ja zniknąłem, rozkazów nie było. Jetta z trudem przytrzymywała całą moją armię wewnątrz. Barry rzucił się na mnie z wyrzutami. Przekazałem mu dziewczę i szybko podszedłem do fotela pilota.

– Uwaga! – powiedziałem – Wszyscy zajmują miejsca. Matki niech trzymają dzieci. Czekają na nas lasy Afryki. Czeka na nas wolność!

Przez szybę rzuciłem pożegnalne spojrzenie na instytut. W niektórych oknach jeszcze paliło się światło. Stary budynek, zbudowany wedle mody dwudziestego wieku, ciemną bryłą górował nad drzewami.

Wybrałem kod – wiedziałem, jak to zrobić. Zaświeciła się mapa wschodniej półkuli. Znalazłem na niej Kongo. Dotknąłem wybranego punktu. Włączyłem start.

Helikopter szybko wzniósł się w górę.

Światła na Ziemi zmniejszyły się i bladły. Przebiliśmy się przez rzadkie obłoki. Helikopter przechylał się, wchodząc na kurs.

Patrzyłem na mapę przed sobą. Cienka, zielona linia – nasza trasa – zaczęła zakręcać na południe.

Nieoczekiwanie poczułem dotknięcie.

Odwrociłem się. Moja ukochana stała obok. Uśmiechnąłem się do niej i zwróciłem do Barry’ego, który siedział w sąsiednim fotelu.

– Jesteśmy bezpieczni – rzekłem do niego. – Nie dogonią nas.

– Mogą wystartować z Sycylii.

– Wątpię – odparłem. – Do tej pory się nie zorientowali. I zanim domyślą się, dokąd zmierzamy...

W tym momencie złowieszczo i nieoczekiwanie zabłysnął ekran łączności. W pierwszym odruchu chciałem się schować i schyliłem głowę. Jęknął siedzący obok Barry.

Szybko uświadomiłem sobie jednak, że ukrywanie się nie ma sensu. Jeśli nas wywołują, najlepiej zmierzyć się z niebezpieczeństwem twarzą w twarz.

Na ekranie był dyrektor instytutu. Ojczulek był poważny.

– Liderze – rzekł. – Wiem, że tam jesteś.

– Jestem – odparłem, wyprostowując się. – Możecie nas zestrzelić, zabić nas, nie uda wam się jednak nas zatrzymać.

– Może wolisz rozmawiać bez świadków, Liderze? – rzekł Ojczulek. – Poproś Barry’ego, żeby wyszedł.

– Zostaję – poprosił wierny Barry. – Nie boję się.

– Dyrektor ma rację – rzekłem. – Wyjdź. Masz długi, mały język.

Barry się obraził. Marudząc wygramolił się z fotela. Onieśmielona dziewczyna patrzyła to na mnie, to na dyrektora, który nie zwracał na nią uwagi. Wiedział, że niczego nie zrozumie.

– Czego chcecie? – zapytałem. – Jakie macie ultimatum?

– To nie ultimatum – rzekł dyrektor. – Jedynie informacja.

– Słucham. – Obleciał mnie paniczny strach. Miałem przeciwko sobie cały świat. Ja i sześćdziesięciu dziwolągów.

– Liderze, już od kilku lat zdajemy sobie sprawę, że urzędnicy nie zapewniają obiektywnego obrazu waszego stanu. Nie od razu zrozumieliśmy, że Eksperyment się udał. Udał się nawet bardziej, niż oczekiwaliśmy. I kiedy zrozumieliśmy, że zapędziliśmy braci w rozumie w ślepią uliczkę, zmusiliśmy was, byście zaczęli się ukrywać...

– Dawno to zrozumieliście?

– Dawno.

– Dlaczego także się ukrywaliście?

– Bo nie potrafiliśmy wypracować wspólnego stanowiska, bo nie wiedzieliśmy, jak kontynuować Eksperyment... To takie skomplikowane. Kiedyś usiądziemy z panem, Liderze, za wspólnym stołem i omówimy ten temat przy filiżance herbaty.

Uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy zwrócono się do homoszypa per „pan”.

– Proszę wybaczyć, Ojczulku – rzekłem stanowczo, ściskając dłoń dziewczyny – ale my nie wrócimy. Koniec z eksperymentami!

– Ależ ja nie mam nic przeciwko temu – odparł dyrektor. – Choć, szczerze mówiąc, żał mi się z wami rozstawać. Kiedy zacząłem pracę w instytucie, byłeś jeszcze niemowlakiem.

– Pamiętam – odparłem. – Jednak nie wrócimy.

– Lećcie, nikt was nie zatrzymuje. A, właśnie, w sekcji bagażowej znajduje się zapas żywności. Wzięliście ze sobą bardzo mało, a zanim się zaadaptujecie...

– Wiec o wszystkim wiedzieliście? – Zdałem sobie sprawę, że to cios. W moją ambicję, w moją próżność, w moją tajemnicę.

– Proszę się nie przejmować – rzekł dyrektor. – To nie umniejsza waszych zasług. Zrobiliście równie wiele, co cały instytut.

Mówił szczerze. My, homoszypy, mamy znacznie bardziej niż ludzie rozwiniętą intuicję. Wiele możemy ich nauczyć.

Dyrektor jakby czytał w moich myślach.

– Mam nadzieję, że możecie nas wiele nauczyć. By jednak do tego doszło, musimy się w odpowiednim czasie rozstać. Znaleźliście wyjście, którego my nie potrafiliśmy znaleźć.

– I zebranie, na którym podjęto decyzję o przeniesieniu mnie do ogrodu zoologicznego...

– Było po części inscenizowane. Od dawna wiemy, że podsłuchujecie wszystkie nasze narady.

– Formuła także? – Było to nie do zniesienia.

– Doktor Pimienowa o niczym nie wie – rzekł dyrektor z uśmiechem. – Za nic nie zgodziłaby się na wypuszczenie was do lasu, gdzie nie ma przegotowanej wody i latają komary.

– Jakoś to przełknie – odparłem. – Został z nią maleńki Johnny.

Usłyszałem z tyłu jakiś hałas. Odwróciłem się. W drzwiach zastygły przerażone twarze Jetty i Barry'ego.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Kontynuujemy lot.

Ekran łączności zgasł.

– To był dyrektor? – spytała Jetta. – Czego chciał?

– Zażądał, byśmy wrócili, jednak się nie zgodziłem. Kontynuujemy lot.

Na pysku Barry'ego malował się zachwyt. Pokonałem samego dyrektora. Jetta co prawda zmrużyła oczy. Ma wątpliwości. Zachowa je jednak dla siebie.

Pogłaskałem dziewczynę po głowie. Nie będę jej uczyć mówić, pomyślałem. Naszą rozmowę z dyrektorem trzeba utrzymać w tajemnicy. Prezydent pierwszego państwa homoszypów powinien być wolny od jakiegokolwiek podejrzeń.

*Przełożył Piotr Ogorzałek*

# MÓJ PIES, POŁKAN

---

## NIEWYKORZYSTANE WERSY (OD AUTORA)

Mam nadzieję, że należę do ostatniego w naszym kraju pokolenia pisarzy, którzy pisali „do szuflady”, to znaczy tworzyli wedle dwóch albo nawet trzech standardów: to przejdzie, to nie przejdzie, a tego w ogóle nikomu nie można pokazywać.

I jeśli zamierzałeś dalej funkcjonować w granicach Związku Radzieckiego, jeśli brakowało ci dysydenckiej odwagi, a twoje pióro przy tym od czasu do czasu samo zaczynało wprawiać się w pisanie zakazanych treści, trzeba było przygotować pudło albo szufladę w stole i tam w zamknięciu trzymać własne rękopisy. Zabijać je własnymi rękami, mając pewność, że zabijasz, ponieważ jeszcze dziesięć lat temu nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to państwo i ta przeklęta partia będą trwać w najlepsze: jednak podobnie jak przytłaczająca większość fantastów, ludzi o paranormalnych zdolnościach i jasnowidzów, nie mam daru przepowiadania przyszłości.

W roku 1969, kiedy nie miałem jeszcze nawet pięciu lat literackiego stażu, zostałem wciągnięty w sfalszowaną „Sprawę numizmatyków”. I czekałem na rewizję. Czasu miałem mało, jak sądziłem – kilka godzin (jak się okazało ponad dobę). Sądzicie, że zacząłem chować i niszczyć medale? Nic podobnego, niszczyłem, chowałem i rozdawałem przyjaciom przeróżnej maści „drugi obieg”, którego nazbierało się w moim domu. W tym własne opusy niedozwolonego charakteru. Podczas tej procedury moja pierwsza szuflada uległa niemal całkowitej zagładzie.

Po czym znów zaczęła się zapełniać.

Obecnie, mając na to czas i ochotę, dokonałem nowej autorewizji, jednak nie w celu ostatecznego wyplenienia staroci, a z czystej ciekawości. Przez dziesięciolecia po prostu zapomniałem, co się w szufladzie kryje.

Pod stołem i pod szafą znalazłem kilka zakurzonych teczek. Były nabite papierowym chłamem, który nie jest potrzebny, jednak nie wyrzuca się go, bo „może się kiedyś przydać”. Wśród pożółkłych recenzji, streszczeń, notatek, szkiców, rozpoczętych i zarzuconych książek znalazłem też kilka dzieł swego „nieizdatu”[\[1\]](#).

Niektóre z nich wydały mi się ciekawe. Na przykład nowela napisana pod koniec 1967 roku, z okazji pięćdziesięciolecia Października. Opowiedziane jest w niej, jak w Leningradzie (a taka idea faktycznie zaistniała) postanowiono w stylu teatralnego przedstawienia odtworzyć szturm Pałac Zimowy. Dla obrony wydzielony został kobiecy batalion składający się z pracowniczek Ermitażu. W decydującym momencie szturm, jako radzieckie patriotki, postanowiły one nie wpuścić do muzeum pijanych ormowców, z których składały się kolumny szturmowe, bo mogli oni zdemolować i rozgrabić państwowe mienie, a potem sponiewierać cześć i godność komsomołek z kobiecego batalionu. Jubileuszowe wydarzenie oczywiście spaliło na panewce, jak z resztą wszystko w naszym

kraju, między innymi dlatego, że dziewczynom udało się obronić Zimowy. I władzę radziecką trzeba było w ZSRR odwołać.

Oczywiście w roku 1967 na wydrukowanie tej noweli było za wcześnie, podobnie jak i noweli o zapomnianym obozie w tajdze, gdzie trzymany jest staruszek Beria i Czapajew, który w swoim czasie nie utonął. Jednak większość opowiadań okazała się obojętnymi ideologicznie i to nie tylko z dzisiejszego, ale też ówczesnego punktu widzenia. I wszystkie one albo zostały pokazane redaktorowi, który oznajmiał z wyrzutem: „Chyba zwariowałeś, przecież to aluzja!”, albo nie pokazane nikomu, gdyż tak zdecydował mój wewnętrzny cenzor.

Opowiadanie, które państwu prezentuję, zostało napisane w 1972 roku, kiedy związek pomiędzy czasami – ówczesnymi i stalinowskimi – był bardzo wyraźnie odczuwalny.

---

Nikt z dorosłych nie mógł o tym wiedzieć. Inaczej by nas nie puścili. Przecież wiele dzieciaków przez to ucierpiało. Kolkę Zwiagina w ogóle zabili. Przecież to nie są ludzie, lepiej im nie wpaść w łapy. Nawet nie robią znaku krzyża. Jednym słowem – miastowi.

Poszliśmy we trójkę. Edik Briuchoj – choć jest wysoki, dorosły, jednak jak mucha potrafi się wspinać po każdej ścianie. A poza tym to świr. I Swietka Geworkian. Tyle że Geworkian nie jest jej własnym nazwiskiem, tylko przybranym. A potem, kiedy Geworkiana też zabili, ona i tak przy nim została. Potrafi otworzyć każdy zamek. I w końcu ja. Wzięli mnie, bo lubią mnie zwierzęta. Każdy ma jakiś talent. Ja mam talent do zwierząt, bo je kocham.

Ci miastowi mieszkają daleko na tyłach. To przekłęci handlarze, nasza walka za szczęście ludzkości ich nie rusza. Żrą mięso i kury. Nawet za ochroniarzy mają Tatarów, sami nie chcą ryzykować. Głuchy opowiadał, że kiedyś w mieście było dużo ludzi. I same kanalie.

Niekiedy czuję zdziwienie i wstręt, jakim prawem żyją na tej planecie ludzie pozbawieni szlachetnych ideałów? Nie gotowi poświęcić życia, aby je osiągnąć. Ja zostałem tak wychowany od dzieciństwa. Jestem gotów poświęcić życie dla szczęścia ludzkości. A czym oni mogą się pochwalić?

Poszliśmy wieczorem, podczas pełni, żeby lepiej widzieć drogę. Sznury, kagańce, całe wyposażenie wzięliśmy z klubu. Noże mieliśmy własne. Można powiedzieć, że mieliśmy szczęście. Ktoś zostawił w klubie właśnie tyle sznurów i innego ekwipunku, ile potrzebowaliśmy. I nie zamknął go na noc. Powiedziałem o tym Edikowi, a on mnie pacnął w tył głowy. A Swietka Geworkian, która była od Edika młodsza, zaczęła się śmiać. Edik też ją trzepnął, bo trzeba było działać w absolutnej ciszy i tajemnicy, inaczej zobaczy nas ktoś z dorosłych, a potem dostaniemy lanie na placu. Uważaliśmy jednak, że nie tylko dorośli, lecz także my, dzieciaki, mamy szlachetne ideały. I dlatego poszliśmy.

Dotarliśmy do końca osady. Tu trzeba było zachować szczególną ostrożność; dopóki będziemy przechodzić przez bramę, zrobioną dawno temu i dotychczas nie wykrytą przez straż graniczną, mogą nas bez trudu zauważyć, a wtedy – nawet strach pomyśleć, co z nami zrobią!

Znów jednak mieliśmy fart. Przy bramie nikogo nie było i była przy tym uchylona.

Staliśmy i patrzyliśmy, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście.

– Chodźmy – odezwał się w końcu Edik.

– A gdzie straż graniczna? – spytałem głupim tonem.

– Straż graniczna w prefekturze bawi się na ślubie – odparła Geworkian. – Zaprosili ich, więc się bawią.

– Wiedziałaś o tym wcześniej? – spytałem.

– Nie, wcześniej nie wiedziałam, przecież bym powiedziała.

Nie podobała mi się ta otwarta brama. Bramę trzeba ochraniać. Już od przedszkola nas uczyli – granica musi być zamknięta na cztery spusty! A tu nagle – poszli na wesele i wzięli ze sobą kłódkę.

Zacząłem się wsłuchiwać – z oddali niosła się muzyka. I chyba śpiewali.

Pierwszy poszedł Edik. Tak jak trzeba, był najstarszy. Potem Swietłanka. Ja ostatni, jako najmłodszy. Asekurowałem tyły.

Miałem wrażenie, czułem to przez skórę, że jesteśmy obserwowani. Od strony stróżówki albo z okopu. I zaraz wpakują nam kulę w tyłek... I może wtedy puściły mi nerwy. Krzyknąłem – sam nie wiem, jak to się stało – jednak krzyknąłem:

– Padnij!

A sam nie padłem. Pobiegłem przed siebie. I pozostali też pobiegli. A za nami rozległy się strzały. Tak jakby oni siedzieli w zasadzce, czekali, co zrobimy, a dopiero potem się zorientowali.

Dobiegliśmy do czeremchy.

Smugowe kule leciały wysoko nad naszymi głowami. Zaszyliśmy się w głębi zarośli i przyczailiśmy się, czekając, aż skończy się strzelanina. Strzały jednak nie milkły – z drugiej strony także odpowiedzieli. Zaszczekała broń maszynowa. Edik obrzucał mnie przekleństwami. Nie rozumiałem tylko, za co.

– Oni i tak nas obserwowali – mówiłem. – Gdybyśmy nie pobiegli, wystrzelaliby nas jak kaczkę. A myśmy pobiegli i oni nie zdążyli.

– Czemu uważasz, że chcieli strzelać? – zapytała Swietka. – A może wcale nie chcieli. – Zwinęła się w kłębek, na kolana naciągnęła płótno na worki, wystawał tylko haczykowany nos.

– Nie opowiadaj głupstw – zasyczał Edik. – Jasne, że chcieli, powinniśmy tylko jeszcze trochę przejść, a dopiero potem pobiec. Taki chciałem dać rozkaz.

– To szkoda, że nie dałeś.

Leżeliśmy na ziemi, była zimna. Trawa dopiero kiełkowała, a liście na krzewach czeremchy były małe i zielone, jak pluskwy-mutanty. Kiedy pojawią się kwiaty, z obu stron nocami będą tu przypelzać ich amatorzy. Bo chociaż życie jest parszywe, tak czy siak znajdą się tacy, którzy chcą mieć kwiaty i są gotowi za nie płacić, a niektórzy przynoszą je swoim kobietom. Tylko wielu w trakcie takich operacji zginęło. Bo polowali na nich snajperzy z obu stron. Czasami śmiesznie wychodziło: chłop nazrywał bukiet, pełźnie do swoich, uśmiecha się zadowolony. I wtedy go nasz snajper akurat ustrzeli. Tamten skręca się z bólu na ziemi niczyjej, a kwiaty są mu już niepotrzebne. Taka to filozofia, jak mawiał mój sąsiad, Rauchenbach, starszy śmieciarz.

Nadciągnęły chmury, zakrywając księżyc, który był już wysoko. Musieliśmy trzymać się prawej strony – prosta droga była całkowicie odsłonięta i na celowniku. Korzystano z niej jedynie wtedy, gdy przybywały oficjalne delegacje albo karawany handlowe. Z przepustkami. A kto będzie ochraniał nas? Zastrzelą i zostawią rozkładające się ciała.

Zeszliśmy do parowu, gdzieniegdzie pod nogami skrzypiały zardzewiałe puszki po konserwach i gałęzie, czasem szeleścił nawet papier – jednak z wszystkiego wartościowego to śmietnisko zostało już dawno wyczyszczone. Można było nawet nie patrzeć pod nogi.

Miastowi też wiedzieli o tym parowie, rzadko tu jednak przychodzili z uwagi na wysoką radioaktywność. Albo ze śmietnika, albo jakiś odłamek trafił tu podczas wojny Krymskiej, kiedy Ukraińcy szturmowali krymski wał i zrzucili tam sami wiecie co. Szybko jednak przebiegliśmy – jeśli biec szybko, radioaktywność nie zdąży się przykleić.

Tam dalej, przed samym ich płotem, było niewielkie jezioro – albo duża kałuża, nazywaj, jak chcesz. Nie powinniśmy jednak do niej wchodzić – woda jest w niej skażona. Wpadł tu jeden chłopak z naszej



klasy, po pas, odwiedzałem go potem w szpitalu – skóry nie było widać zza bąbli, ucięli mu nogi, a on i tak umarł. Ci miastowi o kałuży wiedzą, jak można nie wiedzieć, i odgradzili się od niej betonowymi płytami wysokimi na trzy piętra. I tak przejawiał się nasz spryt. Trzeba było przejść po samym brzegu kałuży, a potem wspiąć się na mur z betonowych bloków – nikt go akurat nie ochraniał. Obliczyliśmy wszystko prawidłowo – przecież deszcze nie padały już od miesiąca – poziom wody w kałuży obniżył się o metr, można chodzić dookoła do woli. A ci miastowi faktycznie są tępi – co im szkodzi przez mur popatrzeć – wolą siedzieć w ciepłe i dłużyć w nosie.

Przebiegliśmy, schyleni, wokół kałuży. Koszmarnie od niej śmierdziało.

Edik miał linę ze sobą – wspiął się na mur, na górze zamocował linę i zniknął. Podsadziłem Swietkę, po czym sam ruszyłem za nią.

Na szczycie muru zatrzymałem się – zaryzykowałem. Zawsze ciekawiło mnie patrzenie na inne kraje. Nawet w ciemnościach.

Miastowi wszystkiego mają więcej, niż my – i to jest największa niesprawiedliwość. Mają nawet domy, stare, przedwojenne, w których można mieszkać. Niczego nie muszą budować. I mają więcej ludzi – wszystkiego te kanale mają więcej! Rozumiecie, jak źle się dzieje, kiedy jeden ma wszystko – mieszkanie i chleb, a oni jeszcze znęcają się nad zwierzętami, a obok my – głodni, do szkoły nie ma w czym chodzić, ale znosimy to i wierzymy w świetlaną przyszłość. Nie to, co niektórzy.

Patrzyłem z góry przed siebie i w świetle księżyca widziałem w oddali drzewa, płoty, drogi i prawdziwe, kamienne domy. Gdzieś w oknach paliło się światło – mogli nocą palić światło! A my musimy organizować lotne brygady oszczędności, by ujawniać tych, którzy palą światło – zabierać im świece i lampy, bo światło jest bardziej potrzebne w szkole i w szpitalu.

– Ej – szeptem krzyknął z tyłu Edik. – Chcesz tu wszystkich zwabić? Co się tak wychylasz?

Nie próbowałem mu tego tłumaczyć, bo Edik nie jest zbyt interesującym człowiekiem. Fizycznie jest rozwinięty, jednak umysłowo ma przed sobą jeszcze sporo rozwoju.

Zeskoczyłem z muru. Swietka siedziała na ziemi, tarła nogę. Jej czarne, twarde, poskręcane włosy błyszcząły w świetle księżyca.

– Nie skręciłaś? – spytałem.

– Nie – odparła. – Tylko się uderzyłam.

– Jeszcze się zastanów – powiedział Edik. – Możemy cię przerzucić z powrotem. Potem będzie za późno.

– W porządku – odparła Swietka. – Dam radę.

Swietka jest człowiekiem uświadomionym; prawdziwa zwiadowczyni. Jeśli postanowiła zostać, to znaczy, że nie zawiedzie.

Poszliśmy w stronę ich miasta, przebiegając od drzewa do drzewa, zamierając przed odcinkami wolnej przestrzeni, bojąc się okrzyków sowy i chowając się za węglami ruin. W samą porę usłyszeliśmy, jak idzie patrol straży granicznej, i padliśmy na ziemię. Nie zauważyli nas.

Obserwowanie ich wzbudzało we mnie strach i obrzydzenie. Jak bym patrzył na karaluchy. To my, biedni, ubieramy się kto w co może, a oni, straż graniczna, mają identyczne, zielone mundury, już bardziej wściec się nie można, i jeszcze czerwone gwiazdy na czapkach. Gdybym tego sam tyle razy nie widział, za nic bym nie uwierzył. Oto z kim my, młodzi zwiadowcy, będziemy walczyć!

Swietka przyczaiła się, jak myszka, i miała przyspieszony oddech. Inna nigdy by się na coś takiego nie zdecydowała. A ona poszła. Wczoraj siedzieliśmy u nas na podwórzu, a Aleksander Mitrofanowicz wspominał, jak sam jeszcze dwadzieścia lat temu chodził na takie wypadki. I właśnie on nam podpowiedział: „Gdybym teraz poszedł, na pewno wziąłbym Swietkę, młodą Ormiankę. Ma śrubokręty zamiast rąk – każdy zamek otworzy paznokciem – fenomen natury”. Aleksander Mitrofanowicz

powiedział nam, że za jego czasów takie wyprawy, jak sam to nazwał – najazdy na miastowych, także były surowo zabronione. Wszak dla naszych władz życie każdego człowieka to świętość. Nie na darmo uczyli nas w szkole, że, jak pisał Dostojewski, wszystkie wojenne zwycięstwa nie są warte jednej łzy dziecka. Ale przecież dorośli nie przedostaną się do samego centrum ich państwa i nie przenikną do fermy hodowlanej – jest przecież tak dobrze strzeżona! A my, chłopcy i dziewczyny, możemy. I chcemy przynieść pożytek dorosłym, swojej osadzie, swojemu małemu, demokratycznemu państwu, otoczonemu przez totalitarne reżimy. I jeśli możemy dokonać humanitarnej akcji, to jest to dobra tradycja. Teraz już nie pamiętam, jakie słowa mówił Aleksander Mitrofanowicz, a jakie – my. Czuliśmy, że jesteśmy z nim równi, chociaż on jest członkiem rady osady, wąsy zwisają mu niżej podbródka i jest przy tym naczelnikiem straży granicznej. Zdarzają się takie szczere rozmowy! W tajemnicy poradził nam iść w czasie drugiej zmiany strażników; powiedział, że wtedy straż graniczna nie jest tak czujna. Tak jakby sam do niej nie należał. Ale dobrze to rozumiałem: przecież z nami znów stał się dzieckiem, odważnym zwiadowcą...

Nie mogliśmy iść prosto do fermy. Nie dlatego, że się baliśmy, ale po drodze znajdowały się koszary ich strażników. Trzeba było obejść prawą stronę, przez zarośla, gdzie na ziemi błyszcząły zielone plamy – tam też była radioaktywność, jednak jaka i skąd się tam wzięła, nikt nie wiedział. Miastowi tam nie chodzili, a my – tylko podczas skrajnej konieczności. Ja tu jeszcze w ogóle nie byłem, tylko Edik twierdził, że chodził, ale zapomniał i szliśmy według odręcznie zrobionej mapy, gdzie trasa była naniesiona ołówkiem – narysował ją Aleksander Mitrofanowicz. Powiedział, żeby nie następować na zielone plamy – jednak ogólnie to nic strasznego, tam występuje tylko lokalne promieniowanie. Potem zobaczyliśmy zdechłe szczury. Wały się obok zielonej plamy. Być może zdechły z zupełnie innego powodu. Jednak my i tak pobiegliśmy szybciej, a Swietka zapytała:

– Nie kłuje cię w piersi?

– Jeszcze nie kłuje – odparłem ostrożnie.

– Następnym razem trzeba będzie wziąć kamizelki kuloodporne – powiedział Edik. On zawsze miał głupie pomysły.

– I garnek na głowę – dodała Swietka.

Po prawej zaczął się płot. Za płotem znajdowała się ich strefa przemysłowa. Kiedyś nasi komandosi poszli tu po części zapasowe. Jednak nie wrócili. A te bestie potem, za jakieś trzy dni, przerzucili do nas katapultą skrzynkę z ich głowami. Do takich potworności się posuwają!

Wzdłuż płotu szliśmy co najmniej piętnaście minut. Pomyślałem, że może nie trzeba było wybierać fermy – może lepiej dokonać jakiegoś innego wyczynu. Wyjątkowo dużo czasu zajmie nam droga powrotna...

Płot się skończył i musieliśmy przeciąć centralny plac. Pośrodku placu stał olbrzymi pomnik z metalu, a może kamienia – wyciągnięta ręka, a na postumencie napis „Lenin”. Brakuje tylko głowy. Odtłukli ją jeszcze podczas poprzedniej rewolucji. Wiele razy opowiadano mi o tym pomniku. Wiedziałem nawet, że miastowi dogadali się z kimś w Uzbekistanie – mają tam pasującą głowę i chcą ją wymienić na kapustę.

Przy pomniku stał strażnik z automatem. Nie można go wysadzić ani nawet zamalować. A tak byśmy chcieli. Jesteśmy z zasady przeciwni bożyszczom. To niedemokratyczne.

Nie mogliśmy oderwać oczu od pomnika – koszmarny widok, chociaż oni zapewne przywykli. Teraz musieliśmy iść w dół, na prawo, i dalej w dół... Przechodziliśmy bardzo blisko domu mieszkalnego.

– Szkoda, że nie wzięliśmy granatów – powiedział Edik.

– A gdzie byśmy rzucali? – spytała Swietka.

Edik się zatrzymał. Z góry zbrocza było widać, co dzieje się w pokojach, w których pali się światło.

W jednym widoczny był pomalowany na zielono parawan, na którym wisiał obraz. Był na nim chyba las. Czy coś podobnego. Może wodorosty. A przy oknie siedział mężczyzna, który trzymał w rękach książkę. I czytał. Widziałem już oczywiście książkę, ale u nas jest z nimi krucho. Jedną mamy w szkole i jeszcze dwie czy trzy po domach. W drugim oknie stali twarzą w twarz mężczyzna i kobieta. I rozmawiali. W trakcie rozmowy wciąż się do siebie zbliżali i w końcu zaczęli się obejmować.

– Zaraz w nich trzasnę kamieniem – powiedział Edik. – Wstyd i hańba!

– Chodźmy – powiedziała Swietka. – Może im się to podoba.

– Zaraz cię zwałę z nóg – powiedział Edik. – Zobaczymy, jak ci się spodoba.

– Nie jestem już dzieckiem – odgryzła się Swietka. – Już mnie zwałali i to nie tacy, jak ty. Mnie nie przestraszysz. Tylko ze mną uważaj, bo gdzie zwalisz, tam sam padniesz.

Nie wiedziałem, kłamie czy nie. Raczej mówiła prawdę – miała już trzynaście, prawie czternaście lat, tak jak ja. A ojca nie miała, więc kto miał jej bronić?

– Idziemy, idziemy – rzekł Edik. – Zaraz zrobi się widno. Mamy robotę. – Zeszliśmy za dom. Był jakiś taki nedorobiony. Z przodu zostały cztery piętra, a z tyłu – tylko dwa.

I wtedy usłyszeliśmy szczekanie.

Dochodziło z fermy.

Co prawda iść było ciężko – droga prowadziła przez wysypisko śmieci i ruiny, a księżyc, jak na złość, skrył się za chmurami. Rozharatałem kolano do krwi, a Swietka znów się uderzyła, Edik na nas powarkował. Podeszliśmy do fermy od strony rzeczki, od której śmierdziało amoniakiem. Ferma była otoczona drutem kolczastym, więc poszliśmy dookoła.

Szukaliśmy miejsca, w którym najłatwiej przejść.

Aleksander Mitrofanowicz opowiadał, że wcześniej góra siatki była pod napięciem. Teraz jednak mają problemy z elektrycznością, więc może prądu nie będzie.

– Poczekajcie – powiedział Edik. – I nigdzie się nie ruszajcie.

Pobiegł z powrotem, a my ze Swietką patrzyliśmy do środka. W fermie stały rzędy wolier, siedziały w nich psy. Wiele psów, może nawet sto. Mnie, normalnemu człowiekowi, trudno sobie nawet wyobrazić, że tyle psów można zebrać w jednym miejscu. Niektóre z nich szczekały, ale niechętnie, dopiero co obudzone. Nas nie czuły – na durniów nie trafiło, podchodziliśmy od zawietrznej.

– A gdzie strażnicy? – spytałem.

– Pewnie przy bramie. Wielu strażników nie potrzeba – odparła Swietka. – Po co? Psy są dobrymi strażnikami. Wystarczy wejść i zaraz zaczynają szczekać.

– Więc jak je weźmiemy?

– To już wasz problem, twój i Edika – odparła Swietka. – Moim zadaniem jest otworzyć. A ty, Igoriusza, radź sobie z nimi.

– W porządku – powiedziałem. Nie lubię, kiedy ktoś nazywa mnie Igoriuszą. Jak smarkacza. Teraz nazywają mnie Jegorem. Dobrze o tym wie, tylko się przekomarza.

Poza tym nieprzyjemnie mi było przypominać sobie jej słowa o tym, jak ją... no, zwałali! Stała przede mną, taka chudzieńka, burza czarnych loków, oczy błyszczą nawet w ciemności. Jest mi jej żal i jednocześnie mam ochotę zrobić z nią to, co inni. A ona mówi:

– A jednak takie z nich bestie, że strach pomyśleć.

Kiwnąłem głową. Nie odpowiedziałem. Kiedy wiadomo, że bestie, o czym tu jeszcze mówić. Może mam swoje wady, i Aleksander Mitrofanowicz, i Edik – wszyscy mają wady. Bywają ludzie lepsi i gorsi. Ale hodować psy specjalnie, żeby je potem zjadać – to tylko miastowi są w stanie. Czasem myślę o tym, że oni te stworzenia, które my nazywamy przyjaciółmi człowieka – przyjaciółmi, rozumiecie? – że oni je zarzynają, zabijają i jedzą, smażą, rozumiecie, na oleju słonecznikowym? Tylko za to gotów

jestem rozerwać ich gołymi rękami! I na wszystko się zgodzę, żeby uratować psy!

Jeden z psów zawył. Pomyślałem, że one też potrafią przewidzieć śmierć. Może poczuł, jak go jutro poprowadzą na ubój. Do oczu napłynęły mi nawet łzy.

Dał się słyszeć hałas. Odwróciłem się. Wracał Edik. Taszczył ze sobą potężny konar – najwyraźniej dawno upatrzył. Zuch chłopak z tego Edika, wyrośnie na prawdziwego organizatora. Wodza narodu. Może to on poprowadzi nas w świetlaną przyszłość. Przecież w końcu musi ona nastąpić!

Edik oparł konar o słup ogrodzenia, wyglądało solidnie. Po czym szybko, jest w tym mistrzem, wspiął się na górę, starając się nie zahaczyć o górny przewód; mógł być przecież pod napięciem.

Tam, na górze, zamarł na chwilę kręcąc głową i zastanawiając się, jak najlepiej zeskoczyć i co robić dalej. Patrzyliśmy na niego nie ruszając się. Nawet psy przestały hałasować, zamilkły, przyglądały mu się i czekały. Edik balansował na górze, nad naszymi głowami, konar skrzypiał. W końcu odepchnął się i skoczył. Chwyciłem za konar, który przesunął się w bok, i przytrzymałem go. Potem poszła Swietka, a ja wspiąłem się na końcu i było mi najtrudniej, bo nikt mnie już nie mógł ubezpieczać. Jednak wszystko poszło dobrze. Nawet jeśli przewód był pod napięciem i tak się o tym nie dowiedzieliśmy.

Potem ruszyliśmy w stronę wolier.

Nie podchodziliśmy za blisko, położyliśmy się na zimnej ziemi, żeby nie wystraszyć psów, bo gdyby zaczęły czekać, nie uda się ich uspokoić. Ale psy i tak głośno czekały i strażnik podszedł do wolier, żeby sprawdzić. Na pewno by nas zobaczył, jednak kiedy jego postać już pojawiła się przy końcu przejścia między wolierami, Swietka szepnęła:

– Do tyłu!

Okazało się, że zdążyła otworzyć pusty wolier, i daliśmy do niego nura.

Strażnik przeszedł całkiem blisko. To był staruszek, kulał – ci miastowi to kompletne głupki, że takiego stróża postawili przy tak ważnym obiekcie. Spojrzałem na Edika i zdałem sobie sprawę, że myśli dokładnie tak jak ja. Być może nasze zadanie okaże się łatwiejsze. I bez problemów wydostaniemy się z powrotem.

Strażnik odszedł, psy jeszcze trochę poszczeakały, a potem przyzwyczyały się i umilkły.

– Twoja kolej, Jegor – odezwał się Edik. – Idź i popatrz, które ze sobą weźmiemy.

Zwierzęta mnie lubią i zapewne zostaną głównym weterynarzem. Tak jakbym znał ich język. Wiem, że nie tylko pies i kot, ale nawet kura ma swój charakter, bywają nawet mądre karaluchy i głupie pająki. Wszystkie zwierzęta są jak ludzie. I czasem mogą mieć nawet ideały, jednak są to, wierzcie mi, ideały niewolników – ideały podporządkowania się, ideały posłuszeństwa. Nie mają jednak ideałów świadomej inicjatywy.

Swietka i Edik siedzieli w pustym wolierze, a ja poszedłem wzdłuż fermy pogwizdując i w ciemności przyglądając się psom. Wystarczało mi światło księżyca, żeby zobaczyć ich fizjonomie, zajrzeć w oczy i wyrobić sobie z nimi dobre relacje. Albo przeciwnie – wyczuć niechęć, wrogość, agresję.

Gołąbki i gołąbeczki, powtarzałem w myślach, ledwie poruszając wargami. Nawet się nie domyślcie, przed jakim strasznym losem was teraz ratuję, narażając nawet własne życie. Chciałybyście trafić do kotła, a może nawet na patelnię? Wicie, jak nóż rzeźnika wbija się w psie gardło? No i się teraz nie dowiecie. Co prawda wszystkich was nie uda nam się zabrać za granicę. Jednak wszystkie uwolnimy i możecie uciec, dokąd chcecie! Będziecie teraz mogły mieszkać w lesie, a nawet przedostać się do innego kraju. Niech żyją wolne psy całej Ziemi!

Przeszedłem wzdłuż wszystkich wolier. Na koniec spojrzałem na bramę. Siedział przy niej zgarbiony strażnik – mieliśmy wielkie szczęście, że był inwalidą. Siedział przy ognisku, było ono małe i najwyraźniej zupełnie nie dawało ciepła. Wróciłem do ekipy.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Daj smycze i obroże. – Smycze i obroże były zrobione

ze sznurów, chałupniczym sposobem, ale takie też się nadawały. Postanowiłem wziąć ze sobą tylko te psy, które wydały mi się sympatyczne i same okazały mi sympatię. Te przejdą z nami przez granicę. A zwykłe, głupie albo wrogo nastawione – niech uciekają, dokąd zechcą. Przynajmniej nie zakończą życia na patelni.

Szliśmy wzdłuż wolier. Swietka szybko otwierała drzwi, ja wchodziłem do środka i mówiłem do psa łagodnym tonem. Psy podchodziły do mnie i pozwalały sobie zakładać obroże – jakie mądre zwierzęta! Jak ja je szanuję!

Wzięliśmy cztery psy. Jednego, największego i najmądrzejszego, nazwałem go Połkanem, i jeszcze jedną białą, chudą i chytrą suczkę, Damulkę, poprowadzę ja. Swietka i Edik poprowadzą każde po jednym psie.

Te, które braлиśmy ze sobą do naszego szczęśliwego królestwa, wyprowadziliśmy z wolier. Potem, na komendę Edika, Swietka szybko przeszła wzdłuż fermy, otwierając drzwi. Psy, jakby czekały na ten moment, wyskakiwały z klatek i biegały po pomieszczeniu. Jednak prawie nie szczekały, wiedziały, że nie mogą zwracać na siebie uwagi.

Stałem z naszymi wybrańcami. Te także zachowywały się spokojnie, jakby wszystko z nami wcześniej uzgodniły.

A Edik poszedł do strażnika.

Strażnik już wyczuł, że coś jest nie tak. Wstał i patrzył w naszą stronę, przysłaniając oczy wierzchem dłoni, jakby dzięki temu lepiej widział. Zauważył, że po terenie fermy biegają psy, staruszek nie mógł jednak pojąć, co tu się dzieje.

– Hej! – krzyknął. – Jest tu ktoś obcy? – Część psów pobiegła w jego stronę.

Staruszek się wahał. Wyciągnął z kieszeni gwizdek, podniósł go do ust, jednak nie zagwizdał. Rozumiałem go – ten człowiek bał się ośmieszyć. Chciał się najpierw zorientować, co się stało.

I zgubił go właśnie ten brak zdecydowania.

Edik wyszedł do niego zza wolier. I siedł spokojnie, jakby wszystko było w porządku. A staruszek wciąż jeszcze nie gwizdał.

– Poczekaj – powiedział Edik. – Daj zapalić.

– Co? – zapytał staruszek. Edik był już bardzo blisko.

– Po ludzku cię pytam! – dodał Edik rozdrażnionym tonem. – Daj machorki!

– Jakiej machorki? Jak się tu dostałeś? Kim jesteś? – Staruszek zaczął podnosić broń, dziwnie ją jakoś podnosił, jakby chciał popchnąć Edika lufą, jednak Edik skoczył przed siebie i wbił staruszkowi nóż pod żebro. Ten zakaszłał, nie wiedzieć czemu zapłakał i zaczął powtarzać: „Za co? Za co, synku?”. Edik ciął go jeszcze raz – po szyi – Swietka się odwróciła, nie chciała patrzeć. Ja też nie chciałem patrzeć, ale to tchórzostwo nie patrzeć. Aleksander Mitrofanowicz zawsze nas uczył – nie odwracaj się, nawet jeśli jest to nieprzyjemne. Trzeba patrzeć prawdzie w twarz. Staruszek zamilkł, a Swietka poszła dalej wzdłuż wolier, otwierając je, psy wyczuły zapach krwi, niektóre warczały, a inne biegły do staruszka zlizując krew, której masa z niego wyciekła, aż dziw, jak dużo mieściło się w nim krwi.

Edik otworzył bramę i niektóre psy wybiegły na zewnątrz, jakby czekały, kiedy będzie można wydostać się na wolność. Połkan naciągnął sznur, Damulka skomlała. Zawyła syrena – najpewniej była połączona z bramą.

– Kończ, Swietka! – krzyknął Edik. – Zmywamy się!

Złapał jednego z psów. Swietka też wzięła psa i pobiegliśmy, nasza trójka i cztery psy.

– Hej! – krzyknąłem. Byłem w znakomitym nastroju. – Hej! Nie będziecie mieli psich kotletów, hycle przekłete!

Obok nas przebiegały psy, niektóre nie wiedziały, dokąd uciekać – pędziły przed siebie, a potem

wracały. Pomyślałem, że wiele dobrowolnie wróci na fermę, do swoich misek. Zrobiło mi się smutno. Starasz się, starasz, poświęcasz się dla innych, życie można rzec ryzykujesz, a niewolnicy zawsze biegną z powrotem do karmnika, wiecie, o co mi chodzi?

U góry, obok domów, tam, gdzie stał ich bezgłowy pomnik z wyciągniętą ręką, rozległy się krzyki, załśniły oczy latarek.

Pobiegliśmy, okrążając miasto, i od razu trafiliśmy w jakieś zarośla – nie mieliśmy jednak planu na powrót tą drogą. Nie dopracowaliśmy tego.

Zarośla były jakieś takie kolczaste, sucha trawa, gałęzie pod nogami, nogi się rozjeżdżały.

Psy zrywały się ze sznurów, nie podobało im się. Biegłem przez zarośla i przez cały czas namawiałem je, żeby wytrzymały – przecież prowadzimy je na wolność, muszą to zrozumieć! Z przodu przedzierał się przez zarośla Edik. Z tyłu, po moich śladach – Swietka.

– Stój! – krzyknąłem. – Przed nami jest światło!

I rzeczywiście – mignęła latarka, potem jeszcze jedna.

Skręciliśmy jeszcze niżej, jeszcze dalej od miasta.

Zaczynało się błoto, pod nogami chlupało, psy kompletnie się nie słuchały, dokądś się wyrywały, jednak nie z powrotem. I pomyślałem sobie – a może one wiedzą? Głupia myśl, skąd miały by wiedzieć, gdzie jest granica? Posłuchałem się ich jednak i pobiegłem jeszcze bardziej w prawo – nie mogłem się z resztą zatrzymać. Połkan był ode mnie silniejszy, a z Damulką – tym bardziej.

– Swietka! – krzyknąłem. – Za mną!

Nie widziałem, gdzie jest Edik. Wydawało mi się, że ci, którzy nas gonią, są już blisko, słyszałem, jak trzeszczą gałęzie.

I w tym momencie wybiegliśmy na mokrą drogę, koleiny pełne wody, ale droga była twarda – bez porównania z błotem, w którym grzęźliśmy do tej pory. Zatrzymałem się, żeby złapać oddech. I od razu usłyszałem oddech Swietki. Nie została w tyle. Zuch dziewczyna.

Staliśmy na drodze, a dalej, za nią, wznosiła się trzcina, z lekka kołysząc nad powierzchnią zimnej, świecącej wody. Woda miała niedobre, niebezpiecznie wyglądające zabarwienie. Połkan zawył i pociągnął mnie przed siebie. Ruszyliśmy za nim. Chciałem zawołać Edika, jednak Swietka się tego domyśliła i odradziła – powiedziała, że wyczuwa miastowych – są blisko, tylko nie podchodzą do drogi, bo wszystko jest tu skażone.

– A niech sobie będzie skażone – powiedziałem. – Lepiej zostać skażonym, niż czekać, aż cię zastrzelą.

Swietka się nie sprzeczała. Psy cicho wyły. Biegliśmy drogą, przed nami rozległy się okrzyki, a potem wystrzały. Zatrzymaliśmy się, nie wiedząc, dokąd dalej uciekać.

Naprzeciwno, po drodze, biegł truchtem pies ze sznurkiem na szyi – poznałem go, był to pies, którego dałem Edikowi. To znaczy, że go puścił. To znaczy, że ma kłopoty.

A może Edik wpadł? Bez niego trudno będzie uciec.

Dalej poszliśmy ze Swietką ostrożnie, powoli, psy ucichły, nie szarpały się, tylko ten, którego wcześniej wziął Edik, gdzieś zniknął.

Przeszliśmy co najmniej sto kroków, nie mniej. Na nasze szczęście znów się zachmurzyło i księżyc, który obniżył się już do wierzchołków drzew, przestał świecić. I kiedy przechodziliśmy obok spalonych ruin jakiejś budowli, usłyszałem głos Edika:

– Jegor, Igoriusza...

Swietka pierwsza pobiegła w stronę spalonych ruin, ciągnąc psa na smyczy. Pies się zapierał. Wtedy przejąłem smycz, a Swietka wyciągnęła Edika z ruin. Jest chuda, żyłasta, a Edik tylko sprawia wrażenie wysokiego, a w rzeczywistości jest kościsty, a kości ma obciążone skórą. Dlatego też pocisk, który trafił

go w kość ręki, poszedł rykoszetem. I nawet krwi było niewiele – nie było wiadomo, dlaczego się chował. Może stchórzył?

– Dlaczego puściłeś psa? – zapytałem. – Nie można ci niczego powierzyć.

– Omal nie zginąłem – odparł Edik. – Przecież jestem ranny.

– Nic się nie stało, idziemy – powiedziałem. Skoro był ranny i sam to przyznał, stawałem się najwyższym rangą. Nie da się tego wyjaśnić, to jak prawo. Wszyscy tego przestrzegają. Jeśli dowódca został ranny, dowodzi następny. Cała filozofia.

I Edik od razu się podporządkował. Poprosił tylko, żeby Swietka go opatrzyła. Szkoda mi było czasu – tym bardziej, że rana była powierzchowna, jednak Swietka się zgodziła, a ja trzymałem psy. Nad wodą ścielił się świecący gaz, kręciło się od niego w głowie. Trzeba jak najszybciej się stąd wydostać, nie wiadomo tylko dokąd. Z tył znów okrzyki, światła – pogoń. Biegna, jednak nie po drodze, a wyżej, po zboczu. Wiem dlaczego – to niebezpieczna strefa, tu nie wejdą miastowe cykory!

Wydostawaliśmy się stamtąd chyba ze trzy godziny i wyszliśmy daleko od betonowego muru. Jednak tam, przez otwartą przestrzeń, granicy się nie przejdzie. Dopełziliśmy więc do muru, położyliśmy się obok niego i próbowaliśmy odpocząć. Moje oczy całkowicie przywykły do ciemności, widziałem w niej jak kot. Swietce trafił się nerwowy pies, nie przestawał skomleć. Zamieniliśmy się więc, żeby Swietce było lżej – dałem jej Damulkę, a sam wziąłem Nerwową. Edikowi psa nie dawałem – jednego już stracił. On zresztą nie chciał brać, bo był ranny.

Siedzieliśmy pod betonowym murem i czekaliśmy, aż miastowi ostatecznie się uspokoją. A te kanalie za nic nie chciały się uspokoić. Jak widać ostro daliśmy im w kość, kiedy wypuściliśmy psy.

– Zostawiliśmy ich bez kotletów! – wyszeptałem i roześmiałem się.

Wzdłuż granicy migotały latarki, co jakiś czas przecinała niebo seria pocisków smugowych.

– Nie dojdę – powiedziała Swietka. – W ogóle nie mam już siły.

– Zaczyna świtać – zauważył Edik. – Może powinniśmy przeczekać gdzieś w zaroślach do następnej nocy?

– Głupiek z ciebie – odparłem. – Jak chcesz przesiedzieć? A psy?

– To może je wypuścimy? – Edik bardzo się bał. Przestał być dowódcą, przestał być nawet najstarszy.

– Jak możesz tak mówić? – spytała Swietka słabym głosem. – Tyle już przeszliśmy, uwolniliśmy zwierzęta, a te najlepsze, najmądrzejsze wziął z nami Jegoruszka. A ty chcesz je poświęcić na kotlety? Kompletnie nie wierzysz w ideały.

– Jestem wściekle głodny – odparł Edik. – A ty mi tu z ideałami.

Te słowa wręcz mnie zdumiały. Wcześniej Edik wypowiadał się zupełnie inaczej. Mówił, że zostanie demokratą.

– Już czas – powiedziałem. – Zdaje się, że lekko podniosła się mgła.

– Może poczekamy, aż zrobi się gęstsza? – spytała Swietka.

– Gęstsza już nie będzie.

– Wy idźcie – powiedział Edik – a ja tu przeczekaam. Jestem ranny.

– A to widzisz? – wyciągnąłem kosę i podetknąłem mu pod nos: Połkan zawarczał na Edika. Psy mnie czują i kochają.

Oczywiście, Edik poszedł. Tyle że kazałem mu iść na końcu, a on, kiedy tylko doszliśmy do jeziora, skąd trzeba było przebiec do zagajnika czeremchy, stchórzył i pobiegł pierwszy. Oczekiwałem tego, miałem jednak nadzieję, że aż tak ten chłopak nie stchórzy. A on pobiegł nie kryjąc się – trzeba było ostrożnie, czając się, a on pobiegł otwarcie. I dostrzegli go. I od razu zaczęli strzelać – jakby wiedzieli, że będziemy przechodzić przy sadzawce, przy betonowym murze.

Z naszej strony też padły strzały, a Edik krzyknął:

– Jestem od nas! Jesteśmy od nas, nie strzelajcie! – skakał jak konik polny.

– Biegnij! – krzyknąłem do Swietki. A sam nie miałem się nawet jak zatrzymać i sprawdzić, jak ona sobie poradzi – tak mocno ciągnęły mnie psy, wręcz wyły ze strachu – najwyraźniej nie chciały zostawać u poprzednich właścicieli. Nad ziemią ścieliła się mgła i wydawało się, że psy po niej płyną – nóg nie widać, wokół smugi pocisków, biegnę jak we śnie. Potem z tyłu krzyknęła Swietka. Chciałem zawrócić, jednak psy mi nie pozwoliły, a nie mogłem uwolnić rąk od sznurów – obie dłonie były nimi owinięte, żeby mocniej trzymać psy. Dlatego mnie odciągnęły.

Zacząłem krzyczeć:

– Stój, Edik! Edik, wracaj! Nie zostawiaj Swietki! Edik! – A on tylko przyspieszył.

I tak wpadliśmy na naszą stronę – tam już nasi stali, czekali. I Aleksander Mitrofanowicz z obwisłymi wąsami i dowódca zmiany. I wujek Pasza. I mama Swietki. Kiedy mama Swietki o wszystkim się dowiedziała, zaczęła się wyrywać, żeby iść szukać córki – może jeszcze żyje. Ale ją przytrzymali, żeby nie robiła głupstw. Zaczynało świtać – wyjście do strefy neutralnej było samobójstwem. Ja, kiedy tylko usiadłem na ziemi, dostałem dreszczy, a Edik jak gdyby nigdy nic, przyszedł do siebie i zaczął meldować, że złamaliśmy prawo i poszliśmy do miastowych, nie zrobiliśmy tego jednak z chuligańskich pobudek, lecz aby uwolnić czworonożne stworzenia. I on nami dowodził i jest gotowy wziąć na siebie odpowiedzialność. Wydawało mi się, że tak umiejętnie dementuję jego wersję i opowiadam, jak było naprawdę, jednak wtedy od razu zaprowadzili nas do piwnicy, bo mieliśmy zostać poddani karze za nielegalne przekroczenie granicy. Siedzieliśmy w piwnicy, a psy na razie przywiązali na zewnątrz. Damulka też przybiegła, widocznie Swietka ją puściła.

Jak mi potem opowiadali, mama Swietki wyrwała się jednak tego ranka, poszła szukać córki. I znalazła ją. Okazało się, że Swietka została ranna w nogę, a oni ją dogonili, zgwałcili, a potem udusili. Tacy to są ludzie – nie ma dla nich litości. Jest ich jednak wielu, więcej niż nas. A my zabraliśmy i wypuściliśmy ich psy. Zostawiliśmy ich bez kotletów.

Mama Swietki straciła potem rozum. Nie znam jej dalszych losów.

A nas oczywiście wypuścili. Już wtedy się domyśliłem, a czego się nie domyśliłem, Edik sam mi opowiedział: że całą naszą wyprawę od samego początku planował razem z Aleksandrem Mitrofanowiczem i wujkiem Paszą. I sznury były wcześniej przygotowane i nawet bramę otwarli – tylko ja, dureń, o tym nie wiedziałem. Przez to, jak wyjaśnił mi Edik, nasz postępek nie stał się gorszy, gdyż był szlachetny. I sami byliśmy szlachetni. Nie przystoi jednak, by wróg dowiedział się, że nasza rada pozwala wyprawiać się za granicę na grabieże.

Trochę tęskniłem za Swietką. Psy zostały u mnie. Edika widywałem rzadko, wzięli go do milicji, będzie teraz szychą. A mi dali pokój, moim psom także. Damulka i Nerwowa to najzwyczajniejsze psy, nic ciekawego. Nerwowa potem zdechła, a Damulkę zabrała żona pułkownika. Nawet się cieszyłem, bo Damulka była w ciąży, miała urodzić szczeniaki, a ja nie miałem czasu na krzątanie się przy nich. Minie wiele miesięcy, nim szceniak nauczy się rozumieć cię lepiej, niż ludzie.

A Połkan rozumiał mnie lepiej, niż ludzie.

Był moim przyjacielem. Niekiedy patrzyłem na jego silne nogi, na radośnie zadarty ogon, na roześmiane piwne oczy i cieszyłem się, że mój pies nie został skazany na poniżenie – nie pożarli go miastowi. Wojny z nimi już nie było. Rozpoczęły się ulewy. Najpierw zatrute, jadowite, potem radioaktywne – wielu chorowało, prawie nie wychodziliśmy z Połkanem na ulicę. Jakoś w tamte dni odwiedził mnie Edik, który uczy się w szkole milicyjnej, mieszka tam w internacie. Zupełnie wyłysiał i to w wieku szesnastu lat! I zrobił się żółty. Śmieje się jednak i mówi, że zostały mu jeszcze co najmniej dwa lata i przez te dwa lata zdąży miastowym krwi napsuć! Tyle, że niczego im nie napsuje, bo się boi. Boi



się miastowych i boi się umrzeć. Taki ma charakter.

Potem nastąpiła jesień. Często spacerowaliśmy z Połkanem. Wszystko rozumiał bez słów. Kiedy na przykład brałem patyk i rzucałem go, to Połkan biegł za nim dokładnie w linii prostej, zatrzymywał się i czekał, aż krzyknę: „Przynies z powrotem!”. Strasznie był śmieszny, kiedy spał razem ze mną na podściółce, ogrzewał mnie, miał wspaniałą sierść. Na początku września przychodziła moja mama, dostała pozwolenie, by przyszywać mojego Połkana. Ten dziwił się, dlaczego go strzygą. A mama potem zrobiła mi sweter z jego sierści. I Połkan bez przerwy wachał ten sweter i nie rozumiał, chociaż taki mądry, że teraz na dobrą sprawę jesteśmy jedną istotą. I jeszcze szóstego sierpnia poszedłem się kąpać, zanurkowałem i noga utknęła mi w zwoju drutu, tak, że nie mogłem się uwolnić. Nie mam pojęcia, jak mnie Połkan wyciągnął! Zdarł skórę z nogi, ale wyciągnął. Człowiek by czegoś takiego nie dokonał. A on mnie kochał. Tak jak i ja go kochałem. Zrobiło się już zimno, zaczęły się deszcze, a my z Połkanem nauczyliśmy się nosić ciężki plecak – tłumaczyłam mu, że zimą pójdziemy z nim na wyprawę – bardzo daleko, za las, gdzie nie ma co jeść. A Połkan się uśmiechał.

Siódmego września obudziła mnie wizyta Aleksandra Mitrofanowicza. Pies go znał i nie warczał, leżał obok mnie, wyciągnięty równolegle – i był dłuższy, niż ja.

– Aleście od lata wyrosli! – powiedział Aleksander Mitrofanowicz. Jego uśmiech był jakiś taki dziecięcy, pełen zaufania. Połkan uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Całkiem już urósł – powiedziałem.

– Mam do was prośbę, chłopcy – rzekł Aleksander Mitrofanowicz. – pomożecie mi?

– Pomożemy, Połkan? – spytałem, zrywając się na nogi. Połkan szczechnął łagodnie. Zgadzał się.

– Musisz przyznać – rzekł Aleksander Mitrofanowicz – że uratowaliśmy cię od losu znacznie gorszego, niż śmierć. I sami ryzykowaliśmy przy tym życie.

Połkan słuchał, przechylając głowę na bok. Wszystko rozumiał.

– I na pewno zrozumiałeś, że w odróżnieniu od miastowych, kierujemy się w życiu szlachetnymi ideałami – kontynuował Aleksander Mitrofanowicz i zaczął pociągać za wąsy, jakby je doił.

Wydawało mi się, że Połkan kiwnął głową. Przytuliłem policzek do jego ciepłej, kosmatej głowy.

– On wszystko rozumie – roześmiałem się. – Wiele razy z nim o tym rozmawialiśmy.

– Prawdziwe z was zuchy – powiedział Aleksander Mitrofanowicz. – Może zjemy śniadanie i wyjdziemy?

Po godzinie byliśmy już przy tej granicy naszego państwa, za którą rozpościera się Była Ziemia.

Było to mroczne, opustoszałe pole, które ciągnęło się w dal, ku szkieletom zabudowań, a nawet niskim budynkom, które zachowały się od czasów wojny. Były oddalone o ponad kilometr.

Początkowo wiodła ku nim szeroka wydeptana droga. Stopniowo droga się zwężała, a po jej bokach rosły rzadkie chwasty – nawet krzaki nie chciały żyć na tym pustkowiu. Gdzeniegdzie po bokach ziały obsuwające się leje.

– Musisz pomóc przyjacielom – powiedział Aleksander Mitrofanowicz. Połkan się uśmiechnął.

Aleksander Mitrofanowicz ściągnął z ramion ciężki plecak – Połkan nosił już taki na treningach.

– Będzie ciężko – powiedział do psa. – Ale nie trzeba go długo nieść. Do tych domów, a z powrotem już bez ładunku.

Sam przywiązałem plecak, żeby Połkanowi było wygodniej. Liznął mnie po ręce; rzadko lizał mi ręce – uważał, że jest to poniżej jego godności. To bardzo dumny pies. Pogłaskałem go i powiedziałem:

– Dziękuję, że zgodziłeś się nam pomóc.

– Do dzieła! – rzekł Aleksander Mitrofanowicz.

Wziąłem przygotowany uprzednio patyk, żeby pokazać Połkanowi, dokąd biec. Aleksander Mitrofanowicz ruszył z powrotem.

Teraz wiele zależało ode mnie i mojej umiejętności celnego rzucania patykiem. Jednak wiele razy ćwiczyliśmy to z Połkanem, dlatego rzuciłem patyk dokładnie – daleko i celnie, co najmniej na trzydzieści metrów.

– Ruszaj, Połkan!

Zamerdał ogonem, cieszył się, że się z nim bawię. Pobiegł przed siebie – równiutko po prostej, po całkiem już wąziutkiej ścieżynce, między dużymi i małymi lejami.

Patrzyłem mu w ślad i w ostatniej chwili padłem na ziemię.

Wybuch był potężny, bo kiedy wybuchła mina, od detonacji eksplodowały też materiały wybuchowe w plecaku niesionym przez mojego ukochanego psa. Wokół wybuchło jeszcze kilka min. Było to wielkie osiągnięcie.

Tak mi właśnie powiedział Aleksander Mitrofanowicz, który podszedł do mnie, by pogratulować mi sukcesu na drodze ku osiągnięciu szlachetnych ideałów ludzkości. Niczego nie słyszałem, z uszu leciała mi krew, a on po prostu uściskał mi dłoń, jak towarzyszowi.

Potem wezwał milicję i oni przeszli do miejsca śmierci mojego Połkana i ogrodzili nową część drogi tyczkami.

Teraz do składów z bronią, które wznoszą się za polem minowym, zrobiło się pięćdziesiąt metrów bliżej. I jest to zasługa mojego drogiego towarzysza. Wszak diabelskie miny, których nastawiali podczas wojny, reagują tylko na ciepło żywego ciała. I my już kilka lat temu wymyśliliśmy, jak wykorzystać do tego psy. Pies jest nie tylko najlepszym przyjacielem człowieka, ale może też wziąć na grzbiet ciężar materiałów wybuchowych. I wielokrotnie zwiększa oczyszczoną od min przestrzeń. A w odróżnieniu od innych zwierząt, pies biegnie za patykiem, tam gdzie się go poprosi.

Kiedy wracałem do domu, było mi smutno. Będzie mi brakować Połkana. Jakże jednak byłem dumny ze swojego psa, który był skazany na stanie się pokarmem okrutnego, obżartego miastowego, a zginął za szlachetne ideały walki progresywnej części ludzkości!

Wlokłem się do domu i myślałem o tym wspaniałym dniu, do którego na pewno dożyję. Tego dnia wejdziemy do składów broni, do składów, w których trzymane są czołgi, pociski, a nawet rakiety. I przy pomocy tej broni zaprowadzimy porządek i sprawiedliwość na całej Ziemi. By nigdy już nie ginęły takie wspaniałe dziewczyny, jak Swietka Geworkian, a nasi cudowni czworonodzy przyjaciele nie musieli iść na miny. Otarłem mimowolną łzę.

W domu czekał na mnie prezent – koszyk ze szczeniakami od Damulki.

Szczeniaczki wyciągały do mnie sympatyczne pyszczki, były przezabawne.

I zacząłem się z nimi bawić.

*Przełożył Piotr Ogorzałek*



[1] Neologizm nawiązujący do „samizdatu” (rosyjskiego drugiego obiegu) (przyp. tłum.).

# STAREŃKI IWANOW

Ma się rozumieć, nie zawsze był stareńki. Był nim jedynie przez ostatnie lata. Jego łóżko stoi w schronie obok mojego i pokazywał mi swoje fotografie z dzieciństwa.

Iwan Iwanowicz, poważny, chudziutki, ubrany nie wiedzieć czemu w damski płaszczyk siedzi na kolanach masywnej kobiety w dużym kapeluszu i z niezwykle obfitym biustem.

– Podobny? – zapytał Iwan Iwanowicz.

– Podobny – odparłem.

– Zawsze byłem podobny – rzekł Iwan Iwanowicz. – A to moja matka. Choć wychowywała mnie w biedzie, wpoila dyscyplinę. Tato zostawił nas, kiedy byłem niemowlakiem.

Na pierwszy rzut oka widać było, że inaczej wychowywać nie potrafiła.

Historię swego ciekawego życia Iwan Iwanowicz opowiadał mi nie trzymając się chronologii. Jednak teraz, gdy nie ma go wśród nas, ułożyłem jego wspomnienia we właściwym porządku. I natrafiłem na pewne dziwne prawidłowości.

Rok 1917 Iwan Iwanowicz przywitał jako uczeń w ostatniej klasie gimnazjum. Był dobrym, choć nie genialnym uczniem, więc nauczyciele go lubili. W klasie z nikim się nie kolegował, gdyż przyjaciół wybierała mu mama, a on chciał przyjaźnić się z innymi. Jego najbardziej wyrazistym wspomnieniem z tego roku było wygranie nagrody za przekład Owidiusza.

Na demonstracje Iwan nie chodził, gdyż mama kazała mu zdobyć jak najlepsze świadectwo dojrzałości, sądząc, że to przyda się przy każdej władzy. Poza tym Iwan Iwanowicz zawsze bał się tłumu. Był niewysoki, chudy i nosił okulary. Tacy obrywają w przypadku każdych zawieruch w narodzie.

W roku 1918 Iwan Iwanowicz podjął pracę. Nie potrzebował dyplomu. Był referentem w Moskiewskim Oddziale od Spraw Rozwoju Teatru, do pracy miał jednak daleko. Mieszkali z mamą na Sretence, a firma mieściła się na Razguliaje. Kiedy więc Iwan Iwanowicz znalazł ogłoszenie, że potrzebny jest referent w Państwowych Zakładach Zbożowych, mieszczących się naprzeciw kliniki Sklifosowskiego, zmienił pracę.

Jego talenty jako podwładnego ujawniły się właśnie tam.

To znaczy talenty miał już wcześniej. Iwan Iwanowicz był pedantyczny, grzeczny i cichy. Nigdy nie zabierał głosu na zebraniach i stronił od wszelkiej działalności. Miał tylko jedną, znaną wszystkim słabość. Sensem życia dla Iwana Iwanowicza było otrzymanie premii. Zwykle pracował „od-do”. Co prawda sumiennie. Gdy jednak dowiadywał się, że za jakieś zadanie należy się premia, przeistaczał się w mgnieniu oka. Był gotów przesiadywać w pracy nocami, był w stanie przenosić góry, przy czym niezależnie od wysokości tej premii. Na samo słowo „premia” wyciągał się wewnętrznie na baczność, podobnie jak słowem „szczupak” można doprowadzić do obłędu każdego rybaka, a alkoholika – zapachem wódki.

W czasie problemów z zaopatrzeniem w żywność miał miejsce pierwszy przypadek z długiej listy podobnych, który zwrócił na referenta uwagę dyrekcji.

– Jeśli któryś z was, archarowcy<sup>[1]</sup>, wymyśli, jak odzyskać skład z pszenicą, który zaginął na trasie pomiędzy Biełgorodem i Moskwą – rzekł naczelnik oddziału politycznego, Szirikow, wchodząc do dużego, gwarne go pokoju, w którym siedziało trzydziestu współpracowników wydziału politycznego – dostanie premię.

– Ja znajdę – rzekł cichy Iwanow, odrywając od krzesła chudy zadek. – Muszę tylko dostać upoważnienie.

Sala gruchnęła śmiechem, a towarzysz naczelnik pododdziału, Szirikow, jednoręki marynarz z „Retwizana”<sup>[2]</sup>, powiedział:

– Zajrzyj do mnie.

Iwanow, odprowadzany chichotem kolegów, przeszedł za parawan, gdzie przenikliwy Szirikow powiedział:

– Jeśli nie żartujesz, bierz upoważnienie i żeby za dwa dni ziarno było w Moskwie. Nie dostarczysz, pójdziesz pod trybunał rewolucyjny. Chcesz ochronę?

– W żadnym wypadku – wystraszył się Iwanow. Nie znosił widoku broni.

Po dwóch dniach, wieczorem, zmizerniały Iwanow w palcie bez prawego rękawa, z krwawą blizną biegnącą przez policzek, wszedł do pokoju towarzysza Szirikowa, który nie mając innego kąta, tam właśnie nocował.

– Skład jest na Dworcu Briańskim – rzekł i stracił przytomność. Szirikow napił Iwana Iwanowicza gorącą herbatą. Po czym podniósł słuchawkę i zadzwonił na Dworzec Briański. Iwanow nie kłamał. Skład tam był. Być może naczelnikowi Iwanowicz zdradził, w jaki sposób dokonał tego rewolucyjnego wyczynu, mnie jednak o szczegółach nie opowiadał. Wiadomo jedynie, że Szirikow zaproponował uhonorowanie go orderem, ten odparł jednak, że chciałby tylko dostać należną mu premię. Następnego ranka Iwanow włożył do torby ze skaju czterysta gramów kaspijskiej płotki, czterysta gramów mąki i dwieście gramów landrynek. Pozostali pracownicy pododdziału gotowi byli zdeptać go z nienawiści.

I od tej pory stało się to normą. Jeśli trzeba było zająć się niewykonalnym zadaniem, Szirikow zjawiał się w gabinecie i oznajmiał Iwanowi Iwanowiczowi, że po wykonaniu go dostanie premię. I ten wykonywał każde zadanie. Pewna niezycziwa współpracownica przezwiała go nawet Wasilią Przemądrą<sup>[3]</sup>. Przewisko się jednak nie przyjęło, gdyż było zbyt długie.

Tym bardziej, że sama pracownica o nim szybko zapomniała, gdyż Iwan Iwanowicz, teraz już zastępca naczelnika pododdziału, oświadczył się jej i przeniósł się do niego na Sretenkę. Mieszkali razem dwa lata, jednak później Sonia, jak miała na imię żona Iwanowa, nie wytrzymała prześladowań ze strony jego matki, które były tym bardziej niezdrowe, że musieli mieszkać w jednym pokoju w mieszkaniu komunalnym, i wyprowadziła się od niego, choć rozvodu nie wzięła.

W roku 1924 Państwowe Zakłady Zbożowe podległy reorganizacji, Szirikowa rzucili na umocnienie zjednoczenia komunalnego i ten, odchodząc, wziął ze sobą Iwana Iwanowicza.

Tak minęło kilka lat. Iwan Iwanowicz niczym szczególnym się nie wyróżniał, choć dokonał kilku małych wyczynów nagrodzonych premiami. Po dwóch latach zmarła jego matka, w przeświadczeniu, że jej syn jest niedoceniany. Po czym do Iwana Iwanowicza wróciła żona, Sonia, i urodziła im się córka. Jego życie zaczęło się normalizować

Iwan Iwanowicz pokazywał mi fotografie z tego okresu. On, jeszcze młody, choć poważny, stoi obok żony, Sonii, która trzyma na kolanach córeczkę, bardzo podobną do Iwana Iwanowicza w dzieciństwie.

Iwan Iwanowicz zapamiętał z tamtych czasów premię w postaci zegarka na rękę w stalowej oprawie i ze wskazówką sekundnika, którą otrzymał za to, że opracował i wprowadził w życie pomysł towarzysza Szirikowa, by stworzyć sieć współczesnych łaźni w podlegającej jego nadzorowi dzielnicy. Zadanie było trudne, brakowało odpowiednich pomieszczeń, a ludzie musieli się myć. Szirikow zwrócił się do Iwana Iwanowicza i powiedział:

– Będzie premia.

Iwan Iwanowicz zastanawiał się trzy dni. Chodził po Moskwie, oglądał domy i budynki. W końcu, usatysfakcjonowany, wrócił za swoje niewielkie biurko i napisał, a następnie przekazał kierownictwu

sprawozdanie o rozmieszczeniu łaźni w niektórych cerkwiach. Miały one grube ściany, a nawet podziemia, w których można było umieścić kotły.

Szirikow nieco się wahał, bojąc się, czy pomysł Iwanowa nie jest zbyt radykalny. I wstrzymał się z wydaniem premii, przed skonsultowaniem problemu w Mossowiecie[4].

Iwanow poczuł się pokrzywdzony. Przyzwyczał się już, że jeśli premia została obiecana, musi zostać wypłacona. I tak właśnie powiedział żonie. Sonia odparła, że lepiej przeżyć bez premii, niż podejmować taką decyzję. Iwanow nic żonie nie odpowiedział, jednak tej samej nocy napisał list do OGPU[5], w którym wyjaśnił rozbieżności poglądów i sumiennie poinformował o obiecanej premii. Szirikow przestał pojawiać się w pracy, jednak Iwanow, jako bezpartyjny, jego posady nie dostał. Zresztą i tak mu na niej nie zależało, gdyż był idealnym wykonawcą, a nie organizatorem.

Nowy naczelnik potwierdził, że premia się Iwanowowi należy, jednak dopiero po tym, jak osobiście zrealizuje operację zamiany cerkwi w łaźnię. Iwanow sumiennie operację tę przeprowadził i otrzymał premię w postaci zegarka z sekundnikiem, który nosił do starości.

Umiejętność pomysłowego wykonywania przez Iwana Iwanowicza różnorodnych zadań zaowocowała jeszcze jedną premią w wysokości miesięcznej pensji w połowie lat trzydziestych, kiedy w zjednoczeniu robót komunalnych został wykryty, finansowany przez Niemców, prawicowo trockistowski spisek. Góra wystosowała roboczą notatkę, w której informowano, że w zjednoczeniu robót komunalnych ujawniono osiemnastu uczestników spisku, na którego czele stał Siemienow. Niczego więcej jednak nie sprecyzowano.

Naczelnik nie wiedział, co robić, i wezwał Iwanowa.

Iwanow przeczytał pismo z OGPU i zapytał, czy może liczyć na premię, jeśli uda mu się wykonać zadanie. Kiedy otrzymał stosowną obietnicę, wziął spis pracowników, w której znalazł siedemnastu mężczyzn i dwadzieścia jeden kobiet o nazwisku Siemienow. I z nich stworzył listę uczestników finansowanego przez Niemców prawicowo trockistowskiego spisku. Naczelnik miał wątpliwości, ponieważ wymagano od niego tylko osiemnastu spiskowców, a jeśli wyjawić trzydziestu ośmiu, nie pozostanie kandydatów na inne spiski.

Wówczas Iwanow, czując, że ryzykuje utratę premii, przesłał do OGPU drugi egzemplarz listy. Następnego dnia kierownik nie przyszedł do pracy, a Iwanow otrzymał premię w wysokości miesięcznej wypłaty.

Jego żona, Sonia, wyraziła wątpliwości, czy Iwanow postępuje prawidłowo. A on nawet się nie rozżłościł.

– Przecież dostałem premię – powiedział. – Bez powodu premii nie dają. Mama byłaby zadowolona.

Jego żona, Sonia, odeszła od męża na dobre, zabierając ze sobą córeczkę. Zamieszkała u krewnych pod Zaporozem.

Iwanow wysyłał alimenty na wychowanie córki, a gdy dostawał premię, przysyłał więcej. Kiedy Sonia otrzymywała sumę większą niż zwykle, długo potem płakała.

Po raz ostatni Iwan Iwanowicz przysłał dodatkowe trzydzieści rubli w roku 1947, w osiemnaste urodziny córki.

W tym czasie pracował już w Akademii Nauk, jednak nie jako uczonek, lecz członek Prezydium. Miała wtedy miejsce niezręczna sytuacja: do naszego kraju przybyła wysoko postawiona delegacja z niezaprzyjawnionego kraju, by zapoznać się ze stalinowskim planem przekształcenia przyrody. Dla delegacji wydzielony został specjalny rejon, w którym miały kłosić się pola ogrodzone bujnym, leśnym zadrzewieniem. Jednak dzień przed wyjazdem delegacji okazało się, że zadrzewienia, stworzone na zasadach wewnątrzgatunkowej współpracy i wzajemnej pomocy, wyschły, a pola, obsiane przekształconą z jarej żyto-pszenicą, są ugorem. Ani zatrzymanie delegacji na poziomie rządowym, ani

zamydlanie jej oczu się nie powiodło. Wówczas akademik, który wymyślił wzajemną przyjaźń między drzewami, odnalazł Iwana Iwanowicza i obiecał mu premię.

Iwan Iwanowicz, jak mi się przyznał, wziął geograficzną mapę tego regionu i ustalił, że na położonych powyżej terenach znajduje się stara tama. Po naradzie z akademikiem i innymi towarzyszami zaproponował rozwiązanie. Sam wybrał się na tę zaporę i w odpowiednim momencie otworzył wszystkie śluzy. Rzeka, która rozlała się po polach i pasach zadrzewień, przypadkowo utopiła zagraniczną delegację, a także kilka wiosek. Zostały wystosowane odpowiednie przeprosiny za skutki klęski żywiołowej. Więcej podobne delegacje już nie przyjeżdżały. Iwan Iwanowicz otrzymał swoją premię, został jednak surowo ukarany za samowolę i spędził trzy lata w obozach o zaostrzonym rygorze.

Pieniądzy rodzinie stamtąd nie przysyłał, ponieważ córka osiągnęła już pełnoletność i nikt nie oczekiwał na wieści od ojca. W tym czasie czterokrotnie otrzymywał on premię w obozie. Po raz pierwszy za to, że spełnił prośbę naczelnika obozu związaną z oszczędnością więziennych waciaków, gdyż w ciągu pięciolatki cenna odzież więźniów została znoszona do dziur. Zaproponował połączenie walki o oszczędność waciaków z oszczędnością wyżywienia. Podwójna oszczędność doprowadziła wkrótce do tego, że waciaki zaczęły uwalniać się od zawartości dwa razy szybciej, a z oszczędzonej żywności udało się zebrać premię dla Iwanowa w postaci pierożka z powidłami.

Iwanow został zwolniony przedterminowo. Nie zmienił się, a jedynie wyłysiał. Nie chował do nikogo urazy, jako że wszystkie premie, które mu obiecano, zarówno przed aresztowaniem, jak i podczas pobytu w obozie, otrzymywał.

Pomijam tu kilka lat owocnej pracy Iwana Iwanowicza. Trzeba jednak przyznać, że przez te lata otrzymał ponad dwadzieścia premii i jego reputacja umocniła się na tyle, że zaczęto korzystać z jego usług w najróżniejszych gałęziach gospodarki.

Pewnego razu los zetknął go z byłą żoną, Sonią.

Problem, który stał przed projektantami gigantycznego kombinatu w okręgu zaporoskim, polegał na tym, że kombinat potrzebował dużo wody, a wody było mało. Zaproposili Iwanowa. Obiecali premię.

Iwan Iwanowicz zdecydował, że podczas tej delegacji odwiedzi swoją rodzinę. Ta przyjęła go chłodno. Córka była już zamężna i ojca nie poznała. A Sonia poznała, jednak się nie ucieszyła. By nie wykosztować się na hotel, w którym pokoje były tylko po trzy ruble, a dieta Iwana Iwanowicza wynosiła tylko półtora rubla, postanowił on przenocować w domu u Soni.

Pościelili mu na kanapie przy oknie.

Rankiem Iwana Iwanowicza obudził brzęk łańcucha. Jego żona nabierała wody ze studni. Wstał, podszedł do cembrowiny i zauważył, że woda znajduje się na głębokości jakichś dziesięciu metrów.

Pożegnawszy się z Sonią Iwan Iwanowicz wybrał się do Zaporozża i od specjalistów dowiedział się, że w tym rejonie znajduje się ogromna podziemna soczewka wodna, z której właśnie czerpią wodę tutejsi mieszkańcy. Iwana Iwanowicza bardzo to ucieszyło, wrócił do Moskwy i tam oznajmił, że wodę dla kombinatu można uzyskać, jeśli wykopać przy nim studnie o głębokości pięćdziesięciu metrów i pompować do nich wodę wprost z soczewki.

Część specjalistów podniosła rwetes, że w ten sposób zostanie zrujnowana miejscowa gospodarka rolna. Nie wiedzieli oni jednak, jak bezwzględny staje się Iwan Iwanowicz, kiedy w grę wchodzi zasłużona premia. Udało mu się przebić do ministra i kombinat otrzymał wodę, a Iwanow premię. Cztery sąsiadujące ze sobą rejony okręgu zostały wysiedlone, ponieważ nie dało się dowozić wody cysternami do stu pięćdziesięciu tysięcy rodzin.

Kiedy w innym ministerstwie, które dowiedziało się o zdolnościach Iwana Iwanowicza, zdecydowano zawrócić na południe północne rzeki i w ten sposób nasycić wilgocią pola południa, jako wykonawcę wyznaczono Iwanowa. W tym czasie był on już człowiekiem leciwym. Otrzymał samodzielne



jednopo pokojowe mieszkanie, w którym powiesił fotografię mamy i dyplomy, nie zamierzał jednak powtórnie się żenić.

Naukowcy i wyznawcy metod konserwatywnych wyrażali gwałtowny sprzeciw i szturmowali gabinet ministra, by wyjaśnić, dlaczego nie należy rujnować północy po to, by ratować południe. Iwan Iwanowicz wystarał się w ministerstwie, by naukowcom, którzy będą udowadniać przeciwny punkt widzenia, także wypłacono premie. Inni naukowcy, gdy dowiedzieli się o premiach, zaczęli przekonywać społeczeństwo, że obawy pierwszych uczonych są bezpodstawne. W tym czasie, dopóki nikt nie był w stanie rozwiązać tego sporu, Iwanow dał sygnał spychaczom i koparkom, by ruszyły na północ, gdzie niezwłocznie wykopały kanały. Ta walka, zakończona zwycięstwem Iwana Iwanowicza, zajęła trzy lata. Jednak dla Iwanowa nie przeszła bez śladu. Otrzymał premię w wysokości stu dwudziestu rubli. I mógł kupić elegancką lampę stojącą z importu.

Dodatkowych pięćdziesiąt rubli premii dostał za to, że udało mu się zniszczyć jezioro Bajkał. A potem sześćdziesiąt pięć – za likwidację Morza Aralskiego.

Gazety i czasopisma miotały gromy i błyskawice na ministrów i akademików, przypuszczając, że to oni niszczą przyrodę i pomniki kultury. że z powodu ich lekkomyślnych, wyrachowanych a nawet przestępczych działań nasze dzieci nie będą miały czego jeść, ani czym oddychać. Nikt nie miotał jednak gromów w Iwana Iwanowicza, gdyż był on absolutnie niezastąpiony. I ostatecznie nikt się nie domyślił, że to właśnie jego słabość do otrzymywania niewielkich, uczciwie zapracowanych premii jest główną przyczyną upadku naszej cywilizacji.

Na początku lat dziewięćdziesiątych Iwan Iwanowicz, przybity brzemieniem lat, postanowił przejść na emeryturę. Natychmiast wezwał go do siebie sam Pietryszczew.

– Iwanie Iwanowiczu – rzekł Pietryszczew. – Jak sami wiecie, ostatnimi laty nasz naród bardzo się rozzuchwalił. Coraz trudniej jest budować nowe fabryki, tak potrzebne naszemu ministerstwu dla wypełnienia planu. Oczywiście nie sprzeciwiamy się ochronie środowiska naturalnego.

– Nie, nie sprzeciwiamy się – odparł Iwanow. Pietryszczew nalał do szklanki wody z karafki, podszedł do parapetu i własnoręcznie podlał stojące w doniczkach kwiaty.

– Boję się, że nie dadzą nam uruchomić złotogorskiego kombinatu. A wtedy nie zrealizujemy funduszy.

– Niedobrze – rzekł Iwanow.

– Chciałbym dać ci premię, Iwanow – powiedział Pietryszczew. – I to niemałą. Dokładnie sto rubli. Jak się na to zapatrujesz?

– A jakie są ich argumenty?

– Szkoda gadać. Typowa demagogia. Twierdzą, że dym z tego kombinatu zlikwiduje powietrze nad europejską częścią terytorium naszego kraju. Co jest przesadą.

– A kiedy będzie premia? – zapytał Iwanow.

– Natychmiast, kiedy tylko zaczną dymić kominy kombinatu.

Zadziwiająca siła ducha i upór kryły się w tym bezsilnym z wyglądu staruszkowi. Nie minęło nawet sześć miesięcy kiedy, bez względu na protesty społeczeństwa, na podstawie trzech specjalnych postanowień rządu, a nawet rezolucji ONZ, nad złotogorskim kombinatem pojawił się pierwszy dym. Wkrótce połowa ludzkości została zmuszona do przeniesienia się do schronów przeciwgazowych.

Premię Iwan Iwanowicz otrzymał wraz z maską przeciwgazową. Odłożył ją na czarną godzinę i przeprowadził się do schronu przeciwgazowego. Tam się właśnie poznaliśmy. Podczas długich wieczorów Iwan Iwanowicz drżącym głosem opowiadał mi o swoim życiu i stopniowo zacząłem uświadamiać sobie, jak olbrzymią, nieocenioną rolę odegrał on w życiu naszego kraju. Powiedziałem mu o tym i Iwan Iwanowicz przytaknął z zadowoleniem. A następnego tygodnia, kiedy z powodu

kwaśnych deszczy nikt nie mógł wyjść ze schronu, zajęliśmy się z nim podliczeniami. Okazało się, że w ciągu całego swojego życia Iwan Iwanowicz otrzymał ogółem sto czterdzieści dwie premie o ogólnej wartości ośmiu tysięcy trzystu dwóch rubli. I to niezależnie od regularnych pensji. Następnie zaczęliśmy z nim obliczać, ile jego działalność kosztowała kraj. Bez fałszywej skromności Iwanow zgodził się z moimi umiarkowanie dokładnymi wnioskami: osiemnaście trylionów z hakiem. I każdy nowy dzień, ile by ich nie pozostało do końca świata, kosztował co najmniej szesnaście miliardów.

– Cóż, imponująca sprawa – rzekł stareńki Iwanow. Te liczby nie zrobiły zresztą na nim większego wrażenia, gdyż były abstrakcyjne. Tak przypuszczam, gdyż przez ostatnie dni ani razu o nich nie wspomniał, za to któregoś ranka obudził mnie szturchańcami, nieomal zrzucając z łóżka polowego.

– Proszę posłuchać – szeptał. – Pomyliliśmy się. Zapomniałem o trzech premiach. Ogólna suma wynosi osiem tysięcy trzysta trzydzieści sześć rubli.

I tak to wygląda! Wczoraj Iwan Iwanowicz nas opuścił. W południe do schronu weszło trzech mężczyzn w krawatach i maskach przeciwgazowych. Długo szeptali z Iwanem Iwanowiczem. Na koniec jeden z nich oznajmił wyraźnie:

– Gwarantuję premię.

Iwan Iwanowicz puścił do mnie oko i wyszedł razem z nimi, zakładając maskę przeciwgazową.

Już trzeci dzień czekam na koniec świata...

*Przełożył Piotr Ogorzałek*



[1] Od Nikołaja Archarowa, genialnego śledczego z połowy XVI wieku; ze względu na jego nietypowe metody śledcze budzące drwiny współczesnych, do dziś słowo to odczytywane jest pejoratywnie (przyp. tłum.)

[2] Retwizan – Rosyjski pancernik o nowych rewolucyjnych rozwiązaniach technologicznych; po klęsce pod Port Artur przez jakiś czas pływał pod flagą Japonii.

[3] Nawiązanie do starej rosyjskiej bajki „Królewna-żabka”.

[4] Moskiewska rada miejska (Моссовет) – od 1917 do 1993 roku najwyższy organ władzy państwowej z siedzibą w Moskwie; poprzednik dzisiejszej Moskiewskiej Dumy Miejskiej (przyp. tłum.).

[5] OGPU – *Gosudarstwiennoje Politicheskoje Uprawlenije pri NKWD RSFSR* – organ bezpieczeństwa państwowego Rosji Radzieckiej utworzony 6 lutego 1922 roku na fundamentach rozwiązanej Czeki, pierwszej bolszewickiej policji politycznej – Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny przy NKWD RFSRR (przyp. tłum.)



# DLA CIEBIE, PROSTY MARSJANINIE!

## Opowiadanie-hipoteza

Na własnej skórze przekonałem się o tym, jak olbrzymią rolę może odegrać mały człowiek w losie planety. Mam na myśli siebie. Pomyśleć tylko, że gdyby moja kuzynka nie pracowała w Marsjańskich Służbach Wodociągowych, los tej planety mógłby potoczyć się inaczej.

Kiedy studnia w naszej osadzie kompletnie wyschła, pojechałem do Soacery<sup>[1]</sup>, gdyż brak wody groził klęską żywołową. Moja bryczka, zaprzęzona w białego, rogatego niedźwiedzia, w ciągu dwóch dni pokonała odległość od przedgórzy Soaru, przez żyzne pola Azory, do pustkowi starożytnej Soacery, nad którymi górował monumentalny pomnik Magacytla<sup>[2]</sup>. Minąłem ruiny cyrku i przejechałem pod zawalonymi bramami. Nad moją głową przelatywały skrzydlate łódki i brezentowe ptaki mieszkańców miasta. Śniade twarze wychylały się z latających wehikułów...

Oto przepiękna Soacera, stolica Marsa. Purpurowe, srebrzyste i kanarkowo żółte listowie parków zamknęło się nad moją głową, zamigotały odbłaskami słońca okna rozmieszczonych schodkowo domów, pazury niedźwiedzia zastukały o białe płyty ulicy.

Zostawiłem bryczkę przy wysokim i masywnym jak piramida mrocznym budynku z czarno-czerwonych kamieni. Po szerokich schodach, między kwadratowymi, zwężającymi się ku górze kolumnami sięgającymi jedynie do jednej trzeciej wysokości budynku, biegali w górę i w dół liczni inżynierowie i urzędnicy w czarnych i czerwonych togach i okrągłych czapczkach.

Długo nie mogłem znaleźć miejsca, by zaparkować moją bryczkę. Dwukrotnie przeganiał mnie żołnierz w jajowatym hełmie i szerokiej bluzie z grubym kołnierzem zakrywającym szyję i dolną część twarzy. Leniwie wyzywał mnie od „ciemnego wieśniaka” i zamierzał nawet potraktować mnie pałką, jednak po chwili, kiedy dowiedział się, że pochodzę z soarskiego regionu, a więc jestem jego krajanem, zlitował się i pozwolił mi zostawić niedźwiedzia na parkingu pojazdów naziemnych.

Moją kuzynkę, Szochichi, nie bez trudu znalazłem na ósmym piętrze budynku Najwyższej Rady Inżynierów. Marsjańskie Służby Wodociągowe, w których pracowała jako sekretarka inżyniera, były w tym czasie organizacją mało istotną, biedną i można powiedzieć pozbawioną perspektyw. W bezlitosnej walce toczonej na najwyższych szczeblach władzy, Marsjańskie Służby Wodociągowe uczestniczyć nie śmiały, ograniczając się do drobnych zamówień.

Kuzynka Szochichi nie kryła radości, kiedy zacząłem wyjmować z worka prezenty ze wsi – owoce i wczesne warzywa, którymi w tym roku dość skąpo obdarowali nas bogowie. Następnie wyjaśniłem kuzynce cel swojej wizyty.

Moja kuzynka, niezależnie od młodego wieku, była bardzo obrotna i potrafiła się w życiu ustawić, bo jak inaczej wyjaśnić fakt, że jako jedyna z naszej gminy przebiła się do Najwyższej Rady Inżynierów?

Po krótkim namyśle Szochichi kazała mi czekać, a sama skryła się za masywnymi drzwiami. Wróciła po trzech minutach i z figlarnym uśmiechem pozwoliła mi wejść do gabinetu.

Ogarnęło mnie oczywiście oniesmielenie. Jeszcze nigdy w życiu nie miałem okazji bywać w siedzibie tak ważnej osobistości.

Za kamiennym stołem zasiadał chudy mężczyzna w wysokiej, zielonej czapce, która świadczyła o jego przynależności do Marsjańskich Służb Wodociągowych. Uśmiechnął się do mnie wąskimi wargami i zapytał:

– Co cię sprowadza, rolniku?

Pospiesznie opróżniłem worek, wykładając na stół te warzywa i owoce, które pozostały z podarków dla kuzynki. Naczelnik nie protestował; przyglądał się mi, nie przestając się uśmiechać.

– Widzę – powiedział w końcu – że twój problem nie należy do największych, podobnie jak twoje wiejskie podarunki.

– W rzeczy samej – zgodziłem się z nim.

– Jest dobrym, choć i prostym człowiekiem – odezwała się moja stojąca w drzwiach kuzynka.

– Widzę – przytaknęła chudy inżynier, który, jak się później dowiedziałem, nazywał się Lecatl.

Czekał.

– Studnia w naszej wiosce – powiedziałem, uniżenie spuszczać wzrok – wkrótce całkowicie wyschnie. Woda opada coraz głębiej. Źle się powodzi marsjańskim chłopom.

– Wiem o tym – westchnął cicho Lecatl. – Historia Marsa dobiega końca. Życie na naszej planecie wymiera. Jeszcze kilka stuleci i ostatni Marsjanin gasnącym wzrokiem po raz ostatni odprowadzi zachodzące słońce.

Inżynier Lecatl westchnął.

Jego słowa mną wstrząsnęły. W naszej wiosce nigdy nie zastanawiano się nad losem Marsa. Uważaliśmy, że istniejący porządek rzeczy jest wieczny i do opowieści o niepokojach w miastach, a nawet o wojnach podchodziliśmy z obojętnością. Niech miastowi wdychają dym chawry<sup>[3]</sup> i latają na płóciennych ptakach – to nie nasze zmartwienie.

– Pomyśl, ciemny rolniku – kontynuował Lecatl. – Jak miałbym podnieść poziom wody w twojej studni? Może sądzisz, że będę taszczyć tam wodę w skórzanych wiadrach?

Moja kuzynka zachichotała, a ja pomyślałem, że na darmo przepadły warzywa i owoce zbierane z całej wioski.

I w tym momencie ściana po mojej prawej stronie rozsunęła się i do gabinetu Lecatla wszedł inny inżynier, bardziej korpulentny – sam naczelny inżynier Marsjańskich Służb Wodociągowych, Taskab<sup>[4]</sup>, od niedawna dopiero pełniący swoją funkcję i pragnący się wykazać.

– Przypadkowo usłyszałem waszą rozmowę – rzekł wysokim, skrzypiącym głosem.

Lecatl wyskoczył zza stołu. Kuzynka padła na kolana. Podążyłem za jej przykładem, gdyż każdy wieśniak wie, że lepiej nawet niepotrzebnie ubabrać się brudem, niż dostać pałką po głowie.

– Usłyszałem i zadziwiła mnie twoja ograniczoność, Lecatl – powiedział Taskab. – Być może wizyta tego ciemnego rolnika jest znakiem woli niebios. Czyżbyś nie wiedział, że planują likwidację Marsjańskich Służb Wodociągowych, uważając, że nie ma z nich żadnego pożytku? A jeśli zostaną one zlikwidowane, co się z tobą stanie, szanowny Lecatlu? Może chcesz przyłączyć się do miejskiego motłochu?

– Nie widzę jednak, wielki Taskabie, związku między moim losem i losem tego rolnika – zmieszał się Lecatl.

– Jeśli naród cierpi – odparł jego naczelnik – do kogo idzie po pomoc? Zwraca się do Marsjańskich Służb Wodociągowych.

– Ale my nie możemy przecież kopać studni! – zaproponował Lecatl. – Nie mamy na to środków ani sprzętu.

– Dlaczego jesteś taki drobiazgowy, mój głupi Lecatlu? – rzekł do niego naczelnik, podszedł do stołu, wybrał najbardziej dojrzałe z przyniesionych przeze mnie jabłek i nadgryzł je. – Co mają do tego studnie? Poprowadzimy do wioski naszego przyjaciela kanał, wyprowadzimy go z rzeki Liazy i napoimy zagrożone pola.

– Nie dostaniemy na to finansów!

– Zamilcz! Znudziło mnie słuchanie cię! Naród wysuwa żądania. A kimże jesteśmy my, ja i ty? Jesteśmy sługami marsjańskiego narodu!

– Proszę o wybaczenie, wielki inżynierze – wtrąciłem się w rozmowę – ale kanał jest nam zupełnie niepotrzebny. Nie mamy wody w studni...

– Dlaczego kanał nie jest potrzebny? – spytał Taskab surowym tonem.

– Budowa kanału potrwa wiele lat, a kiedy już powstanie, nasze pola dawno wyschną i będziemy zmuszeni przenieść się w inne miejsce.

– Widzisz tylko swoją wioskę – rzekł główny inżynier. – A pomyśl o całej gminie. Czy zdajesz sobie sprawę, jak zwiększy się urodzaj, kiedy do twojego rejonu zostanie skierowana cała rzeka?

– To oczywiście dobrze...

– Twoje dzieci będą kąpać się w rzece, a ty będziesz mógł myć się każdego ranka!

– My, Marsjanie, nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Częste mycie się jest szkodliwe.

Główny inżynier już mnie jednak nie słuchał. Zwrócił się do mojej kuzynki, Szochichi, i powiedział:

– Przynieś tu czysty zwój i pałeczki do pisania. Będę ci dyktował list do Rady Inżynierów!

Nie wierzyłem własnym uszom! Moja skromna wizyta powołała do życia tak ważny dokument. W swoim liście do Rady Inżynierów Taskab poinformował, że naród Marsa, a w pierwszym rzędzie mieszkańcy gminy Soar, a także doliny Azory, żądają natychmiastowej budowy kanału, który uratuje ich przed suszą i śmiercią głodową. Oczywiście śmierć nam nie groziła, podobnie jak mieszkańcy żyznej doliny Azory nie potrzebowali kanału, jednak list Taskaba do Rady Inżynierów brzmiał na tyle niepokojąco i przekonująco, że łzy napłynęły mi do oczu.

Kiedy wróciłem do wioski, w mojej chacie zebrali się współmieszkańcy.

– I jak, naprawią nam studnię? – zapytał głowa starszyny wioski.

– Znacznie więcej – odparłem, czując się uczestnikiem podejmowanych przez stolicę ważnych decyzji. – Doprowadzą do nas prawdziwy kanał. Nasze dzieci będą się w nim kąpać, a wody będzie tyle, że w każdym domu zbudujemy basen.

Sąsiedzi pokręcili głowami, nie uwierzyli mi. Nie uwierzyli także gazecie, w której wkrótce napisano, że w celu zakończenia problemów z niedoborem wody na przedgórzach Soaru, podjęto decyzję o budowie specjalnego kanału od rzeki do górskiego pasma.

Budowa kanału trwała cztery lata. Marsjańskie Służby Wodociągowe borykały się z poważnymi problemami. Brakowało doświadczenia, a na dodatek zawistni konkurenci i jajogłowi urzędnicy z Rady Naukowej rzucali kłody pod nogi, twierdząc, że i bez tego na Marsie brakuje wody. Po co więc marnować ją tak bezmyślnie?

W końcu jednak, kiedy liczba mieszkańców naszej wioski zmniejszyła się o połowę – nasze pola nie były już w stanie wykarmić wszystkich potrzebujących – kanał dotarł do wyschniętej studni. Przecinał swoim szerokim łózyskiem całą dolinę Azory, wchłaniając pola i winnice, jego cena szesnastokrotnie przekroczyła założenia projektu, a podczas budowy pochłonęła życie niezliczonej ilości robotników. Ponieważ jednak Marsjańskie Służby Wodociągowe miały na uwadze wyłącznie szczęście prostych ludzi, budowa została zakończona.

W noc podwójnej pełni z Soacery przysłano po mnie specjalną łódź powietrzną. Przyleciała nią moja kuzynka, Szochichi, w nowym futrze z łapek szczurów piaskowych.

– Kuzynie! – krzyknęła, podbiegając do mojej koślawej chaty, która stała nad zboczem kanału. – Zostałeś, jako przedstawiciel narodu, włączony do komisji od otwarcia kanału. Ubierz się odświętnie!

– Och, Szochichi – odparłem. – W oczekiwaniu na wodę zbiednieliśmy do tego stopnia, że musiałem sprzedać wszystkie swoje peleryny i płaszcze. Zresztą, co tam ja! Popatrz, moi sąsiedzi też chodzą

w łachmanach, a czasem nawet nago.

– To nic – odparła Szochichi, rzuciwszy okiem na zgromadzonych sąsiadów. – Wydamy ci ubranie z funduszy Marsjańskich Służb Wodociągowych. A gdy pojawi się Wielka Woda, wszyscy się wzbogaciecie i kupicie sobie srebrne płaszcze.

Następnego ranka otrzymałem służbowy płaszcz, który był na mnie za duży i włókł się po podłodze dużej powietrznej łodzi, i zostałem przedstawiony ważnym inżynierom, którzy zebrali na pokładzie. Naczelnicy, odziani w srebrne i czarne płaszcze oraz różnorodne nakrycia głowy, uśmiechali się do mnie i gratulowali mi, jako przedstawicielowi marsjańskich rolników, którymi się tak troskliwie zajęli.

Łódź lekko wzniosła się w powietrze nad peryferiami Soacery, tam, gdzie rzeka Liaza przepływa w pobliżu monumentalnego pomnika Magacytla. Na znak dany przez samego Taskaba otwarła się potężna brama z brązu i wodzy rzeki wdarły się w szerokie łóżysko kanału, wzbijając kurz i zmiatając resztki zapomnianego w nim sprzętu. Łódź leciała nisko, podążając za pędzącą przez kanał ścianą wody. Mieszkańcy pobliskich wiosek zbierali się, by podziwiać to widowisko. Wśród chłopów dostrzegłem urzędników Marsjańskich Służb Wodociągowych, którzy podpowiadali, kiedy podnosić ręce i wiwatować. Obok mnie stał Taskab i inżynier Lecatl. Rozmawiali ze sobą półgłosem nie zwracając na mnie uwagi, jak nie zwraca się uwagi na mysz w sieni.

– Teraz będzie najlepszy moment – mówił Taskab, – żeby zatwierdzić skalę robót na przyszły rok z dziesięciokrotną nadwyżką.

– Rada Inżynierów jest pozytywnie wstrząśnięta – zauważył Lecatl.

– A jakże! Panuje powszechna ruina i tylko my osiągnęliśmy sukces.

Podeszli do Wielkich Inżynierów, którzy stali przy burcie powietrznej łodzi, z uśmiechami obserwując, jak sunąca kanałem fala zmywa z brzegów pozostałości przeciętych nim pól i niesie w swym nurcie śmieci i słomę. Następnie statek zawrócił, by zdążyć na bankiet.

Do naszej wsi woda tego dnia nie dotarła. Inżynierowie stwierdzili, że tak ma być, a w dolinie wkrótce zostanie zbudowana dodatkowa stacja pomp tam, gdzie ostatnie krople wody wsiąkały w ciemny piasek.

Na bankiecie ucztowałem razem z inżynierami. Potem kazano mi wznieść toast. Jego tekst na złotym zwoju wręczyła mi Szochichi. Litery były duże i przeczytałem go niemal bez zająknięcia. Potem, już pieszko, wróciłem do wioski.

Olbrzymią stację pomp zbudowano na naszym kanale po kolejnych trzech latach. Do tego czasu w wiosce zostało tylko pięć domów, a wodę woziliśmy z doliny Azory w beczkach. Czerpaliśmy ją z ogromnego, słonawego bagniska, które powstało za stacją pomp, pokrywając większą część żyznych niegdyś pól. Większość mieszkańców doliny przeniosła się do miasta i stała palaczami chawry.

Niestety, stacja pomp nie miała czego pompować. I wtedy powstał wspaniały plan, który miał jednocześnie rozwiązać problem zaopatrzenia stolicy w wodę, gdyż poziom wody w Liazie spadł do tego stopnia, że nie była ona już w stanie zaspokoić potrzeb miasta. Jedna czwarta budżetu państwa została przeznaczona na budowę kanału od północnego bieguna Marsa do źródeł Liazy. Kanał miał osiągnąć długość tysiąca dziennych odcinków marszowych i być zaopatrzonej w olbrzymią ilość stacji pomp i zbiorników wodnych.

...Trafiłem do Soacery w nadziei, że dostanę tam beczkę na wodę. Nasza się rozpadła. Wymęczony kurzem i upałem obszedłem całe miasto, jednak w żadnym ze sklepików nie było beczek, przyszło mi więc dowieźć się do Marsjańskich Służb Wodociągowych, by spróbować zobaczyć się z moją drogą Szochichi.

Do tego czasu Marsjańskie Służby Wodociągowe oddzieliły się od Rady Inżynierów i wybudowały w centrum Soacery, na placu Atlantydy, czarny drapacz chmur, w którym pracowały tysiące kreślarzy

i inżynierów. Latające łodzie i balony setkami lądowały na płaskim dachu wieżowca.

Długo nie wpuszczano mnie do budynku. Próbowałem udowodnić przy wejściu, że jestem tym pierwszym człowiekiem z ludu, który przyczynił się do świetności Marsjańskich Służb Wodociągowych, jednak na widok moich łachmanów zbywano mnie tylko śmiechem.

W końcu jednak mi się poszczęściło. W momencie, gdy kopniakami szpiczastych butów wyrzucano mnie z olbrzymiego, malachitowego holu, mój zrozpaczony wzrok padł na wielki marmurowy posąg wznoszący się przy ścianie. Posąg przedstawiał Marsjanina w rolniczej todze ze skórzanym wiadrem w ręce. Rysy twarzy Marsjanina wydały mi się znajome.

– Stójcie! – krzyknąłem przenikliwym głosem. – Przeczytajcie, ciemni żołdacy, napis pod tym posągiem.

Część żołnierzy się roześmiała, jednak dowódca warty się zlitował i przeczytał litery wyryte na postumencie:

– „Dla ciebie, prosty Marsjaninie, nasz trud i nasze osiągnięcia!”

– Przecież to mój pomnik! – krzyknąłem. – To pomnik na moją cześć!

Żołnierze wpadli w zakłopotanie, nie oczekując takiego obrotu spraw, a dowódca warty, choć nie widział podobieństwa między mną i marmurowym pomnikiem, na wszelki wypadek rozkazał mnie puścić i zadzwonił na górę, do Szochichi. Ta zaś, gdy dowiedziała się, o co chodzi, rozkazała, by mnie przepuszczono.

Jeszcze raz spojrziałem na marmurowy posąg i pogroziwszy palcem żołnierzom, wjechałem windą na czterdzieste piętro, gdzie znajdował się gabinet mojej kuzynki. Strasznie się roztyła i została główną sekretarką i pierwszą nałożnicą Naczelnego Inżyniera Taskaba.

Kuzynka przywitała mnie bardzo serdecznie, wypytała o życie w naszej wiosce i zmartwiła się na wieść o jej dramatycznej sytuacji. Potem poczęstowała mnie wyciągiem z górskich ziół i pokazała wielką mapę Marsa, która wisiała na ścianie gabinetu pana Taskaba, który był w tym dniu nieobecny, ponieważ udał się z rządową komisją na biegun południowy.

Widok mojego ojczystego Marsa mnie poraził. Przecież przez cały rok uczyłem się w szkole, w której też była mapa. Jednak jakże różąco różniła się ona od tej, oglądanej w Marsjańskich Służbach Wodociągowych! Na tej drugiej cała planeta poprzecinana była prostymi pasami, które krzyżując się, tworzyły zbiorniki wodne i jeziora.

– Podziwiasz? – spytał inżynier Lecatl, wchodząc do gabinetu. – Robi wrażenie?

Schudł jeszcze bardziej, choć strój miał kosztowny.

– Ogromnie się cieszę – powiedziałem, padając na kolana i całując skraj płaszcza Wielkiego Inżyniera. – Ale wytłumacz mi, o inżynierze, dlaczego trzeba przekopać cały Mars?

– Aby go uratować – odparł inżynier.

– A bo to przedtem było źle?

– Przedtem? Przedtem nie było kanałów i naród był nieszczęśliwy.

– Jak kiedy – westchnąłem.

– Czarna niewdzięczność! Czyżbyś zapomniał, jak pierwszy kanał napoił twoją wioskę?

– Do nas ta woda i tak nie doszła – westchnąłem.

– To szczegół – nachmurzył się inżynier. – Myśleliśmy o tym, co najważniejsze. Udało nam się uratować dolinę Azory przed suszą.

– Ale, wielki panie...

– Milcz. Co prawda trzeba było poświecić rzekę, która wcześniej zaopatrywała Soarę w wodę. Nasza stolica podzieliła się wodą z narodem.

Pokłoniłem się, wstrząśnięty wyczynem naszej stolicy.

– Nie mogliśmy jednak pozostawić bez wody tych uczciwych pracowników, którzy mieszkają w głównym mieście Marsa – kontynuował Lecatl. – Dlatego rozpoczęliśmy gigantyczne prace nad przepompowaniem wody z pokrywy śnieżnej bieguna północnego. Przez kilka lat cały kraj w zbiorowym trudzie wykuwał świetlaną przyszłość. Zamiast telewizorów fabryki wypuszczały koparki, zamiast latających łodzi – łopaty.

– Ach, jaki entuzjazm! – poparła szefa moja kuzynka.

– Upraszam o zadanie głupiego pytania – rzekłem. – Po co produkować koparki, jeśli kanał został już zbudowany?

– Kanał został zbudowany – uśmiechnął się wyrozumiale Lecatl. – Ale nasza sprawa wciąż trwa. Obecnie Marjańskie Służby Wodociągowe są najważniejszą organizacją na Marsie, w nich cała nadzieja...

– A kiedy przestaną istnieć?

– Ach, jakiś ty ciemny – westchnęła kuzynka.

– A co począć z milionami robotników – zdenerwował się Lecatl – którzy kopią kanały? Gdzie składować tysiące zamówionych przez nas maszyn? Czym będą zajmować się nasze instytuty i zarządy? Co?

Inżynier Lecatl kipiał z gniewu, a ja cofnąłem się, w strachu, że mnie zabije.

– To znaczy, że pracujecie dla siebie? – zapytał mój język. Klnę się, że nie miałem z tym pytaniem nic wspólnego. Dlatego razy, z którymi rzucił się na mnie Lecatl, były niezasłużone.

Kiedy już zmęczył się okładaniem mnie, inżynier wykrzyknął:

– O nie! Nie jesteśmy egoistami, nie jesteśmy katami Marsa, nie jesteśmy przestępcami, jak twierdzą tak zwani ekolodzy...

Lecatl splunął z obrzydzeniem, splunęła też moja kuzynka, więc i ja, by nie odstawać od ludzi wykształconych, splunąłem razem z nimi.

Lecatl nieco się uspokoił. Podeszedł do okna i patrząc na równiny Marsa, które rozciągały się przed jego wzrokiem, rzekł:

– To wszystko nie jest takie proste. Kiedy zabraliśmy wodę z pokrywy lodowej bieguna północnego, na całej planecie zmalała ilość deszczów. I im lepiej funkcjonował nasz główny kanał, tym dotkliwiej rozprzestrzeniały się susze. Tak, woda do stolicy docierała. Wyszły jednak okoliczne pola i nie było komu karmić miasta.

– Trzeba było natychmiast zamknąć kanał! – powiedziałem.

– To by była kapitulacja! Zrobiliśmy coś lepszego. Przeciągnęliśmy jeszcze bardziej gigantyczne kanały z rejonów bieguna południowego.

Inżynier Lecatl podeszedł do mapy Marsa i włączył migoczące lampki, aby pokazać mi, jakie kanały dostarczają już życiodajną wodę na pola, a które są jeszcze w budowie. Był to wspaniały widok, który niezwykle mnie ucieszył.

– To znaczy, że teraz z rolnictwem będzie dobrze? – spytałem.

– Wkrótce będzie dobrze – rzekł inżynier z przekonaniem. – Co prawda główne rezerwy śniegu na obu biegunach zostały zużyte i na całej planecie ustały deszcze.

– Odczuwam to na własnej skórze, o wielki – przytaknąłem. – Ale gdzie podziewa się woda? Przecież wcześniej nie było jej tylko w mojej studni.

– Wodę pochłaniają piaski, woda się rozlewa, przesącza, jest nawet rozkradana. Nie zdajesz sobie sprawy, jakie na Marsie pleni się szkodnictwo!

– Najlepiej wszystkich rozstrzelać – zauważyła moja kuzynka.

– A nieodpowiedzialność niektórych prostych budowniczych? – kontynuował Lecatl. – A zła jakość

sprzętu budowlanego? A brak materiałów? Pomyślałeś o tym?

– Nie, nie pomyślałem – odparłem.

– Wszystkich rozstrzelać – rzekła Szochichi.

– Teraz więc przystąpiliśmy do budowy super kanału – powiedział Lecatl. – Połączy on trzema pasmami biegun północny z południowym i przywróci normalny bilans wodny na planecie. I wtedy wszystko będzie dobrze.

Lecatł zamilkł.

– Wielki Inżynierze – spytałem. – Czy mógłbym dostać nową beczkę dla mojej wioski? Nie mamy w czym wozić wody z bagna, w które zmieniała się dolina Azory.

– Wynoś się! – wrzasnęła inżynier. – I żebyś cię więcej nie widział! Swoją rozmową o beczkach sabotujesz wielką ideę! Cały czas mówiłem ci o sukcesach, a ty odpłacasz się czarną niewdzięcznością.

– Trzeba cię rozstrzelać – dodała moja dobra kuzynka.

Aby nie zdążyli zamienić swojej groźby w czyn, zbiegłem po schodach z czterdziestego piętra.

Na ulicy, jak zawsze, świeciło jasne słońce. Gdy wlokłem się z powrotem do wioski, dusząc od upału i męcząc z pragnienia, zobaczyłem, jak na rumowisku, przy posągu Magacytla, rozstrzelili sabotażystów. Było wśród nich kilku ekologów w liliowych togach i wysokich czapkach.

Na dzień kanału, właśnie tego pierwszego i sławnego, który miał zastąpić mi studnię, ścielił się żółty kozuch.

We wsi nikogo już nie było. Ludzie ją opuścili.

Bez beczek nie mogłem wozić wody z bagna, zresztą tamtejsza woda cuchnęła. Aby nie umrzeć z głodu, przeniosłem się w góry i tam, w wąskiej szczelinie, znalazłem małe źródło, przy którym od tamtej pory mieszkam. Z każdym miesiącem źródło bije coraz słabiej. Nie wiem, które z nas wyczerpie się pierwsze...

Już od pięciu lat nie widziałem żywej duszy. Jeśli wcześniej nad moją głową przelatywały powietrzne łodzie, to teraz niebo opustoszało. Wczoraj przyśniło mi się, że unoszę się nad Marssem na wielkim ptaku. I widzę, że cały jest pocięty szerokimi, wyschniętymi kanałami. I nie ma ani jednej żywej duszy... Tylko gdzieś tam, przy Biegunie Północnym ostatni inżynierowie Marsjańskich Służb Wodociągów budują swój ostatni kanał.

*Przełożył Piotr Ogorzałek*



[1] Soacera – w wydanej w 1923 r. powieści A. Tolstoja „Aelita”, opowiadającej o wywołanej przez radzieckich komunistów i zakończonej niepowodzeniem rewolucji na Marsie, stolica Marsa (pozostałe realia opowiadania nawiązują do tej właśnie powieści) (przyp. tłum.)

[2] Magacytlowie (patrz przyp. 1) – „Bezłitośni”, najbogatsi członkowie Czarnego Zakonu, przedstawiciele jednego z plemion ludzkiej rasy, która wymarła 20 000 lat temu podczas potopu. Udało im się uciec z Atlantydy na Marsa. Stworzyli oni podstawy marsjańskiej cywilizacji i wymieszali się z rdzennymi mieszkańcami planety, tworząc rasę współczesnych Marsjan (przyp. tłum.)

[3] Marsjańska roślina (patrz przyp. 1) – Marsjanie palą halucynogeny z jej liści, zwany dymem nieśmiertelności. Na legalne, masowe odurzanie się którym Rada Najwyższa zezwala dwanaście razy w roku (przyp. tłum.).

[4] Taskab (patrz przyp. 1) – nawiązanie do postaci Tuskuba, naczelnika Rady Inżynierów i faktycznie dyktatora Marsa, który uważał, że „cywilizacja jest tylko dla wybranych” (przyp. tłum.)